

POMIESZANY PORZĄDEK STWORZENIA

NOWY KULT ZWIERZĄT

PISZĄ MIĘDZY INNYMI:

KS. SKRZYPCZAK,
O. CHABEREK OP,
WARZECHA,
STELMACH,
CHMIELEWSKI,
MOŹDŻONEK,
ARDANOWSKI,
JENDRZEJCZAK





PCh24.pl
POLONIA CHRISTIANA

SPIS TREŚCI

ŁUKASZ KARPIEL	
Wstęp	5
DR HAB. MICHAŁ CHABEREK OP	
Kim jest człowiek w świecie zwierząt?	10
ŁUKASZ WARZECHA	
Człowiek na smyczy. Bambi przejmuje władzę	20
AGNIESZKA STELMACH	
Ekologia integralna a zwierzęta. Zagrożenie ekocentryczne	32
PAWEŁ CHMIELEWSKI	
Człowiek – czy bydlę?	62
MARCIN JENDRZEJCZAK	
Korona stworzenia. Skąd wzięta się wyjątkowa pozycja człowieka i co ją dziś podważa?	76
FILIP ADAMUS	
„Najpierw ziemia!”. Walka ekologii z człowiekiem i cywilizacją	87
ROZMOWA Z KS. PROF. ROBERTEM SKRZYPCZAKIEM	
Między zezwierzceniem a świętością	98
ROZMOWA Z JANEM KRZYSZTOFEM ARDANOWSKIM	
PiS gorzko zapłacił za „piątkę dla zwierząt”	108
ROZMOWA Z MARCINEM MOŹDŻONKIEM	
Natura sobie poradzi. Ale człowiek bez jej regulowania – już nie	119
ROZMOWA Z ANDRZEJEM GUDALEWSKIM	
Myślistwo służy ludziom i przyrodzie	125

GUIDO VIGNELLI

Święty Franciszek nie był propagatorem ekologii 131

MARCIN AUSTYN

Niezbyt radosne „witaj szkoło”. Jak długo pozostaniemy Polakami? 140

JEŚLI PRZEGAPIŁEŚ NA PCH24.PL...

Wybrane publikacje

ALEKSANDER PISAREK

Pies – złoty cielec liberalnego społeczeństwa 145

STANISŁAW BUKŁOWICZ

Logika rewolucji: rok pierwszy, wiecznie od nowa 152

PIOTR RELICH

Nie umrzeć. Kolejny cel Doliny Krzemowej 157

ANDRZEJ SOLAK

Święty Maksymilian Maria Kolbe. Anioł w Auschwitz 162

FILIP OBARA

Czy Polacy wiedzą, w co wierzą? 173

PAWEŁ CHMIELEWSKI

AI, godność ludzka i prawda Kościoła przeciwko gnozie 181

Szanowni Czytelnicy,

Spór o stosunek człowieka do zwierząt już dawno przestał dotyczyć wyłącznie ich dobrostanu. Coraz częściej jest to w istocie spór o człowieka, o jego miejsce w świecie, źródło jego godności i o to, czy między nim a pozostałymi istotami żywymi zachodzi jedynie różnica stopnia, czy też różnica zasadnicza. Może się wydawać, że to pytanie czysto filozoficzne, tymczasem jego konsekwencje są bardzo konkretne. Widać je w prawie, kulturze, języku, wychowaniu, podejściu do rolnictwa i łowiectwa, a także w tym, jak współczesny człowiek myśli o rodzinie, własnym ciełe i przyszłości. Przez stulecia odpowiedź zachodniej cywilizacji była w tej sprawie jasna. Człowiek zajmuje w porządku stworzenia miejsce szczególne. Nie znaczy to, że wolno mu wszystko ani że świat został oddany jego kaprysowi. Przeciwnie, szczególna pozycja człowieka oznacza również szczególną odpowiedzialność. Nie przekreśla ona jednak istniejącej hierarchii. Człowiek pozostaje człowiekiem, zwierzę zwierzęciem.

Dziś ten porządek coraz częściej zostaje zakwestionowany. Szczególny status człowieka zaczyna być traktowany podejrzliwie, a przekonanie o jego nadrzędnej pozycji przedstawia się jako jedno ze źródeł przemocy, eksploatacji i kryzysów ekologicznych. Wraz z podnoszeniem statusu zwierząt coraz częściej obniża się rangę samego człowieka. Temu właśnie procesowi poświęcamy najnowszy numer Kwartalnika PCh24.

Spór o zwierzęta okazuje się więc ostatecznie sporem o to, kim jest człowiek i skąd bierze się jego szczególna godność. Chrześcijańska odpowiedź pozostaje jednoznaczna. Człowiek został stworzony na obraz i podobieństwo Boga, posiada rozum i wolną wolę, jest zdolny do odpowiedzialności moralnej. Z drugiej strony coraz częściej

słyszemy, że nasz gatunek to po prostu jeden z wielu, nieco bardziej rozwinięty i sprawny, a według niektórych także znacznie bardziej szkodliwy, ale bez szczególnego prawa do pierwszeństwa.

Od przyjęcia jednej z tych wizji zależy znacznie więcej, niż mogłoby się na pierwszy rzut oka wydawać.

Jeżeli człowiek jest tylko jednym ze zwierząt, dlaczego jego życie miałoby mieć wartość zasadniczo większą niż życie innych istot? Jeżeli o wartości ma decydować zdolność odczuwania bólu, poziom świadomości albo aktualna sprawność intelektualna, natychmiast pojawia się pytanie o tych, którzy takich zdolności jeszcze nie mają albo już je utracili. O noworodki, osoby ciężko chore, niepełnosprawne czy ludzi w podeszłym wieku. Wtedy okazuje się, że dyskusja o zwierzętach bardzo szybko prowadzi nas do podstawowych pytań o ludzką godność.

W tym numerze przyglądamy się temu problemowi z różnych stron. Od teologii stworzenia i pytania o ludzką naturę, przez bambinizm i język psiecków, po rolnictwo, łowiectwo i ekologizm. Nieprzypadkowo ważne miejsce zajmuje tu język. Zwierzę coraz częściej nie zdycha, lecz umiera. Nie jest przygarniane, lecz adoptowane. Myśliwy nie poluje, lecz morduje. Rolnik nie hoduje, lecz eksploatuje. Za zmianą słów idzie zmiana sposobu myślenia. Człowiek coraz częściej pojawia się w nim jako winowajca, bo je mięso, zajmuje przestrzeń, buduje miasta i drogi, korzysta z przyrody, emituje CO₂, a niekiedy jeszcze chce mieć dzieci. Ten ostatni wątek jest szczególnie ważny. Równoległe z ucłowieczaniem zwierząt obserwujemy stopniowe pomniejszanie znaczenia człowieka. Dziecko coraz częściej przedstawiane jest jako koszt, ograniczenie, przeszkoda w samorealizacji, a nawet dodatkowy ślad węglowy. Zwierzę natomiast coraz łatwiej zajmuje miejsce emocjonalnie zarezerwowane dawniej dla ludzi. Nie chodzi oczywiście o proste przeciwstawienie psa dziecku. Byłoby to zbyt łatwe i niepoważne. Rzecz dotyczy głębszej zmiany hierarchii pojęć, uczuć i zobowiązań.

Podobnie jest z samą przyrodą. Współczesna kultura chętnie ją idealizuje, zapominając, że natura nie jest ani łagodna, ani sprawiedliwa

według ludzkich kryteriów. Jest w niej piękno, ale są też głód, choroba, drapieżnictwo i śmierć. Przez tysiąclecia człowiek wiedział o tym doskonale, ponieważ żył blisko przyrody i był od niej bezpośrednio zależny. Dziś mięso trafia do nas na sklepowej tacce, mleko w kartonie, a wiedzę o dzikich zwierzętach wielu ludzi czerpie częściej z filmów i mediów społecznościowych niż z własnego doświadczenia. Im dalej jesteśmy od natury, tym łatwiej tworzymy sobie jej wyidealizowany obraz. Dlatego w rozmowach z myśliwymi i rolnikami pojawia się w tym numerze teza dziś coraz mniej popularna. Człowiek nie tylko może, ale niekiedy musi przyrodą gospodarować. Populacje zwierząt wymagają regulacji, a same zwierzęta mogą stanowić zagrożenie. Hodowla nie jest z definicji okrucieństwem, a człowiek, który hoduje zwierzęta z przeznaczeniem na pokarm, nie staje się przez to sadystą. O warunkach hodowli, transporcie, uboju i skali produkcji można i trzeba dyskutować. Czym innym jest jednak troska o dobrostan zwierząt, a czym innym ideologia, która sam fakt korzystania z nich uznaje za coś moralnie podejrzanego.

W numerze pojawia się również święty Franciszek, ale nie ten znany z ekologicznej pocztówki. Chodzi o Franciszka, którego stosunek do stworzenia wyrastał z wiary w Stwórcę. Miłość do świata stworzonego nie oznaczała u niego zniesienia hierarchii między człowiekiem a zwierzęciem. Piszemy także o ekologizmie, który od troski o środowisko potrafi przejść do niechęci wobec samego człowieka. Pytamy o język współczesnego Kościoła i ekologię integralną. Rozmawiamy o człowieku zawieszonym między zezwierzęceniem a świętością.

Ten sam problem powraca później pod innymi postaciami, w transhumanizmie, kulcie technologii, obsesji długowieczności i rozwoju sztucznej inteligencji. Wszystkie te zjawiska, choć pozornie odległe od sporu o zwierzęta, prowadzą do tego samego pytania. Czym właściwie jest człowiek?

Można sprowadzić go do jednego z wielu gatunków zwierząt. Można też próbować przekroczyć jego naturę i uczynić z niego projekt, który należy nieustannie udoskonalać, poprawiać i modernizować,

aż w końcu stanie się czymś na kształt biologiczno-technicznej konstrukcji. W obu przypadkach znika człowiek rozumiany jako osoba, istota cielesna i duchowa zarazem, posiadająca godność niezależną od poziomu inteligencji, produktywności, sprawności czy stanu zdrowia.

Nie ma sprzeczności między troską o zwierzęta a przekonaniem o wyjątkowej pozycji człowieka. Właśnie dlatego, że jest istotą rozumną i odpowiedzialną moralnie, spoczywa na nim obowiązek właściwego traktowania stworzenia. Problem zaczyna się wtedy, gdy troska o zwierzęta przestaje wynikać z tej odpowiedzialności, a zaczyna prowadzić do zakwestionowania szczególnej godności człowieka.

Temu poświęcony jest ten numer Kwartalnika PCh24. Nie chodzi o odmawianie zwierzętom ochrony ani o usprawiedliwianie okrucieństwa. Chodzi o przywrócenie właściwych proporcji i przypomnienie porządku, w którym człowiek nie jest ani bezwzględny panem stworzenia, ani jednym z wielu równorzędnych gatunków.

Kiedy przestajemy rozumieć, kim jesteśmy, szybko tracimy również właściwe rozumienie świata, który został nam powierzony. Wtedy rzeczywiście zaczyna się pomieszanie porządku stworzenia.

Łączę wyrazy szacunku i wdzięczności

Łukasz Karpiel

Redaktor naczelny Kwartalnika PCh24.pl

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



CZYTASZ TEN E-BOOK DZIĘKI NASZYM DARCYŃCOM

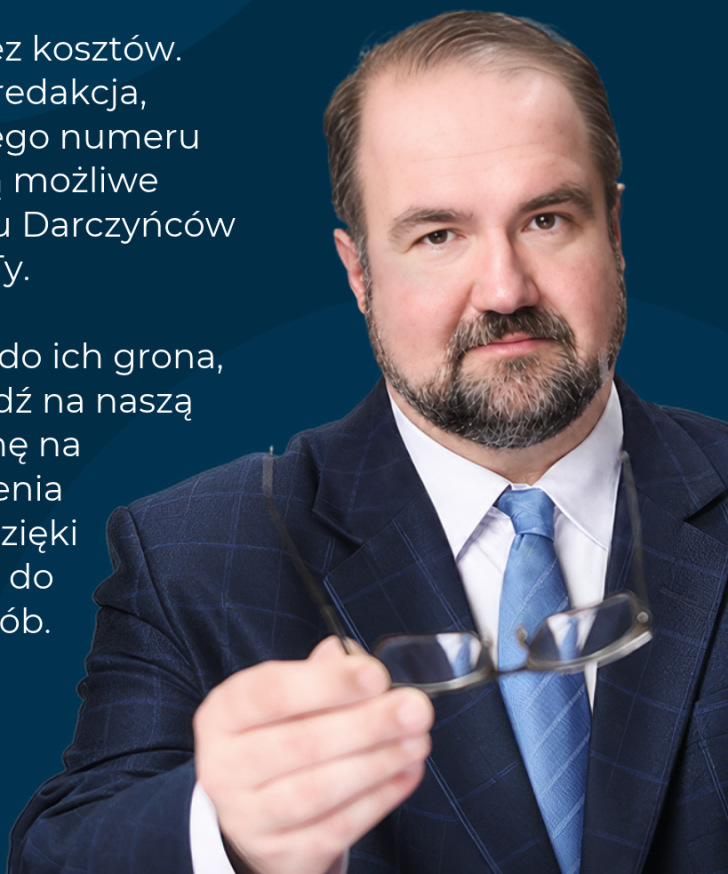
E-book, który właśnie czytasz,
każdy Czytelnik mógł otrzymać bezpłatnie.

Nie powstał on jednak bez kosztów. Przygotowanie tekstów, redakcja, korekta i promocja każdego numeru **Kwartalnika PCh24.pl** są możliwe wyłącznie dzięki wsparciu Darczyńców - Czytelników takich jak Ty.

Jeśli jeszcze nie należysz do ich grona, zeskanuj kod QR lub wejdź na naszą stronę i przekaz darowiznę na pokrycie kosztów stworzenia i promocji Kwartalnika. Dzięki Tobie kolejny numer trafi do jeszcze większej liczby osób.

Łukasz Karpiel

Redaktor naczelny
Kwartalnika PCh24.pl



ZESKANUJ KOD LUB WEJDŹ NA STRONĘ

**Dołącz
do grona Darczyńców
Kwartalnika PCh24.pl**

kwartalnik.pch24.pl

KIM JEST CZŁOWIEK W ŚWIECIE ZWIERZĄT?

Rozważania o naturze ludzkiej i moralności w kontekście ewolucjonizmu i materializmu

ZABIJAJ PIOTRZE I JEDZ!

Pewnego dnia, około południa, Piotr wszedł na dach domu, aby się modlić. Jego oczy przykuł jednak nie piękny widok na morze, ale wizja płót na opadającym z otwartego nieba. Znajdowały się w nim wszelkiego rodzaju zwierzęta. W tym samym momencie Piotr usłyszał głos: „Zabijaj, Piotrze i jedz!” (Dz 10,13). Wizja Piotra miała jednoznaczne przesłanie – Bóg objawił mu, że wszelkie zwierzęta są czyste i można je spożywać. Wizja ta jest o tyle ważna, że Bóg wprost objawił następcy Chrystusa na ziemi (a przez niego całemu Kościołowi), że zwierzęta można zabijać nie tylko jako ofiary (tak jak miało to miejsce w Starym Przymierzu), ale także zwyczajnie – w celu ich zjedzenia.

Gdy przyglądamy się historii ludzkości przedstawionej w Piśmie Św., to okazuje się, że już sprawiedliwy Abel hodował zwierzęta i składał z nich ofiary (Rdz 4,2-4). Zatem od samego początku ludzkości Bóg nie tylko dopuszcza zwierzęta do spożycia, ale nawet domaga się składania z nich ofiar. W prawie możeszowym ofiary rytualne ze zwierząt zyskują najważniejsze miejsce jako sposób prześlągania Boga. W Nowym Przymierzu ofiary krwawe ze zwierząt zostały oczywiście zastąpione jedną bezkrwawą Ofiarą Chrystusa. I dlatego ofiary ze zwierząt straciły swój sens, przestały mieć jakiegokolwiek znaczenie zbawcze. Jednak zgodnie z widzeniem Piotra, sam Bóg daje jasno do zrozumienia, że człowiek ma prawo spożywać zwierzęta. Zatem jakiegokolwiek próby ograniczania tego prawa w imię jakiegółś ideologii, fałszywej religii, źle rozumianej „troski o planetę” czy „współczucia wobec zwierząt” wprost sprzeciwiają się woli Bożej wyrażonej na kartach Nowego Testamentu.

ŁUDZKA NATURA PODSTAWĄ SĄDÓW MORALNYCH

Wyobraźmy sobie teraz inną sytuację – hipotetyczną wprawdzie, ale niestety zupełnie realną w naszym świecie. Otóż w pewnym sąsiedztwie doszło do dwóch zbrodni. W jednym domu syn zabił ojca, w drugim sąsiad zabił sąsiada, który nie był z nim w żaden sposób spokrewniony. Obaj zabójcy zostali ujęci i obaj stanęli przed sądem, odpowiadając za zabójstwo. Choć z moralnego punktu widzenia zabicie kogoś bliskiego, a zwłaszcza własnego ojca, jest większym złem niż zabicie kogoś obcego, to jednak w obu przypadkach mamy do czynienia z zabójstwem człowieka i dlatego na poziomie prawa stanowionego kwalifikujemy te zbrodnie do tej samej kategorii morderstwa. Zatem według najwyższych standardów cywilizacji chrześcijańskiej to, czy ktoś jest z nami spokrewniony bliżej czy dalej, nie ma takiego znaczenia jak fakt, że jest człowiekiem. Nasz sąd moralny opiera się nie na pokrewieństwie, lecz na określeniu faktu istnienia nieziennej ludzkiej natury, która przysługuje każdemu człowiekowi. Stawiam tezę, że taki sąd moralny jest zupełnie bezpodstawny, jeżeli przyjmiemy ewolucjonizm biologiczny. Postaram się teraz wytłumaczyć, o co mi właściwie chodzi.

EWOLUCJONIZM WYKLUCZA OBIEKTYWNY SĄD MORALNY

Aby zrozumieć problem ewolucjonizmu w kontekście sądów moralnych, musimy uświadomić sobie, co właściwie oznacza przyjęcie tak zwanej „teorii ewolucji”. Oczywiście nie chodzi nam tu o ewolucję rozumianą jako jakieś drobne adaptacje organizmów w ramach tzw. mikroewolucji. Takie zmiany są nam dobrze znane, można je obserwować *in vivo* i *in vitro*, możemy też, przynajmniej po części, zrozumieć ich przyczyny i mechanizmy. Adaptacje zachodzące w ramach mikroewolucji nie są kontrowersyjne. To, co budzi sprzeciw części biologów i wielu zwykłych ludzi, to ogólne, nieempiryczne twierdzenia na temat całego świata roślin i zwierząt w rodzaju „wszystkie organizmy pochodzą od jednego przodka”. Jest to koncepcja zaproponowana wyraźnie po raz pierwszy przez Karola Darwina w połowie XIX wieku. Idea powszechnego wspólnego pochodzenia (*universal common ancestry*) oznacza, że wszystkie organizmy w historii świata, zarówno istniejące, jak i wymarłe, są połączone fizyczną linią zrodzenia.

Zatem każdy jest kuzynem każdego w sensie nie metaforycznym, lecz jak najbardziej dosłownym. Metaforycznie można powiedzieć na przykład, że my wszyscy (ludzie, zwierzęta, rośliny) jesteśmy dziećmi gwiazd (w takim sensie, że pierwiastki budujące organizmy żywe powstały w jądrach gwiazd), ale w teorii makroewolucji chodzi o coś więcej, czyli właśnie o fizyczną ciągłość między wszystkimi organizmami, która nie jest żadną metaforą.

Jak to się ma do problemu oceny moralnej? W przypadku dwóch omówionych zabójstw stwierdziłem, że nie ma znaczenia stopień pokrewieństwa, lecz to, kim (lub czym) jest ofiara. Jeżeli jest człowiekiem, to pozbawienie go życia nazywamy zabójstwem. Wtedy jest to przestępstwo i poważny grzech. Jeżeli jednak jest zwierzęciem, to zwierzę – zgodnie z wizją św. Piotra – można zabić i nawet spożyć. Zgodnie z prawem Boskim i ludzkim rozumem kanibalizm jest niedopuszczalny moralnie, ale spożywanie zwierząt jest neutralne moralnie. Zauważmy jednak, że jeżeli przyjmiemy drzewo życia Darwina (powszechne wspólne pochodzenie), to każdy człowiek, zwierzę i roślina są całkiem dosłownie kuzynami, różni ich tylko stopień pokrewieństwa. Skoro jednak stopień pokrewieństwa nie ma zasadniczego znaczenia dla moralnej oceny czynu, to dlaczego zabicie ślimaka albo węży miałoby fundamentalnie różnić się od zabicia człowieka? Przecież w optyce ewolucjonizmu każde zwierzę, tak jak i każdy człowiek, jest częścią jednej wielkiej rodziny „istot żywych”.

Jak widzimy, powszechny ewolucjonizm usuwa podstawową przesłankę oceny moralnej czynu, ponieważ ocena ta opiera się na uznaniu istnienia trwałych natur (natury ludzkiej, ale także natur zwierzęcych) i zasadniczych różnic między nimi. Tymczasem ewolucjonizm mówiący, że każda natura zmienia się stopniowo w inną naturę, w istocie usuwa samo pojęcie natury. Nie ma więc natury konia, słonia czy psa, ponieważ wszystkie jednostki są jedynie ogniwami pośrednimi między jedną naturą a inną. To zaś prowadzi do pytania o samą definicję człowieka. Czyli do tego, jak rozpoznać, kiedy mamy do czynienia z człowiekiem.

NATURA LUDZKA

Filozoficzna definicja człowieka mówi, że człowiek to zwierzę rozumne. Zatem zawiera ona dwa aspekty ludzkiej natury – cielesny oraz duchowy, czyli istnienie duszy rozumnej w człowieku. Ale w naukach przyrodniczych (które stanowią, na dobre i złe, punkt odniesienia dla prawodawców i większości współczesnych ludzi) posługujemy się inną, to znaczy biologiczną (naukową) definicją człowieka. Z punktu widzenia biologii człowieka formułujemy definicję w oparciu o jego część materialną, czyli ciało. Możemy więc zdefiniować go jako organizm, który posiada ludzki genotyp i fenotyp oraz urodził się z ludzkich rodziców.

Zauważmy jednak, że taka biologiczna definicja ma sens jedynie przy założeniu, że człowiek zawsze pochodzi od człowieka oraz że jego genotyp i fenotyp jest zasadniczo niezmienny. Przyjmując powszechny transformizm gatunkowy, definicja biologiczna człowieka traci swój obiektywny i normatywny charakter, ponieważ człowiek – podobnie jak każdy inny organizm – staje się jedynie ogniwem w długim łańcuchu form życia, z których jedna przechodzi płynnie w drugą. Zatem fakt zrodzenia danego organizmu z ludzkich rodziców wcale nie musi oznaczać, że jest on człowiekiem. Przecież był taki moment, kiedy to jakiś hominid był rodzicem pierwszego „prawdziwego” człowieka. A wcześniej jakaś małpa była rodzicem pierwszego niehumanoidalnego hominida i tak dalej. Według ewolucjonizmu mutacje stanowią początek nowych gatunków, z kolei mutanty (organizmy, w których mutacje zmieniają fenotyp) mogą być nowymi ścieżkami ewolucyjnymi. Jeżeli tak jest, to ludzie z poważnymi mutacjami (np. osoby upośledzone, z zespołem Downa) etc. wcale nie muszą być ludźmi, ponieważ ich genotyp, a czasem i fenotyp odbiega od ludzkiego. Co więcej, w przypadku osób upośledzonych umysłowo kryterium rozumności może być również podważone jako czynnik wyróżniający człowieka.

Pozostawiam tutaj na boku zupełny brak potwierdzenia empirycznego na transformizm gatunkowy. W historii życia na ziemi, owszem, obserwujemy pojawianie się nowych gatunków i wymieranie starych, ale fakty te wyjaśnia bardzo dobrze chrześcijańska koncepcja

stworzenia, której podstawę stanowi biblijne objawienie. Nie ma więc takich „dowodów na ewolucję”, które zmuszałyby nas do przyjęcia powszechnego transformizmu. Wniosek jest taki, że przyjęcie „drzewa życia Darwina” w zasadzie unieważnia biologiczną definicję człowieka i nie daje możliwości określenia, kim jest człowiek. A przecież to biologiczna (naukowa) definicja stanowi podstawę prawodawstwa i systemu etycznego przyjmowanego w społeczeństwie. Brak takiej definicji lub uczynienie jej jedynie definicją pozorną podważa możliwość prawnej ochrony człowieka.

RELATYWIZM ONTOLOGICZNY

Nie sądzę, aby większość ideologicznych propagatorów tak zwanych „praw zwierząt” świadomie przeszła ścieżkę rozumowania, którą przedstawiłem w powyższych punktach. Takie rozumowanie świadomie mogli przejść filozofowie tacy jak Peter Atkins czy Peter Singer, dochodząc do logicznego wniosku, że na przykład zdrowe prosię ma większą wartość niż chory noworodek. Jednak niezależnie od tego, czy tego typu wnioski stanowią logiczną konsekwencję przyjętych założeń, czy są raczej formą intuicji wynikającej z ewolucjonizmu, staje się jasne, że ewolucjonizm zawsze prowadzi do pomieszczenia pojęć i wywrócenia najbardziej racjonalnych standardów moralnych.

Na początku podałem dwa przykłady. Po pierwsze Piotra, któremu Bóg objawił, że może zabijać i spożywać zwierzęta. A po drugie zabójstw, w których stopień pokrewieństwa nie miał znaczenia dla negatywnej oceny tych czynów. Jednak powszechny ewolucjonizm relatywizuje te rzeczywistości. Z jednej strony każe nam traktować zwierzęta jako naszych dalszych kuzynów, czyli nieproporcjonalnie podnosi ich wartość na skali obiektywnej wartości bytów, z drugiej umniejsza człowieka, ponieważ czyni go tylko jednym z ogniw ewolucyjnych. A ponieważ człowiek z biologicznego punktu widzenia jest zwierzęciem, to w ewolucyjnym paradygmacie staje się niczym innym jak tylko zwierzęciem.

Ewolucjonizm prowadzi do relatywizmu ontologicznego, czyli zaburzenia obiektywnej hierarchii bytów, ponieważ łączy się

z nominalizmem. Skoro każda jednostka jest ogniwem ewolucyjnym, to staje się niejako osobnym gatunkiem, czyli samo pojęcie gatunku lub osobnej natury redukuje się do jednostki. To zaś oznacza, że wartość bytu trzeba określać zawsze w odniesieniu do jednostki, ponieważ każda jednostka różni się czymś od innych jednostek. W takim ewolucyjnym paradygmacie jest oczywiste, że człowiek sprawny, inteligentny i produktywny ma większą wartość ontologiczną niż człowiek chory czy ułomny. Także sprawne zwierzę, które może się do czegoś przydać, ma większą wartość niż niesprawny człowiek, któremu trzeba nieustannie pomagać. W tym kontekście rozumowanie Petera Singera i jemu podobnych jest jak najbardziej uzasadnione.

Na to nakłada się jeszcze cała sfera emocji, którymi – jak się wydaje – kierują się w dużej mierze aktywiści środowiskowi. W ich myśleniu i działaniu często odzwierciedla się fałszywe współczucie wobec rzekomo „cierpiących” roślin i zwierząt, jednak nie ma współczucia wobec zabijanych dzieci nienarodzonych, ponieważ w takim przypadku mówi się o „prawach kobiet do własnego ciała”. Doszliśmy więc do oczywistego absurdu polegającego na tym, że ścięcie drzewa jest postrzegane jako karalne przestępstwo, a zabijanie nienarodzonych lub starszych, liczone w milionach, jest uważane za prawo człowieka do decydowania o sobie.

Nie twierdzę, że ewolucjonizm stanowi jedyne podłoże ideowe takiej aberracji, ale twierdzę, że stanowi najgłębsze podłoże filozoficzne, nawet jeżeli jest ono nieuświadomione. Zwolennicy „praw zwierząt” zawsze są ewolucjonistami biologicznymi, ale wśród kreacjonistów nie znajdzie się takich postaw. To nie jest jedynie przypadkowa korelacja, to jest przyczynowość zwrotna: ewolucjonizm kształtuje relatywizm moralny, a relatywizm umacnia przekonanie o totalnym ewolucjonizmie. Z drugiej strony kreacjonizm prowadzi do odkrycia obiektywnego porządku w przyrodzie opartego na klasycznym filozoficznym pojęciu hierarchii bytów (*scala naturae*). Wśród kreacjonistów nie znajdziemy relatywistów moralnych właśnie dlatego, że wiara w stworzenie rozumiane realistycznie jako faktyczne i bezpośrednie działanie Boga w świecie prowadzi do przekonania, że tenże

Bóg stwarzając ustanawia obiektywny i istotowo niezmienny porządek rzeczywistości.

DWA REDUKCJONIZMY

Obecnie obserwujemy dwa redukcjonizmy w odniesieniu do osoby ludzkiej. Jestem przekonany, że ponownie oba te redukcjonizmy mają swoje najgłębsze podłoże w ewolucjonizmie. Przyjrzyjmy się obu.

Według pierwszego z nich człowiek to po prostu „lepiej” wyewoluowane zwierzę. Sam Darwin twierdził, że nie ma istotnej różnicy między władzami psychicznymi człowieka a małpy. Innymi słowy, małpa, pies czy inne ssaki posiadają wszystkie właściwości ludzkie, tyle że w niższym (mniej rozwiniętym) stopniu. Zdaniem Darwina zwierzęta mają inteligencję, komunikują się, mają te same emocje, język, a nawet zmysł moralny. Nie ma tu miejsca na obalanie wszystkich tych tez. Należy tylko zauważyć, że w przypadku zwierząt nie można mówić o inteligencji (w sensie ścisłym), lecz o instynktach. Nie można mówić o języku, lecz bardzo prymitywnej komunikacji, bez możliwości przekazywania (czy nawet pojmowania) abstrakcyjnych pojęć. Wbrew twierdzeniom różnych ideologów, zwierzęta nie tworzą narzędzi ani żadnej sztuki¹. Oczywiście zwierzęta nie mają żadnego zmysłu moralnego, gdyż działają na mocy zaprogramowanych instynktów, tymczasem człowiek ma rozum i wolę, które umożliwiają mu działanie ponad naturalnymi instynktami. Wszystko to można wykazać na podstawie badań empirycznych, ale dla naszego wyводу ważniejsza jest konkluzja, że ewolucjonizm prowadzi do zredukowania człowieka do jednego ze zwierząt. Zresztą taka była intencja Darwina, który swoją drugą ważną książkę (po „O pochodzeniu gatunków”, 1859) zatytułował „The Descent of Man” (1871), co można przetłumaczyć jako pochodzenie człowieka, ale także jako „zstąpienie” lub „zniesienie” człowieka. To drugie nawiązuje do filozoficznej

1 Jeżeli Czytelnik jest zainteresowany wyjaśnieniem, dlaczego zwierzęta wcale nie tworzą narzędzi (w ścisłym tego słowa znaczeniu) odsyłam do mojego tekstu *Human Origins Revisited: On the Recognition of Rationality and the Antiquity of the Human Race*, „Studia Gilsoniana” 2/2022, s. 249-287.

idei promowanej przez Darwina i jego następców, że człowiek nie jest koroną stworzenia, lecz jednym z ogniw ewolucyjnych.

Przyjrzyjmy się teraz drugiemu redukcjonizmowi. Skoro człowiek nie jest ostatnim dziełem stwórczym, lecz jednym z ogniw ewolucyjnych, to jest jasne, że dalej będzie ewoluował w coś innego. Ponieważ zdaniem ewolucjonistów ewolucja wyposażyla nas w rozum, to teraz my możemy jej pomóc, przyspieszyć ją poprzez dobór kierowany. Tutaj znajdują swoje filozoficzne podstawy aborcja i eugenika, a w naszych czasach – idea transhumanizmu. Zgodnie z tym przekonaniem naturalne możliwości człowieka można przekroczyć poprzez połączenie człowieka z maszyną. W ten sposób człowiek ma stać się nad-człowiekiem, kimś a-śmiertelnym, mającym jakieś nadludzkie moce intelektualne lub fizyczne. W tej optyce człowiek jest redukowany do maszyny, mózg to po prostu organiczny superkomputer, który można połączyć z komputerem krzemowym lub ewentualnie można sztucznie wytworzyć białkowy komputer, który będzie miał możliwości przekraczające możliwości ludzkiego mózgu.

Futuryści w rodzaju Elona Muska, Raymonda Kurzweila czy Yuvala Noaha Harariego ogłaszają, że już niedługo komputery przekroczą ludzkie możliwości. Jeżeli uda się je połączyć z ludzkim mózgiem, to człowiek osiągnie nadludzkie możliwości poznawcze. Oczywiście całe to myślenie oparte jest na materialistycznym założeniu, że myślenie ludzkie redukuje się do mózgu, że świadomość to po prostu przepływ prądu po neuronach komórek mózgowych. Takie idee wynikają z bardzo prymitywnej filozofii materialistycznej, której zaprzeczali już nawet filozofowie przedchrześcijańscy tacy jak Platon i Arystoteles. Nie trzeba bowiem specjalnego objawienia Bożego, aby dojść rozumowo do wniosku, że coś, co poznaje całą materię i tworzy abstrakcyjne koncepty, samo nie może być materialne, tak jak soczewka, przez którą mają przechodzić wszystkie kolory sama musi być bezbarwna.

Redukcja ciała ludzkiego do maszyny, a mózgu do superkomputera nie wytrzymuje podstawowej krytyki filozoficznej. Niestety jednak

takie materialistyczne podejście zdominowało niemal całkowicie myślenie o przyszłości człowieka w mainstreamowych mediach. Futuryzm udało się przekierować uwagę ogółu z pytania: Co po śmierci? na pytanie: Jak ocalić cywilizację ludzką w kategoriach kosmicznych oraz jak osiągnąć nieśmiertelność przez postęp naukowy? Materializm i futuryzm proponują alternatywną wizję przyszłości, zgodnie z którą największym zagrożeniem nie jest grzech i panowanie diabła na ziemi, lecz tak zwana „sztuczna inteligencja” i „niezrównoważony” rozwój. A zatem, tak jak Darwin zaproponował alternatywną Księgę Rodzaju, tak też futuryści, technokraci i materialści proponują obecnie alternatywną Apokalipsę.

ZADANIE KOŚCIOŁA

Nie wydaje się, aby Kościół instytucjonalny obecnie adekwatnie reagował na wyzwanie czasów. Wypowiedzi i działania kolejnych współczesnych papieży zbyt często wychodzą z tych samych materialistycznych przesłanek, na których opierają swoje analizy współcześni „prorocy” przyszłości. Brakuje głosu, który wyraźnie ukazywałby prawdę o Bożej Opatrzności, która zatroszczyła się o planetę w taki sposób, aby nigdy nie zabrakło na niej tego, co ludziom potrzebne do życia.

Obecnie zatem wierzący są wezwani do radykalnego odcięcia się od materialistycznych założeń ewolucjonizmu, świeckiego futuryzmu i naiwnego technokratyzmu. Musimy powrócić do początku, czyli do Księgi Rodzaju, w której Bóg wyjaśnił, jak dokonało się dzieło stworzenia. Ponieważ Bóg jest autorem całego kosmosu i stworzył cały kosmos dla człowieka, to powinniśmy wierzyć, że porządek ten będzie trwał tak długo, jak długo będzie potrzebny człowiekowi.

W kontekście naszych rozważań na temat ludzkiej natury, musimy jeszcze raz wczytać się w słowa Biblii mówiące o stworzeniu roślin i zwierząt „według ich rodzajów”. W konkretnie oznacza to, że Bóg ustanowił porządek i hierarchię bytów, wśród których najważniejsze miejsce na ziemi zajmuje człowiek. Wszystko zostało stworzone dla niego i on został ustanowiony panem stworzenia. Tylko człowiek

został stworzony na obraz i podobieństwo Boże, co oznacza, że jego wartość fundamentalnie przekracza wartość zwierząt. Tylko człowiek został powołany do nieśmiertelności i faktycznie jest nieśmiertelny ze względu na posiadanie nieśmiertelnej duszy. Zatem świat przemija, a człowiek trwa na zawsze. I dlatego sens jego istnienia jest nieskończenie większy niż sens istnienia jakiegokolwiek zwierzęcia czy rośliny. Ostatecznie trzeba więc powrócić do skądinąd oczywistej prawdy, że to przyroda istnieje dla człowieka, a nie człowiek dla przyrody.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



CZŁOWIEK NA SMYCZY. BAMBI PRZEJMUJE WŁADZĘ

Ktokolwiek kiedykolwiek ośmielił się sprzeciwić bambinistycznym dogmatom, ten się przekonał, że bambiniści to jedna z najbardziej sfanatyzowanych grup. Atakują w skrajnie agresywny sposób nie tylko myśliwych czy osoby sprzeciwiające się uczłowieczaniu zwierząt. To samo spotyka każdego, kto ośmieli się najdelikatniej zwrócić uwagę na przykład na to, że agresywny pies może być zagrożeniem dla ludzi.

W lipcu pan prezydent podpisał ustawę łańcuchową własnego autorstwa, czyli akt zmieniający ustawę o ochronie zwierząt. Za ustawą w Sejmie zagłosowało 381 posłów, przeciwko było zaledwie 28, wstrzymało się 5. Za gremialnie głosowała cała koalicja, przeciwko – wszyscy głosujący członkowie klubu Konfederacji (12 osób), wszyscy przedstawiciele Konfederacji Korony Polskiej, Paweł Kukiz i Tomasz Rzymkowski z Demokracji Bezpośredniej (Jan Krzysztof Ardanowski był za) oraz Janusz Kowalski, obecnie poseł niezrzeszony. Ustawa trafiła do Sejmu z Pałacu Prezydenckiego jakiś czas po tym, jak wcześniej pan Nawrocki zażądał pierwotną jej wersję.

To sprawa symboliczna dla jednego z najważniejszych współczesnych światopoglądowych sporów. To spór o miejsce zwierząt nie tylko w systemie prawnym, ale też w ontologicznym widzeniu rzeczywistości, co przekłada się na rozwiązania ustawowe. Mówiąc prościej – gra toczy się o to, czy człowiek jest koroną wszech rzeczy i tak jest traktowany czy też jest po prostu jeszcze jednym zwierzęciem, które nie powinno mieć jakichś specjalnych praw. Bambinizm to znacznie więcej niż tylko infantylne traktowanie zwierząt. To poważne zagrożenie cywilizacyjne.

PROBLEM Z USTAWĄ ŁAŃCUCHOWĄ

W sprawie ustawy łańcuchowej pan prezydent zagrał niestety po złej stronie. W jego przekonaniu dało mu to zapewne krótkoterminową korzyść wizerunkową, choć nawet to jest wątpliwe. Kiedyś czegoś podobnego próbował już PiS, proponując piątkę dla zwierząt, która zresztą zawierała również rozwiązania przypominające te z ustawy łańcuchowej. Już wówczas było jednak jasne, że nikogo ze światopoglądowej lewicy nie skłoni to do przeniesienia poparcia na partię Jarosława Kaczyńskiego, zaś szkody będą olbrzymie. Można podejrzewać, że ani prezes PiS sześć lat temu, ani pan prezydent dzisiaj nie zajmowali się metapolityczną stroną własnych projektów. Mieliśmy tu do czynienia z klasycznym błędem, jaki często popełniają politycy, którzy widzą grę polityczną na poziomie taktycznym, ale już nie na poziomie strategicznym czy tym bardziej właśnie metapolitycznym. Rozumieją bezpośrednie konsekwencje swoich decyzji, ale nie potrafią zidentyfikować skutków w sferze idei i wartości, a więc tych, które będą wpływać na kształt rzeczywistości w dłuższym okresie.

Konkretne rozwiązania ustawy łańcuchowej w wersji pana prezydenta są mocno nieszczęśliwe, bo rozmiary kojców dla psów pozostawiono ministrowi rolnictwa do określenia w rozporządzeniu. Od szczegółowych przepisów ważniejsze jednak jest, skąd się ta ustawa właściwie wzięła. Jej źródłem nie była przecież jakaś nagła, obiektywna potrzeba czy jakakolwiek alarmująca statystyka. Jej źródłem jest natomiast sposób myślenia o ludziach i zwierzętach, będący częścią pakietu światopoglądowego rządzącej obecnie w Polsce lewicy, której celem jest rozmontowanie tradycyjnego, naturalnego ładu. Mówiąc w uproszczeniu, rozumowanie wygląda tak: źli, nieczuli ludzie krzywdzą zwierzęta, którym należą się ich prawa, trzeba zatem ustawowo spowodować, żeby je krzywdzić przestali. Przy czym poprzez krzywdzenie rozumie się tutaj często całkowicie normalne traktowanie zwierząt, bynajmniej niepowiązane z ich dręczeniem. Kluczowa jest całkowicie błędna koncepcja „praw zwierząt”. Konsekwentne sprzeciwianie się jej upowszechnianiu powinno oznaczać weto do każdej ustawy na niej opartej.

CZY ZWIERZĘTA MAJĄ PRAWA?

Do polskiego porządku prawnego dotychczas szczęśliwie nie wprowadzono wprost pojęcia „praw zwierząt”. Natomiast przeglądając strony środowisk prozwierzęcych można zauważyć, że nie dokonuje się tam fundamentalnego rozróżnienia pomiędzy rzekomymi „prawami zwierząt” a obowiązkami ludzi wobec nich. Wielokrotnie natykamy się na sformułowania typu „Jakie prawa mają zwierzęta?” – choć odpowiedź jest jasna: nie mają żadnych z punktu widzenia polskiego prawa i mieć nie mogą. To pomieszanie pojęć czasem bierze się z nieświadomości, a czasami jest celowe.

Ustawa o ochronie zwierząt całkiem słusznie w artykule 1. stwierdza: „Zwierzę, jako istota żyjąca, zdolna do odczuwania cierpienia, nie jest rzeczą. Człowiek jest mu winien poszanowanie, ochronę i opiekę”. Jednak już tutaj pojawia się zasadniczy problem logiczny, konsekwentnie pomijany przez zwolenników błędnej koncepcji „praw zwierząt”: które zwierzęta są godne poszanowania i ochrony, a które niekoniecznie? Wszak zwierzęciem w takim samym stopniu i w świetle systematyki są kot, wieloryb, pies, ropucha, szczur, żmija, pajak i niesporczak. Gdzie przebiega granica pomiędzy tymi, których nie wolno nam tknąć a tymi, które takiej ochrony nie mają? Dlaczego znęcanie się nad zwierzętami kręgowymi jest penalizowane ustawowo, a nad bezkręgowymi już nie? Za zabicie kota ze szczególnym okrucieństwem grozi kara do nawet 5 lat pozbawienia wolności. Tyle samo możemy dostać za podobne postępowanie wobec żaby. Ale już nie za bezkręgowę ślimaka czy raka.

Podstawowym błędem jest mówienie o „prawach zwierząt”. Posiadanie praw musi bowiem łączyć się z posiadaniem obowiązków. Jedyną zaś istotą zdolną do rozumienia swoich obowiązków i ich świadomego wypełniania jest człowiek. Prawa i obowiązki muszą z kolei implikować zdolność do odróżniania dobra od zła. Wszystko to jest poza zasięgiem zwierząt.

Zwierzęta nie mogą świadomie wypełniać żadnych obowiązków – mogą najwyżej zostać nauczzone zachowań, które nie są z ich punktu

widzenia ani dobre, ani złe. Zwierzęta funkcjonują bowiem poza systemem etycznym, który jest podstawą praw i obowiązków. Pies, który zagryza kota albo lew zabijający antylopę, która pozostawia po sobie małe, nie są „złe”. Postrzeganie ich zachowań w takich kategoriach jest nonsensem. Owszem, niektóre zwierzęta mogą wykazywać się przywiązaniem, także do człowieka, które z ludzkiego punktu widzenia wygląda jak lojalność. Jest to jednak nadal działanie pozostająca poza ludzkim rozumieniem etyki.

Często pojawia się kontrargument, że przecież nie każdy człowiek rozumie należycie dobro i zło i nie każdy ma pełną świadomość. Dotyczy to oczywiście dzieci nienarodzonych, a także małych, czy osób cierpiących na opóźnienia rozwojowe albo choroby psychiczne. Decydujące są jednak cechy gatunkowe i o nich mówimy. Człowiek ma prawa i obowiązki na poziomie gatunku, są natomiast oczywiście wyjątki. Dziecko do 13. roku życia nie ma w ogóle zdolności do czynności prawnych, przez kolejne pięć lat ma zdolność ograniczoną, a pełną dopiero od 18. roku życia. Podobnie zdolności do czynności prawnych nie mają osoby pełnoletnie częściowo lub całkowicie ubezwłasnowolnione. Z kolei osoby, które w momencie popełnienia czynu zabronionego nie posiadały zdolności do zrozumienia jego natury albo ta zdolność była zdaniem sądu ograniczona, nie będą odpowiadać karne albo ich wyrok zostanie złagodzony. Dokładnie na tej samej zasadzie, na której agresywny pies nie staje przed sądem za pogryzienie człowieka. Odpowiada jego właściciel.

Zwierzęta nie mogą zatem być podmiotem praw, mogą być jednak i są przedmiotem naszych obowiązków. Człowiek ma obowiązek szanować je i nie sprawiać im zbędnego cierpienia. Nie oznacza to jednak, że nie może ich wykorzystywać zgodnie ze swoimi potrzebami, oczywiście w miarę możliwości w sposób jak najmniej dla nich uciążliwy.

ILE LAT ZA PSA, ILE ZA CZŁOWIEKA

Ktokolwiek kiedykolwiek ośmielił się sprzeciwić bambinistycznym dogmatom, ten się przekonał, że bambiniści to jedna z najbardziej sfanatyzowanych grup. Atakują w skrajnie agresywny sposób nie

tylko myśliwych czy osoby sprzeciwiające się uczłowieczaniu zwierząt. To samo spotyka każdego, kto ośmieli się najdelikatniej zwrócić uwagę na przykład na to, że agresywny pies może być zagrożeniem dla ludzi.

Bambiniści udzielają się również w związku z nasilającymi się problemami z obecnością dzików w miastach. W każdej dyskusji na ten temat pojawiają się głosy jak ze sztampy, powielające dwie absurdalne tezy. Po pierwsze – że człowiek zajął dzikom ich naturalne środowisko, a zatem „one były pierwsze”. Po drugie – że dziki z lasu wygonili myśliwi. Teza pierwsza jest co prawda sprzeczna z drugą, ale dla bambinistów logika nie jest najważniejszym kryterium. Przy czym grupa ta rekrutuje się nie tylko spośród dyletantów. Należą do niej oczywiście aktywiści (tutaj trudno orzec stanowczo, którzy z nich kierują się autentycznymi przekonaniami, a którzy cynicznie wykorzystują okazję do wyciągania pieniędzy „dla zwierzątek”), ale również, pozał się Boże, naukowcy. Na przykład opowieści o tym, że dziki znalazły się w miastach, uciekając przed myśliwymi, kolportuje jeden z najbardziej zacieklej bambinistów wśród naukowców, dr Michał Żmihorski, biolog, w tym roku powołany na stanowisko zastępcy dyrektora Instytutu Ochrony Środowiska. Dr Żmihorski jest również członkiem Państwowej Rady Ochrony Przyrody, co nie powinno zaskakiwać, biorąc pod uwagę, że członków PROP powołuje minister właściwy do spraw środowiska, zaś w Ministerstwie Klimatu i Środowiska za te sprawy odpowiada zdeklarowany wróg myśliwych, Mikołaj Dorożała.

Jednym z najbardziej zapalnych punktów w dyskusjach z bambinistami jest kwestia kar, grożących i wymierzanych za „dręczenie” zwierząt. Cudzyśłów jest tutaj konieczny, bo czasami mamy faktycznie do czynienia z dręczeniem, a czasami z absurdalnym rozszerzaniem tego pojęcia. Tak było chociażby w głośnej sprawie wykładowczyni z Uniwersytetu Rolniczego w Krakowie, którą prokuratura oskarżyła w 2025 r. o zabijanie karpia bez ogłuszenia podczas zajęć z weterynarii, co jest karane. Na razie grzywna została nałożona przez Ministerstwo Nauki na uczelnię. Inna podobna sprawa, znacznie starsza, bo z 2019 r., dotyczyła rolnika, który w Krotoszynie obcinał rybom głowy

także bez wcześniejszego ogłuszenia. W pierwszej instancji sąd skazał sprawcę na trzy miesiące bezwzględnego pozbawienia wolności.

Kary za czyny wobec zwierząt zostały podwyższone w czasie rządów PiS. Obecnie za zabicie zwierzęcia (poza wyjątkami wymienionymi w ustawie o ochronie zwierząt) lub znęcanie się nad nim grozi do 3 lat pozbawienia wolności. Za te same czyny, ale popełniane ze szczególnym okrucieństwem, kara to już od 3 miesięcy do 5 lat pozbawienia wolności. Sąd może również orzec nawiązkę do nawet 100 tys. złotych na „wskazany cel związany z ochroną zwierząt”.

Spójrzmy teraz do kodeksu karnego. Za pobicie człowieka ze skutkiem śmiertelnym (art. 158 k.k.) grozi kara od 2 do 15 lat pozbawienia wolności. Za pobicie, którego skutkiem jest ciężki uszczerbek na zdrowiu, grozi od roku do 10 lat pozbawienia wolności.

Artykuł 207 kodeksu karnego dotyczy znęcania się nad człowiekiem. Za znęcanie się fizyczne lub psychiczne nad osobą najbliższą lub inną osobą, pozostającą w stałym lub przemijającym stosunku zależności od sprawcy, grozi kara pozbawienia wolności od 3 miesięcy do 5 lat. Jeśli ofiara jest nieporadna ze względu na wiek, stan psychiczny lub fizyczny, kara wynosi od 6 miesięcy do 8 lat. Jeżeli natomiast w grę wchodzi szczególne okrucieństwo, sprawca może pójść do więzienia na okres od roku do 10 lat.

Kto uważnie przyjrzy się tym zagrożeniom, dostrzeże, że zakresy możliwych kar na siebie zachodzą. Jeśli ktoś będzie znęcał się nad psem, może trafić do więzienia na 3, a nawet na 5 lat. Jednocześnie jeśli ktoś pobije człowieka, a człowiek ten wskutek pobicia umrze – sprawca może dostać karę 2 lat pozbawienia wolności. Za znęcanie się nad bezradnym dzieckiem można pójść siedzieć na pół roku, a za rzekome znęcanie się nad rybą – na wspomniane już 3, a nawet 5 lat. Gołym okiem widać, że coś tu nie gra.

System kar stosowanych przez państwo powinien mieć dwie cechy. Po pierwsze – powinien odzwierciedlać założenia, na jakich to

państwo się opiera. Jeżeli na przykład państwo deklaruje w swojej konstytucji, że życie jest w nim chronione od poczęcia, kodeks karny powinien to założenie uwzględniać. Po drugie – powinien być spójny. Spójność oznacza, że kary przewidziane za poszczególne czyny muszą tworzyć hierarchię, odpowiadającą przyjętym założeniom. Jeżeli państwo uznaje – a przynajmniej w teorii tak nadal w Polsce jest – że życie ludzkie jest warte więcej niż życie zwierzęcia, system kar nie może zakładać, że w jakichkolwiek okolicznościach pozbawienia życia człowieka będzie karane łagodniej niż pozbawienie życia zwierzęcia. Kary za zabicie człowieka – być może z wyłączeniem nieumyślnego spowodowania śmierci – powinny zaczynać się na tym poziomie, gdzie kończą się kary za zabicie zwierzęcia. Jak jednak widać, tak już w Polsce nie jest. To zaś z kolei ma oczywiście wpływ na postrzeganie wartości życia ludzkiego i zwierzęcego.

PYTANIE DENNISA PRAGERA

Amerykański konserwatywny publicysta, zwolennik wolnego rynku, gospodarz programu radiowego, pisarz i wykładowca Dennis Prager wielokrotnie opowiadał, że swoim studentom od dekad zadaje to samo pytanie: gdyby zobaczyli, że topi się ich ukochany pies oraz obcy człowiek – kogo ratowaliby w pierwszej kolejności? Prager twierdzi, że odpowiedzi zawsze były takie same: około jednej trzeciej wybierało człowieka, tyle samo – psa, a ostatnie 33 proc. stwierdzało, że pytanie jest zbyt trudne. To wynik mało optymistyczny: tylko jedna trzecia uznaje, że ludzkie życie jest w oczywisty sposób najważniejsze.

Badania oparte na podobnym pytaniu prowadzono również w reżimie naukowym. W 2015 r. w czasopiśmie *Anthrozoös. A multidisciplinary journal of the interactions of people and animals* opublikowano artykuł Richarda Topolskiego, J. Nicole Weaver, Zachary'ego Martina i Jasona McCoya zatytułowany „Choosing between the Emotional Dog and the Rational Pal: A Moral Dilemma with a Tail”¹ („Wybierając mię-

1 Richard Topolski, J. Nicole Weaver, Zachary Martin, Jason McCoy: „Choosing between the Emotional Dog and the Rational Pal: A Moral Dilemma with a Tail”, <http://dx.doi.org/10.2752/175303713X13636846944321>

dzy emocjonalnym psem a racjonalnym gościem: dylemat moralny z ogonem”). Niech nie zmyli nas lekki tytuł – badanie jest bardzo interesujące, szczególnie że badacze specjalizujący się w neuropsychologii nieco podnieśli poziom komplikacji. Respondenci dostawali za każdym razem do wyboru człowieka o innym stopniu pokrewieństwa w kontrze do zwierzęcia własnego albo obcego. Oto, jakie uzyskali wyniki na próbie 573 osób (z podziałem na płeć).

Ratowany człowiek	Ratowane zwierzę	Płeć respondenta	Odsetek deklarujących ratowanie psa
Zagraniczny turysta	Własne	Kobieta	44,9
		Mężczyzna	30,1
	Cudze	Kobieta	14,9
		Mężczyzna	7,4
Obcy z tego samego miasta	Własne	Kobieta	41,9
		Mężczyzna	27,3
	Cudze	Kobieta	12,7
		Mężczyzna	8,0
Daleki kuzyn	Własne	Kobieta	27,3
		Mężczyzna	15,3
	Cudze	Kobieta	7,4
		Mężczyzna	4,6
Najlepszy przyjaciel	Własne	Kobieta	11,9
		Mężczyzna	3,5
	Cudze	Kobieta	5,1
		Mężczyzna	0,0
Dziadek lub babcia	Własne	Kobieta	4,8
		Mężczyzna	2,8
	Cudze	Kobieta	2,5
		Mężczyzna	2,3
Rodzeństwo	Własne	Kobieta	4,6
		Mężczyzna	0,9
	Cudze	Kobieta	4,2
		Mężczyzna	0,0

Rezultaty są, jak widać, naprawdę fascynujące. Przede wszystkim rzuca się w oczy wyraźna różnica w podejściu kobiet i mężczyzn. Kobiety są znacznie bardziej skłonne ruszać na pomoc zwierzęciu, nawet cudzemu, w każdym scenariuszu. Także tam, gdzie takie zachowanie deklaruje zerowy odsetek mężczyzn. Wy tłumaczeniem jest wrodzona większa emocjonalność kobiet (co zresztą jest odrębnym ciekawym cywilizacyjnym zagadnieniem wobec wymuszonej feminizacji sfery publicznej i polityki).

Druga kwestia to spadająca chęć ratowania zwierzęcia zamiast człowieka, w miarę jak badacze zwiększali w swoich pytaniach bliskość tonącej osoby do respondenta. Widać także, że dla badanych dużą różnicę robi, czy topiące się zwierzę jest ich czy należy do kogoś innego.

Przede wszystkim jednak wstrząsający jest rezultat widoczny w tabeli na samej górze, czyli sytuacja, gdy tonącym jest zagraniczny turysta, a więc osoba możliwie najbardziej obca pytanemu. Niemal 45 proc. kobiet i blisko jedna trzecia mężczyzn ruszyłoby wówczas na pomoc najpierw własnemu zwierzęciu. Nieco tylko mniejszy jest odsetek deklarujących takie zachowanie, gdy tonącym byłby mieszkaniec tego samego miasta, ale kompletny nieznamy.

Zależności, jakie pojawiają się w badaniu Topolskiego, nie są w gruncie rzeczy zaskakujące – mniej więcej tego moglibyśmy się spodziewać po współczesnym Zachodzie. A jednak jeśli spojrzeć na wyniki świeżym okiem – są szokujące. Przecież w gruncie rzeczy nikt z respondentów w żadnym ze scenariuszy nie powinien postawić zwierzęcia ponad człowiekiem. Życie ludzkie jest zawsze ważniejsze. Przy każdym pytaniu odsetek deklarujących ratowanie zwierzęcia, a nie człowieka, powinien być zerowy.

Gdy na Dolnym Śląsku w 2024 r. szalała powódź, media zaczęły informować, że strażacy specjalnie prowadzili działania służące ratowaniu zwierząt. Skrytykowałem takie postępowanie w mediach społecznościowych, zauważając, że w czasie klęski żywiołowej zasoby,

także te w postaci sił ratowników, są zbyt cenne, żeby marnować je na ratowanie samych zwierząt. Absolutnym priorytetem powinno być ludzkie życie. Spotkał mnie wtedy szaleńczy wręcz hejt. Niestety, przykładów podejmowania absurdałnych wręcz wysiłków, aby uratować nawet pojedyncze zwierzę, jest wiele. W lutym 2024 r. media rozpływały się nad akcją ratowników morskich z Kołobrzegu, którzy pokonali 700 km, aby dotrzeć nad Bug i uratować z wysepki jednego szczeniaka. Na zadane przeze mnie pytanie o koszty akcji szef właściwej stacji ratownictwa morskiego odpowiedział w tonie wielce obrażonym, stwierdzając, że ratownicy akcję przedsięwzięli w czasie wolnym. Sprzęt mieli już jednak służbowy. Z punktu widzenia hierarchii ważności i ekonomii kosztów są to działania nie tylko pozbawione sensu, ale zwyczajnie skandaliczne. Zyskują jednak nie tylko akceptację, ale wręcz przyjmowane są z entuzjazmem.

JELONEK BAMBI

Jelonek Bambi pojawił się po raz pierwszy w filmie rysunkowym wytwórni Walta Disneya „Bambi”. Fabułę oparto na powieści austriackiego pisarza żydowskiego pochodzenia Siegmunda Salzmann (1869–1945) „Bambi. Eine Lebensgeschichte aus dem Walde”, która została przetłumaczona na angielski.

Opowieść o Bambim zawiera wiele wątków, które z punktu widzenia dzisiejszego bambinizmu są doskonale znane. Zwierzętom nadane zostają ludzkie cechy. W ich świecie obowiązuje ludzkie rozumienie zła i dobra, istnieją lojalności, przyjaźnie i miłości. Człowiek natomiast występuje wyłącznie jako agresor, który – jest to oczywiście straszny myśliwy – morduje matkę Bambiego, potem strzela do samego głównego bohatera, a na dodatek przez swoją bezmyślność wywołuje pożar lasu.

Film o jelonku Bambim jest źródłem pojęcia bambinizmu. Jakkolwiek był pierwszym tego typu obrazem, to oczywiście nie ostatnim. Do dzisiaj wyprodukowano setki tysięcy filmów i książek, których bohaterami są uczłowieczone zwierzęta, konfrontowane ze złymi ludźmi.

Oczywiście nie tylko popkultura jest źródłem zmiany sposobu patrzenia na zwierzęta z realistycznego na infantylny. Inną ważną przyczyną jest przeniesienie się większości populacji zachodnich państw do miast, wskutek czego jedyny bezpośredni kontakt ze zwierzętami, jaki ma przeważająca część ludzi, to ich własni domowi pupile oraz ewentualnie zwierzęta w zoo. Najczęściej zaś trzymanymi w domach zwierzętami są w Polsce psy i koty. W ten oto sposób całość stosunków pomiędzy ludźmi a zwierzętami jest przez ogromną część populacji postrzegana poprzez pryzmat ich własnych stosunków z sympatycznym stworzeniem, do którego ma się sentyment.

Liczba rolników i gospodarstw rolnych w naszym kraju systematycznie spada od lat, podobnie zresztą jak i w innych rozwiniętych krajach. W 2010 r. gospodarstw było jeszcze trochę ponad 1,5 mln, dziesięć lat później – 1,3 mln. Agencja Restrukturyzacji i Modernizacji Rolnictwa liczbę aktywnych rolników w ubiegłym roku szacuje na 1,1 mln. Z tego tylko część to rolnicy zajmujący się hodowlą zwierząt. Popularność tej gałęzi rolnictwa spada również z powodu wprowadzanych przez UE w tej dziedzinie obostrzeń. W 2023 r. hodowlą zajmowało się jedynie 44 proc. spośród ogólnej liczby gospodarstw, byłoby to zatem w okolicach 500 tys. Kontakt ze zwierzętami jako istotami służącymi człowiekowi mają przede wszystkim właśnie rolnicy. Czy to z powodów etycznych, czy pragmatycznych lub po prostu ze względu na obawę przed sankcją zdecydowana większość traktuje swoje zwierzęta dobrze, ale jednocześnie nie postrzega ich w wyidealizowany sposób. Im jest ich jednak mniej i im mniejszy jest tym samym kontakt większości Polaków z hodowlą gospodarską, tym większe postępy robi bambinizm.

Dodajmy do tego wspieraną przez większość mediów operację na języku. Język jest bardzo ważnym, czasami nawet kluczowym orężem w wielkich cywilizacyjnych sporach. Tu zaś nastąpiło już faktyczne zrównanie zwierząt z ludźmi. Zwierzęta mianowicie „umierają”, a nie zdychają. Są „adoptowane”, a nie przygarniane. Myśliwi z kolei zwierzęta „mordują”. Kampanie prozwierzęcych organizacji dotyczą nie tylko tego, żeby maksymalnie ograniczyć możliwość prowadzenia

polowań albo hodowli zwierząt, ale także tego, aby walczyć ze specjalistycznym, głównie myśliwskim słownictwem, które rzekomo „uprzedmiotawia” zwierzęta. Tak zmieniany język kształtuje świadomość.

ŚWIAT WEDŁUG BAMBINISTÓW

Bambinizm promuje konstrukcję świata, w której człowiek przestaje być najważniejszy. Jest po prostu jeszcze jednym zwierzęciem, i to moralnie raczej wątpliwym, a więc pod pewnymi względami stojącym nawet niżej niż „szlachetny” wilk czy „lojalny” pies. Podobnie jak w przypadku innych złożonych trendów cywilizacyjnych, tak i tutaj trzeba być wyczulonym na wiele jego drobnych przejawów, które ostatecznie składają się na potężne uderzenie. Zwolennicy antyanthropologicznej rewolucji liczą jednak na to, że większość ludzi nie dostrzeże ogólnego schematu. I wygląda na to, że mają rację.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



EKOLOGIA INTEGRALNA A ZWIERZĘTA. ZAGROŻENIE EKOCENTRYCZNE

Mimo jasnego stanowiska Katechizmu Kościoła Katolickiego odnośnie stosunku człowieka do zwierząt, współcześni ludzie, ulegając etyce środowiskowej, podejmują działania zmierzające do podniesienia ich wewnętrznej wartości i zdegradowania samych siebie w hierarchii stworzeń. Niesie to daleko idące konsekwencje moralne i praktyczne. Sporo zamieszania, zwłaszcza wśród katolików, wprowadza nowy „paradygmat ekologii integralnej” ustanowiony przez papieża Franciszka, a popierany i rozwijany przez jego następcę papieża Leona XIV.

Katechizm Kościoła Katolickiego, w punktach od 2415 do 2418, wskazuje na potrzebę poszanowania integralności stworzenia, którego domaga się zresztą siódme przykazanie. Człowiek, najwyżej ustanowiony w hierarchii stworzenia i jako jedyny zdolny do osądu moralnego, ma obowiązek dbania o zwierzęta, rośliny i byty nieożywione, które „są z natury przeznaczone dla dobra wspólnego ludzkości w przeszłości, obecnie i w przyszłości”. Troska ta jednak powinna być rozumna, uwzględniająca ludzkie potrzeby; „jest więc uprawnione wykorzystywanie zwierząt jako pokarmu i do wytwarzania odzieży”. Można także przeprowadzać z ich udziałem eksperymenty medyczne i naukowe, o ile pozostają „w rozsądnych granicach”, tak aby służyły leczeniu i ratowaniu ludzkiego życia. Kościół zastrzega ponadto, że nie należy zadawać zwierzętom niepotrzebnego cierpienia. Nie należy ich też bezsensownie zabijać, jak również wydawać na nie pieniędzy w sytuacji, gdy na świecie tak wiele osób cierpi niedostatek, a środki, którymi dysponujemy, mogłyby ulżyć temu cierpieniu. Nie można także traktować zwierząt jak ludzi i przelewać na nie uczucia należne jedynie tym drugim.

Jednakże od lat 70. ubiegłego wieku, wraz z rozwojem etyki środowiskowej, w środowiskach religijnych zyskuje na znaczenia tak zwana

ekologia integralna. Etyka ta, dodajmy, nie koncentruje się na osobie ludzkiej i relacjach międzyludzkich, lecz na relacji człowieka z przyrodą oraz idei upowszechniania koncepcji zrównoważonego rozwoju, jak również *eko-teologii* zrodzonej z (potępionej niegdyś przez Kościół katolicki) *teologii wyzwolenia*.

Okazuje się, że jest to „nowy paradygmat”. Tak się przynajmniej wyraził papież Leon XIV w przemówieniu z 1 października 2025 roku skierowanym do uczestników konferencji „Rising Hope”, z okazji dziesiątej rocznicy ukazania się encykliki *Laudato si'*. Paradygmat ten zaczyna nadawać nowy kierunek nauczaniu społecznemu Kościoła. Niestety, nie zawsze pożądanym, inspirując tysiące ludzi na świecie do angażowania się w przekształcanie obecnego świata.

POJĘCIE EKOLOGII INTEGRALNEJ I JEJ INSPIRACJE

Gdy tylko w maju 2015 roku pojawiła się encyklika papieża Franciszka *Laudato si'*, proponująca w czwartym rozdziale „paradygmat ekologii integralnej”, jezuita o. John Conley w tekście o znamienitym tytule *An Elusive Integral Ecology* [Nieuchwytna ekologia integralna], opublikowanym 21 lipca 2015 roku na łamach lipcowego wydania „America Magazine”, wyjaśnił że pojęcie ekologii integralnej jest szeroko stosowane we współczesnych kręgach ekologów, ale znaczenie tego terminu jest często niejasne.

Niektórzy naukowcy uważają ekologię integralną za dziedzinę multidyscyplinarnego badania jednostek środowiskowych. Część ekonomistów używa też tego zwrotu, by podkreślić, że problemów środowiskowych nie można oddzielić od kwestii produkcji i konsumpcji. Prócz tego można wskazać filozofów, którzy postrzegają ekologię integralną jako nową formę naturalizmu.

Jak twierdzi o. John Conley, termin ten ma również charakterystyczne katolickie znaczenie. Duchowny powołuje się przy tym na encyklikę papieża Pawła VI, notabene ulubiony dokument propagatora Agendy 2030 i depopulacji, prof. Jeffreya Sachsa. Chodzi mianowicie

o *Populorum progressio* z 1967 roku. Właśnie tam jest mowa o integralnym rozwoju człowieka.

W kontekście wspomnianej encykliki o. Conley wspomniał o głębszych inspiracjach myślą francuskiego teologa i filozofa Jacques'a Maritaina i jego *humanizmu integralnego*, zakładającego większe zaangażowanie polityczne katolików i ich współpracę ze świeckimi humanistami (ateistami) w promowaniu *demokracji obywatelskiej*.

Zdaniem jezuita, różne koncepcje ekologii integralnej – za wyjątkiem naturalistycznej – wyraźnie wpłynęły na treść encykliki Franciszka *Laudato si'*. Dokument ten wspomina bowiem, że problemy środowiskowe i gospodarcze pozostają ze sobą w nierozłącznym związku, zaś celem człowieka jest dążenie do uczynienia systemu ekonomicznego na ziemi jak najdoskonalszym, tak, aby dzięki temu mogła wzrastać godność ludzka.

Niewątpliwie myśl Maritaina odegrała ogromną rolę w ukształtowaniu całego soborowego i posoborowego nauczania Kościoła. Jego *personalizm chrześcijański*, który stał się też fundamentem koncepcji godności człowieka, został zarysowany m.in. w pracach *Humanizm integralny* i *Trzej reformatorzy*, notabene przetłumaczonych przez Pawła VI. Sam papież uważał się zresztą za ucznia francuskiego filozofa.

Maritain opracował i uczestniczył w uchwaleniu Powszechnej Deklaracji Praw Człowieka. Ten „chrześcijański racjonalista” uważał siebie za „tomistę otwartego” na różne nurty filozoficzne. Sądził, że wolność wyboru to atrybut osoby ludzkiej i podstawowe prawo życia społecznego. „Wolność wyboru ma człowiek po to, aby dojść do (...) wolności autonomii, do wolności końcowej”, pisał.

„Wolność autonomii” to z kolei umiejętność kierowania sobą. Zgodnie z myślą Maritaina, człowiek dąży do dwóch celów absolutnie ostatecznych. Pierwszy z nich to cel czysto naturalny, czyli doskonały dobrobyt na ziemi. Drugi, nadprzyrodzony to doskonałe szczęście w niebie.

Myśliciel sformułował również koncepcję *demokracji personalistycznej*, która opiera się na pełnym zaangażowaniu politycznym i społecznym jednostki, wolności, równości, braterstwie i pluralizmie poglądów; na wspólnotowym działaniu dla dobra wspólnego.

W jaki sposób Maritain zamierzał godzić sprzeczne światopoglądy, by móc rozwijać współpracę w społeczeństwie? Przede wszystkim poprzez „świecką wiarę demokratyczną”. Wszyscy obywatele mają cieszyć się gwarantem wolności sumienia. Należy też znaleźć pewne wspólne „wartości”, wokół których ogniskować się będzie aktywność obywateli.

Jacques Maritain, jako prekursor Vaticanum II, którego inspiracje widoczne są w dwóch kluczowych dokumentach soborowych: *Konstytucji duszpasterskiej o Kościele w świecie współczesnym* (*Gaudium et spes*) i *Deklaracji o wolności religijnej* (*Dignitatis humanae*), już w latach 30. minionego wieku podkreślał, że model średniowiecznej *Christianitas* po prostu się zdezaktualizował. Ten przyjaciel lewicowego aktywisty, Saula Alinsky’ego, w miejsce dawnych idei proponował *demokrację personalistyczną*. Tym samym starał się połączyć katolicyzm z nowoczesnością, zaś aktywność religijną z zaangażowaniem politycznym.

Maritain był również inspiratorem chrześcijańskiej demokracji. Przekonywał zatem, że droga do nowego ładu społecznego prowadzi poprzez „uwolnienie się” od „anachronicznych wyobrażeń na temat prawdziwie chrześcijańskich form instytucji politycznych” i sposobu ich powiązania z nauką zawartą w Ewangelii. Wymagało to radykalnego przewartościowania panującego od wielu stuleci katolickiego sposobu rozumienia związku między religią i Kościołem a państwem i polityką. Maritain opowiadał się za stałym dostosowywaniem chrześcijaństwa do zmieniających się „wymogów historycznych”, ponieważ niedostosowanie prowadzić musi – w jego przekonaniu – do różnych kryzysów.

Jak już wspomniano, francuski filozof inspirował papieża Pawła VI, z którym pozostawał w bliskich relacjach aż do napisania encykliki

Populorum progressio. Dokument ten wskazywał na potrzebę zastąpienia koncepcji średniowiecznego, jednolitego ideowo sakralnego społeczeństwa (*sacrum imperium*) ideałem pluralistycznego społeczeństwa demokratycznego. Powodem była zmiana renesansowego klimatu z sakralnego na świecki. Jest to zresztą główna teza *humanizmu integralnego* Maritaina, do której nawiązał Paweł VI.

Zastąpienie „konfliktogennego” ideału średniowiecznej *sacrum christianitas* pluralistyczną demokracją personalistyczną miało – w opinii filozofa – przynieść postęp, szereg funkcjonalnych rozwiązań w życiu społecznym. Maritain spodziewał się, że dzięki temu nastąpi przeskok na wyższy etap w rozwoju ludzkości.

Prof. Jeffrey Sachs, stały gość watykańskich konferencji, twórca i współautor tak deklaracji oengetowskich, jak i dokumentów instytutów watykańskich, w tym encykliki środowiskowej papieża Franciszka, podczas swoich wykładów chętnie cytuje fragment dokumentu *Populorum progressio* (o popieraniu rozwoju ludów) z 1967 roku. Sugeruje on konieczność ograniczenia liczby ludności na świecie, która zanadto obciąża ekosystemy i planetę (vide: wykłady w London School of Economics and Political Science poświęcone zrównoważonemu rozwojowi, gospodarce globalnej i „sprawiedliwości klimatycznej”).

Wspomniana wyżej encyklika poświęcona jest kwestiom rozwoju, postępu, humanizmu, problemowi ubogich państw, luki cywilizacyjnej między krajami Północy i Południa, rządowi światowemu, etc. Wszystko to stanowi klucz do zrozumienia nauczania Kościoła o tzw. integralnym rozwoju człowieka oraz ekologii integralnej. Niestety, zawiera ona niefortunne sformułowania odnoszące się do obaw części ówczesnego społeczeństwa, które pozostaje pod wpływem ideologów bijących na alarm z powodu szybkiego wzrostu ludności na świecie.

Warto wspomnieć, że o integralnym rozwoju pisali Jan Paweł II, Benedykt XVI i Franciszek.

Na przykład integralny rozwój człowieka w ujęciu Papieża-Polaka obejmuje wszechstronny rozwój, we wszystkich jego aspektach, i rozwój całej społeczności ludzkiej. Jan Paweł II akcentował godność człowieka i jego wolność, jednocześnie wskazując, że rozwój musi się opierać na miłości Boga i bliźniego oraz przyczyniać się do polepszenia stosunków między jednostką a społeczeństwem, budując *cywilizację miłości*. Jak zaznaczał, człowiek staje się w pełni sobą, jeśli na poziomie ludzkim i duchowym realizuje swoje wrodzone, otrzymane od Boga potencjalności.

Z kolei 8 lipca 2009 roku Benedykt XVI wygłosił w Watykanie katechezę na temat siły napędowej rozwoju. Zaprezentował tam swoją encyklikę *Caritas in veritate*.

Benedykt XVI przypomniał, że *Populorum progressio* Pawła VI to kamień milowy społecznego nauczania Kościoła, gdzie „ten wielki Papież wyznacza pewne, konkretne i wciąż aktualne linie dla integralnego rozwoju człowieka i współczesnego świata”. Wspominał m.in. o „skandalu” ogromnych nierówności, reformie kapitalizmu, nowej etyce, nowym stylu życia czy obowiązkach wobec środowiska. „Chcąc więc zaplanować rozwój nie naznaczony nieprawidłowościami i wypaczeniami szeroko dziś rozpowszechnionymi, od wszystkich trzeba wymagać poważnej refleksji nad sensem samej ekonomii i nad jej celem. Wymaga tego stan ekologicznego zdrowia planety; domaga się tego kryzys kulturowy i moralny człowieka, wyraźnie widoczny we wszystkich zakątkach globu” – stwierdził papież.

Benedykt XVI mówił też o potrzebie ekumenizmu. Zaapelował zatem o tworzenie „sprzyjających warunków do stymulacji współpracy wierzących i niewierzących, we wspólnej perspektywie starań o sprawiedliwość i pokój na świecie” w duchu pomocniczości i solidarności. Wskazał także na „konieczność światowej władzy politycznej”, która rozwiązywałaby problemy globalne (to akurat swoiste *novum posoborowe*), stosując zasady pomocniczości i solidarności.

Benedykt XVI „poszedł z duchem” prądów i dyskusji prowadzonych od lat 50. ubiegłego wieku, a zmierzających do reformy kapitalizmu, tworzenia nowego ładu ekonomicznego, wyrównania luk w rozwoju między bogatymi i biednymi, jednocześnie wskazując na potrzebę integralnego rozwoju człowieka: cielesnego i duchowego. W ujęciu papieża ten duchowy aspekt obejmuje oczywiście wiarę w jednego Boga, a nie, jak postuluje „ekologia głęboka” – panteizm.

Za pontyfikatu Franciszka nastąpiła wyraźne przesunięcie akcentów związanych z integralnym rozwojem człowieka w kierunku etyki środowiskowej. Tenże papież wprowadził do dokumentów kościelnych pojęcie *ekologii integralnej*.

Samo to pojęcie już od kilkadziesiąt lat funkcjonuje w świeckiej przestrzeni. Ekologia integralna przedstawia się jako „nowy paradygmat teorii i praktyki ekologicznej”, „zintegrowane podejście do ekologii” (czyli w praktyce przekraczanie granic między naukami humanistycznymi, społecznymi i biofizycznymi), mającym na celu kompleksowe zrozumienie i reakcję na przenikanie się natury, kultury oraz „świadomości ekologicznej”. To nowy „paradygmat sprawiedliwości”: „sprawiedliwości społecznej” i „sprawiedliwości klimatycznej”.

Po raz pierwszy tego określenia użyli w 1995 roku kapłani i piewcy teologii wyzwolenia, Boff i Elizondo. Ten ostatni, oskarżony o molestowanie seksualne, popełnił samobójstwo w Roku Miłosierdzia (2016).

Twórcy nowej etyki starają się wywodzić jej źródła od Arystotelesa, choć kluczowy dla jej rozwinięcia był przełom wieku XIX i XX, a zwłaszcza myśl biologów Ernsta Haeckla i Karola Darwina, a później także amerykańskiego leśnika Aldo Leopolda, który uważał Ziemię za „żywą istotę”, mającą „co najmniej tyle samo praw, co człowiek”. Leopold twierdził, że etyka przechodzi ewolucję od relacji między ludźmi do relacji z całą przyrodą, stając się ostatecznie etyką „wielkiej wspólnoty życia”, w której prawa ludzi są zrównywane z prawami innych „istot”.

Dla niego „ekologia integralna” oznacza dynamiczny proces integracji, obejmujący nie tylko sferę biologii, ale także rozwój ludzkiej moralności. Człowiek ma przestać być zdobywcą, podporządkowującym sobie Ziemię, lecz zwykłym członkiem „wielkiej wspólnoty życia”.

Zainspirował on Rachel Carson do napisania w 1962 roku książki *Silent Spring*, która wskazywała na istniejącą sieć współzależności między ludźmi a środowiskiem. Potem pojawiła się seria publikacji propagujących ideologię zrównoważonego rozwoju.

Wpływ na rozwój ekologii integralnej mają mieć także francuski teoretyk złożoności, Edgar Morin, który postuluje „ewolucję w kierunku planetarnej świadomości i planetarnej solidarności”, czy eko-teolog o. Thomas Berry, uważający, że celem wszystkich dążeń człowieka powinno być uchronienie Ziemi przed wyczerpywaniem się jej zasobów wskutek działalności człowieka. Dlatego każdy z nas powinien dbać o „zdrowie planety”. Człowiek – w jego mniemaniu – nie może koncentrować się na własnym zbawieniu, lecz na „budowaniu więzi z innymi”. Jak przekonywał o. Berry, „rzeczywistość Chrystusa jest wspólnotą pomiędzy różnymi poziomami rzeczywistości kosmicznej, społecznej i osobowej”. Duchowny przypisywał przyrodzie pewną „duchowość”, z którą powinniśmy być zjednoczeni (panteizm).

Inna ważna postać tego ruchu to Ken Wilber, twórca teorii integralnej, o którym mówi się że próbuje stworzyć syntezę wszelkich możliwych „paradygmatów”. Wspomina on m.in. o integralnej świadomości, integralnej duchowości, itp.

I wreszcie inni twórcy ekologii integralnej to Michael Zimmerman i Esbjörn-Hargens. Obaj w swoich badaniach nad środowiskiem i ekologią stosowali teorię integralną.

W przemówieniu z 2025 roku papież Leon XIV przypomniał, że owa ekologia rozwija się poprzez zaangażowanie we wzrastanie w czterech relacjach: z Bogiem, z innymi, z naturą i z samym sobą, poprzez „nieustanną postawę nawrócenia”. Miało to miejsce, zauważmy,

w dziesiątą rocznicę wydania encykliki *Laudato si'*, poświęconej „trosce o nasz wspólny dom”, w której pojawił się wspomniany paradygmat ekologii integralnej. *Laudato si'* wzywa nas do „jedności i współpracy”, by było słyszalne „wołanie Ziemi i krzyk ubogich”.

Leon XIV chwalił wszelkie ruchy i organizacje, które powstały dzięki inspiracji encykliką swojego poprzednika, efekty Platformy Działania *Laudato si'* i wezwał „wszystkich członków społeczeństwa, poprzez organizacje pozarządowe i grupy aktywistów”, by wywierały „presję na rządy, aby opracowały i wdrożyły bardziej rygorystyczne przepisy, procedury i kontrole”, by wymusić „złagodzenie szkód wyrządzonych środowisku naturalnemu”.

Jednocześnie wspomniał, że encyklika Franciszka „stała się wielką inspiracją dla Kościoła katolickiego i wielu ludzi dobrej woli”, gdyż „okazała się źródłem dialogu”, „dała początek grupom refleksji, programom akademickim w szkołach i na uniwersytetach oraz różnego rodzaju partnerstwom i projektom na wszystkich kontynentach”. Papież mówił dalej: „Wiele diecezji i instytutów zakonnych zostało zainspirowanych do podjęcia działania na rzecz troski o nasz wspólny dom, pomagając po raz kolejny dać pierwszeństwo ubogim i marginalizowanym. Jej wpływ rozciągnął się nawet na szczyty międzynarodowe, dialog ekumeniczny i międzyreligijny, kręgi gospodarcze i biznesowe, a także studia teologiczne i bioetyczne. Wyrażenie *troska o nasz wspólny dom* znalazło się również w przemówieniach akademickich, naukowych i politycznych”.

Leon XIV nie miał wątpliwości co do tego, że „wyzwania zidentyfikowane w Encyklice *Laudato si'* są dziś bowiem jeszcze bardziej aktualne niż dziesięć lat temu. Mają one charakter społeczny i polityczny, ale przede wszystkim duchowy: wzywają do nawrócenia”.

WPŁYW EKO-TEOLOGII WYZWOLENIA LEONARDO BOFFA

Dziś, wskutek zaangażowania wielu instytucji religijnych w upowszechnianie przekazu pierwszej encykliki środowiskowej, dysponujemy coraz większą liczbą opracowań naukowych. Dla ich twórców

jest czymś oczywistym, że papież Franciszek inspirował się eko-teologią Leonarda Boffa. Wskazuje na to chociażby Emmanuel Oukugbo Ojeifo, autor *Integral Ecology as Theology and Ethics of 'Place'*. Zaznacza on, że „ekologia integralna weszła do dyskursu teologicznego pod koniec ubiegłego wieku dzięki pracom wpływowego brazylijskiego teologa Leonarda Boffa. Boff wzywał do *ekologii integralnej*, łączącej różne podejścia do słuchania *wołania ziemi i krzyku ubogich*”.

Kiedy natomiast „papież Franciszek wydał w 2015 roku swoją przełomową encyklikę ekologiczną *Laudato si'*, umieścił pojęcie ekologii integralnej w centrum swojej dyskusji na temat tego, co musimy zrobić, aby holistycznie zająć się naszym kryzysem społeczno-ekologicznym. W czwartym rozdziale encykliki autor argumentuje, że ‘wszystko jest ze sobą ściśle powiązane’ i że ‘współczesne problemy wymagają wizji, która uwzględni każdy aspekt globalnego kryzysu’ (...). Chociaż encyklika nie definiuje ekologii integralnej, oferuje jednak różne spostrzeżenia, które stanowią użyteczne narzędzie do myślenia o ekologii integralnej jako o ramach pojęciowych, które priorytetowo traktują wzajemne powiązania i współzależność wszystkich aspektów rzeczywistości: społecznej, środowiskowej, biologicznej, ekonomicznej, politycznej, duchowej, kulturowej, edukacyjnej, naukowej i technologicznej. Z tego powodu Elizabeth Gandolfo (2023, s. 28) argumentuje, że zamiast mówić o ‘ekologii integralnej’ w liczbie pojedynczej, powinniśmy raczej mówić o niej w liczbie mnogiej, ponieważ ‘ekologie integralne to pluralistyczne sposoby bycia człowiekiem, które uznają i realizują współzależność całej rzeczywistości’. Większość teologicznych rozważań nad tą koncepcją uwzględnia te różne wymiary”.

Ekologia integralna bazuje na „zintegrowanym podejściu” do „jednego złożonego kryzysu, który jest zarówno społeczny, jak i środowiskowy”. Wskazuje na to Franciszek, domagając się przy tym kompleksowego rozwiązania owego kryzysu i to nie „z jednej perspektywy”, czy z punktu widzenia „jednego zbioru interesów”. Papież mówi o przyjęciu „szerszego horyzontu”. Wzywa do zintegrowanych szerokich ram, które umożliwią transformację i odejście od „paradygmatu

technokratycznego”. Twierdzi, że „potrzebny jest odrębny sposób patrzenia na rzeczy, sposób myślenia, polityka, program edukacyjny, styl życia i duchowość, które razem generują opór wobec ataku paradygmatu technokratycznego”.

Ekologia integralna obejmuje zatem każdą dziedzinę nauki, mądrość ludów tubylczych czy różne religie. Franciszek pisze: „Uwzględniając złożoność kryzysu ekologicznego i jego wielu przyczyn, musimy uznać, że jeden jedyny sposób interpretowania i przekształcania rzeczywistości nie przynosi rozwiązań. Konieczne jest również odwołanie się do różnorodnego bogactwa kulturowego narodów, sztuki i poezji, do życia wewnętrznego i duchowości. Jeśli naprawdę chcemy budować ekologię pozwalającą nam naprawić to wszystko, co zniszczyliśmy, to nie można pomijać żadnej dziedziny nauki i mądrości, także religijnej, z jej specyficznym językiem. Ponadto Kościół katolicki jest otwarty na dialog z myślą filozoficzną, a to pozwala mu tworzyć różne syntezy wiary i rozumu. W odniesieniu do kwestii społecznych można to dostrzec w rozwoju nauki społecznej Kościoła, która wychodząc od nowych wyzwania, musi się coraz bardziej ubogacać” (pkt 63).

Zintegrowane podejście dotyczy również „walki z ubóstwem, przywracania godności wykluczonym i jednocześnie zatroszczenia się o naturę” (pkt 139).

Przez cały swój pontyfikat, Franciszek, jak żaden inny papież, splótł teologię moralną, system zarządzania Kościołem katolickim i dyplomację państwa watykańskiego z globalną polityką, realizując świecką wizję eko-społecznej transformacji opracowanej przez agendy oenzykowskie. I chociaż mówił o godności ludzkiej, poprzez swoje niejasne sformułowania, zachęcał instytucje działające w ramach Kościoła do szerzenia rewolucyjnej, ekocentrycznej etyki.

Boff, który przygotował wraz z prof. Stevenem Rockefellerem oraz sowieckim przywódcą Michaiłem Gorbaczowem i niezwykle wpływowym oenzykowskim urzędnikiem Mauricem Strongiem Kartę Ziemi, wskazał, że encyklika środowiskowa papieża Franciszka, „Magna

Carta ekologii integralnej”, po raz pierwszy „w tak kompletny sposób odniosła się do kwestii ekologii w sensie ekologii integralnej – jak żaden dokument ONZ i rozwija nowy paradygmat ekologiczny” (zob. *The Magna Carta of integral ecology: cry of the Earth-cry of the poor*, wpis Boffa z 18 czerwca 2015 r. na stronie leonardoboff.org).

Jej charakterystyczną cechą jest to, że „stanowi owoc kolegalności, doceniając wkład dziesiątek konferencji biskupów na całym świecie, od USA po Niemcy, Brazylię, Patagonię-Comahue i Paragwaj”. Czerpie od Pierre’a Teilharda de Chardin, który dążył do stworzenia koncepcji panteistycznej, a także od Romana Guardiniego, Dante Alighieriego, Juana Carlosa Scannone’a, protestanta Paula Ricoeura i sufickiego muzułmanina Ali Al-Khawwasa.

W dużej mierze papież oparł się na dokumentach CELAM, zwłaszcza na konferencjach z Medellin (1968), Puebla (1979) i Aparecida (2007), postulujących zaangażowanie katolików w walkę o wyzwolenie z ubóstwa. Tematy „wspólnego domu”, „Matki Ziemi”, „wołania Ziemi i krzyku ubogich”, „troski o współzależność wszystkich istot”, „ubogich i bezbronnych”, „zmiany paradygmatu”, „ekologii integralnej” – są żywo dyskutowane w Ameryce Łacińskiej. Papież miał przyjąć także metodologię przygotowywania dokumentów tamtejszych kościołów lokalnych. Przywoływał terminologię Boffa dotyczącą „wołania Ziemi i krzyku ubogich”. Łączył kwestię środowiskową z ekologiczną. Wielokrotnie używał określeń charakterystycznych dla nowego paradygmatu, takich jak: „wszystko jest połączone” (pkt 117), „wszystko jest powiązane” (pkt 120). Mówił o wewnętrznej wartości każdej istoty. Ganił wąską perspektywę dominacji ludzi. Wspomnił o „cnotach ekologicznych” (pkt 88) i „cytował Patriarchę Ekumenicznego Bartłomieja z Kościoła Prawosławnego, który „uznaje, że grzechy przeciwko stworzeniu są grzechami przeciwko Bogu” (pkt 7). Stąd pilna potrzeba zbiorowego nawrócenia ekologicznego, aby przywrócić utraconą harmonię”.

Powołując się na Kartę Ziemi, papież wskazał na konieczność szukania „nowego początku”, „jednego świata ze wspólnym projektem” (pkt

164). By urzeczywistnić nowy projekt, konieczny okazał się dialog religii z nauką, budowanie „ekologicznego obywatelstwa”, nowego stylu życia, obejmującego sojusz człowieka z przyrodą.

Ludzie winni skupić się na „nawróceniu ekologicznym”, które obejmuje „duchowość ekologiczną” (pkt 216), aby żyć w równowadze ekologicznej „z tymi, którzy są solidarni w sobie, z innymi, z naturą, ze wszystkimi żywymi i duchowymi istotami i z Bogiem”.

Encyklika głosi także (pkt 207): „Karta Ziemi zachęciła nas wszystkich do porzucenia tego etapu autodestrukcji i rozpoczęcia wszystkiego od nowa, ale nie rozwinęliśmy jeszcze świadomości uniwersalnej umożliwiającej ten proces. Dlatego śmiem zaproponować ponownie cenne wezwanie tego dokumentu: Jak nigdy przedtem w historii, wspólne przeznaczenie zmusiło nas do szukania nowego początku (...). Niech nastanie czas pamiętany jako przebudzenie nowego szacunku do życia, mocnego postanowienia osiągnięcia równowagi, przyspieszenia walki o sprawiedliwość i pokój oraz radosnej celebracji życia”.

Także późniejsze dokumenty papieża, jak adhortacja posynodalna *Querida Amazonia*, która ukazała się po Synodzie Panamazońskim (to tam towarzyszyły mu pogańskie rytuały związane z celebracją Pachamamy, tj. „Matkę Ziemią”), akcentują kwestie *eko-teologii* powstałej w następstwie przemianowania przez Leonardo Boffa potępionej przez Kościół *teologii wyzwolenia*. Ta wzywała do walki zbrojnej kapłanów w celu urzeczywistnienia „sprawiedliwości społecznej” i wyzwolenia ciemnionych ludów.

Boff tłumaczył w wywiadzie z 2016 r., że „istotą teologii wyzwolenia jest upodmiotowienie biednych, by położyć kres ubóstwu i osiągnąć wolność do prowadzenia dobrego życia”. „W latach osiemdziesiątych – mówił – zdaliśmy sobie sprawę, że logika wspierająca wykorzystywanie pracowników była taka sama jak logika wspierająca wykorzystywanie Ziemi. Z tego względu narodziła się eko-teologia wyzwolenia. Aby ruch ten był skuteczny, ważne jest stworzenie nowego paradygmatu opartego na kosmologii, biologii i teorii złożoności.

Globalna wizja rzeczywistości musi być zawsze otwarta na tworzenie nowych form porządku, w których życie ludzkie może ewoluować. Wizja Jamesa Lovelocka [hipoteza Gaji – przyp. AS] i V. I. Wiernadskiego [noosfera – przyp. AS] pomogła nam zobaczyć nie tylko to, że życie istnieje na Ziemi, ale także, iż sama Ziemia jest żywym organizmem. Człowiek stanowi najwyższy wyraz stworzenia Ziemi ze względu na naszą zdolność do odczuwania, myślenia, kochania i wielbienia” (*Liberation Ecology – Toward Transformative Vision and Praxis*, wywiad z sierpnia 2016 roku udzielony Allenowi White’owi z Tellus Institute).

Boff wyjaśnił, że z powodu nałożonego przez Watykan *silentium obsequiosum* w 1985 roku, skupił się na ekologii i nauce o Ziemi. „Zbiegło się to z zaproszeniem do uczestnictwa w małej międzynarodowej grupie zwołanej przez Michaiła Gorbaczowa i Stevena Rockefellera w celu zbadania uniwersalnych wartości oraz zasad niezbędnych, by ratować Ziemię przed wieloma zagrożeniami”. Dalej wskazał: „Miałem też okazję spotkać się z czołowymi naukowcami, aktywnie uczestnicząc w opracowaniu tekstu, który znacząco zainspirował najnowszą encyklikę papieża Franciszka *Laudato si’*. Byłem zdeteminowany do tego, by zapewnić, że poglądy Karty Ziemi będą oparte na nowym paradygmacie, obejmującym współzależność wszystkich stworzeń – a nawet całej żywej tkanki – i potrzebę wzajemnej opieki. Ten paradygmat musi wykraczać poza ekologię czysto środowiskową, po ekologię integralną, która obejmuje społeczeństwo, ludzką świadomość, edukację, życie codzienne i duchowość”.

Zdaniem brazylijskiego teologa, nowa koncepcja *eko-teologii wyzwolenia* ma jednoczyć i budować solidarność światową. A to w przeciwieństwie do „wszystkich religii, które wykazują oznaki choroby fundamentalizmu” i przyczyniają się do „rozlewu krwi”. To właśnie dlatego, jego zdaniem, dalajlama Desmond Tutu czy papież Franciszek „domagają się współpracy między religiami i ścieżkami duchowymi”. Wszystko po to, aby „pomóc przezwyciężyć obecny kryzys ekologiczny”.

Z wywiadu wynikało także, iż zdaniem Boffa, podejmowane przez papieża działania zmierzały do stopniowej transformacji instytucji

religijnych i przemiany w kierunku „cywilizacji planetarnej”. Proces ten określa mianem „Wielkiej Przemiany”, która ma zapobiec niepokojom na dużą skalę, do których doprowadzi nas wyczerpywanie się zasobów Ziemi. „Karta Ziemi wyraźnie stwierdza, a Papież Franciszek powtórzył to: wspólne przeznaczenie wzywa nas do szukania nowego początku. To wymaga zmiany w umyśle i sercu. Wymaga nowego poczucia globalnej współzależności i powszechnej odpowiedzialności, aby osiągnąć zrównoważony sposób życia na poziomie lokalnym, regionalnym, krajowym i globalnym. Jest to podstawa innego sposobu zamieszkania we Wspólnym Domu, w którym zasoby materialne są ograniczone. Natomiast kapitał ludzki i duchowy są niewyczerpane”.

SIEDEM CELÓW *LAUDATO SI'* I PLATFORMA DZIAŁANIA *LAUDATO SI'*

16 maja 2021 roku Watykan – na wzór oengetowskiej Agendy na rzecz Zrównoważonego Rozwoju 2030, która wyznacza 17 celów i 169 zadań do realizacji – ogłosił siedem celów *Laudato si'*. Obejmują one kolejno „odpowiedź na wołanie Ziemi; odpowiedź na krzyk ubogich; ekonomię ekologiczną; przyjęcie prostego stylu życia; edukację ekologiczną; duchowość ekologiczną; nacisk na zaangażowanie społeczności i działania partycypacyjne”. Ich realizacja, wespół z celami Agendy 2030, miałyby zaowocować osiągnięciem „całkowitego zrównoważenia”.

Watykan oficjalnie ogłosił 7 celów *Laudato si'* w ramach tygodniowych obchodów z okazji piątej rocznicy wydania encykliki. Podobnie jak w przypadku Agendy, ustanowiono wskaźniki monitorujące postęp w realizacji celów, których jest ponad dwa tuziny, a z których są rozliczane podmioty kościelne i placówki edukacyjne, raportujące o stanie wdrażania celów. Watykan bada postęp w zakresie neutralności pod względem emisji dwutlenku węgla, ochrony różnorodności biologicznej, „sprawiedliwości klimatycznej” i społecznej dla zmarginalizowanych sektorów, wycofywania inwestycji w paliwa kopalne, etc.

W 2021 roku, zgodnie z zapowiedzią Watykańskiej Dykasterii ds. Integralnego Rozwoju Człowieka, uruchomiono „Platformę działania *Laudato si'*”. Funkcjonujący w jej ramach siedmioletni plan zachęca katolickie diecezje, zakony, szkoły i inne instytucje do zaangażowania

się w oddolne „ekologiczne nawrócenie”. Stolica Apostolska próbuje wciągnąć różne instytucje w ten plan działania. Przykładowo, późną jesienią 2021 roku rektor Colleen M. Hanycz zobowiązała kanadyjski Xavier University do udziału „w siedmioletniej podróży Papieża Franciszka w kierunku ekologii integralnej”. To zobowiązanie wymagało od uczelni opracowania Planu działania *Laudato si'*, uwzględniającego każdy z siedmiu celów papieskiej encykliki. I tak w ramach odpowiedzi na „wołanie Ziemi” przewidziano przejście na Odnawialne Źródła Energii, neutralność pod względem emisji dwutlenku węgla, ochronę bioróżnorodności, promowanie zrównoważonego rolnictwa i zagwarantowanie wszystkim dostępu do czystej wody. Odpowiadając na „krzyk ubogich” wezwano do promowania eko-sprawiedliwości, która polega na ochronie wszelkich form życia na Ziemi i wdrażania rozbudowanych programów socjalnych. „Ekonomia ekologiczna” zaś wymaga promocji ograniczenia konsumpcji, gospodarki o obiegu zamkniętym czy pozbywania się paliw kopalnych. Przyjęcie „prostego stylu życia” wiąże się na przykład z promocją recyklingu, diety opartej na warzywach, a nie mięsie, większego korzystania z transportu publicznego, „aktywnej mobilności (chodzenia, jazdy na rowerze)”.

Co więcej, na stronie Platformy Działania *Laudato si'* można zapoznać się z licznymi materiałami edukacyjnymi kierowanymi do duchownych i świeckich, które zachęcają do odejścia od etyki antropocentrycznej.

OD ANTROPOCENTRYZMU KU EKOCENTRYZMOWI

15 sierpnia 2023 roku Stolica Apostolska poinformowała, że papież Franciszek wyraził uznanie dla Panamerykańskiego Komitetu Sędziów ds. Praw Społecznych i Doktryny Franciszkańskiej jako prywatnego stowarzyszenia wiernych o charakterze międzynarodowym. Pod auspicjami tego gremium działa nowy Instytut Badań Prawnych Ojca Bartolomé de las Casas, poświęcony promocji praw społecznych i odwróceniu skutków kolonializmu. Organizacja ma chronić i promować prawa społeczne, ze szczególnym naciskiem na zmarginalizowane grupy, które ucierpiały wskutek procesów kolonializmu i neokolonializmu.

Jej ambicją jest stworzenie sieci sędziów obejmującej wszystkie kontynenty. Co jest szczególnie niepokojące to fakt, że jej prawnicy są zaangażowani na rzecz tak zwanego orzecznictwa ziemskiego, „praw zwierząt”, uroszczeń zwolenników aborcji, subkultury LGBT+, etc. Zorganizowali oni liczne spotkania we Włoszech, Argentynie, Meksyku, Paragwaju. Wydali szereg oświadczeń politycznych, między innymi w sprawie przewrotu na terenie Boliwii czy niepokojów w Chile.

Franciszek zatwierdził statut organizacji, a następnie powołał na pięcioletnią kadencję na przewodniczącego COPAJU sędziego Roberto Andrésa Gallardo z Argentyny. Jego zastępcą została Ana Algorta Latorre z Brazylii, a sekretarzem Gustavo Daniel Moreno z Argentyny. Na czele nowo powołanego Instytutu stanęli profesorowie: Raúl Eugenio Zaffaroni, Alberto Filippi i Marcelo Suárez Orozco.

Wkrótce po tym, gdy okazało się, że w najwyższych władzach nowo powołanego Instytutu zasiądzie Eugenio Zaffaroni, były członek Sądu Najwyższego Argentyny w latach 2003-2014, jak również sędzia Międzyamerykańskiego Trybunału Praw Człowieka w latach 2016-2022 i emerytowany wykładowca uniwersytetu w Buenos Aires, podniósł się alarm. Zwracano uwagę na fakt, iż sędzia w swoich orzeczeniach był orędownikiem aborcji oraz uroszczeń lobby mniejszości seksualnych. Ponadto uwikłał się w skandal związany z wykorzystywaniem sześciu spośród jego piętnastu mieszkań do procederu prostytucji z udziałem biednych kobiet z Salvadoru. Pośród lewicujących prawników i aktywistów sędzia cieszy się oczywiście wielką estymą. Jest doradcą w sprawach prawa międzynarodowego, był też silnie związany z prezydentem Nestorem Kirchnerem oraz wiceprezydent Cristiną Fernandez, w imieniu której prosił o ułaskawienie i oczyszczenie z zarzutów.

Zaffaroni jest uważany za twórcę „modelu minimalizmu karnego” (publikacja *En busca das penas perdidas*), który prowadzi do abolicjonizmu, do „stworzenia przestrzeni dla wolności społecznej” oraz odbudowy spójności tkanki społecznej. Zauważmy, że odwołuje się do:

- a) teorii marksistowskiej, wiążąc przestępczość i kryminalizację z kapitalistycznym systemem produkcyjnym;
- b) interakcjonizmu symbolicznego (teoria socjologiczna) i fenomenologii;
- c) Foucaultowskiej teorii władzy-wiedzy.

Stworzony przez niego model reformy systemu karnego, tj. model *realizmu marginalnego*, zakłada likwidację więzień, które postrzega jako rodzaj instytucji kolonialnej. „Walkę z terroryzmem” czy „satanizacją marksizmu” postrzega on jako przejaw „dyskursu kolonialnego”, który sprzeciwia się egalitaryzmowi. Prominentny sędzia postuluje delegitymizację „arbitralnego i brutalnego funkcjonowania systemu karnego” w regionie Ameryki Łacińskiej.

Profesor jest zwolennikiem nie tylko legalizacji prostytucji, lecz również marihuany. Propaguje „prawa” Pachamamy i rewolucję ekocentryczną, która zmienia system prawny („ekologizacja praw człowieka”). Wskazuje na potrzebę zapewnienia szerokich praw zwierzętom. Chce upowszechnienia ekologicznego konstytucjonalizmu, uznania „praw Natury” i „Matki Ziemi”. Wychwala prawa społeczne i potencjał tkwiący w andyjskiej wizji „dobrego życia oraz współistnienia (*sumak kawsay*) harmonii istoty ludzkiej z naturą, Ziemi pojmowanej jako żywy, samoregulujący się super-organizm, zawsze produkujący i reprodukujący życie”. Dodaje, że „Pachamama i Gaja to dwie ścieżki, które szczęśliwie spotykają się w centrum i peryferii mocy planetarnej”. Obie te wizje mają dawać nadzieję na „wspólny dom na Ziemi, w którym uwzględnione będą wszystkie istoty. Wyzwolą nas od apokaliptycznych zagrożeń końca naszej cywilizacji, końca naszego życia”.

Zaffaroni wspiera też oenzetowski program rewolucji ekocentrycznej Harmony with Nature, chwalcąc planetarną etykę ekologiczną, tak zwaną sprawiedliwość klimatyczną i prawa przyszłych pokoleń – koncepcję coraz bardziej rozbudowywaną i zyskującą na znaczeniu pośród globalistycznych elit, które chcą przejścia od antropocentrycznego kształtowania prawa do ekocentrycznego. Wymaga to uznania szeroko rozumianych „praw Natury” (orzecznictwo

ziemskie), rozszerzenia „listy odbiorców praw człowieka” na wszystkie gatunki, z którymi człowiek dzieli planetę i respektowania tych praw, o ile nie naruszają „granic planetarnych” (koncepcja rozwinięta przez Stockholm Resilience Centre). Zaffaroni walczy o „sprawiedliwość ekologiczną”, zgodnie z priorytetem zasad zrównoważonego rozwoju zapisanych w deklaracji z Rio z 1992 roku.

Działania papieża Franciszka i podległych mu instytucji watykańskich wpisują się w inicjatywy podejmowane przez szefa ONZ Antonio Guterresa, który propaguje projekt nowej umowy społecznej. Kładzie on nacisk zarówno na prawa społeczne, jak i prawa przyszłych pokoleń oraz „prawa Natury”.

Adhortacja papieża Franciszka z października 2023 roku *Laudate Deum* to dokument wybitnie polityczny, a nie religijny. Podejmuje on problem „katastrofalnych” zmian klimatu, przez co miał zmobilizować społeczeństwo do podjęcia jeszcze bardziej zdecydowanych działań w celu zwalczania problemu globalnego ocieplenia. *Laudate Deum* uznano za dokument niezwykle ważny dla naszego „pojednania z naturą” i transformacji eko-społecznej. Tak jest przynajmniej w opinii uczestników watykańskiego webinarium, Johana Rockströma, szwedzkiego uczonego, współzałożyciela Poczdamskiego Instytutu Badań nad Wpływem Zmian Klimatu, twórcy koncepcji „granic planetarnych”, czy Christiany Figueres, architekta porozumienia paryskiego w sprawie klimatu z 2015 roku.

O. Daniel Horan OFM uznał, że „duchowy wpływ *Laudate Deum* jest nawet większy niż *Laudato si’*”, ze względu na „wewnętrzne dziedzictwo stworzenia, związek ze wszystkimi stworzeniami i oczywiście z Matką Ziemią”. Ojciec Horan OFM, franciszkanin, teolog i dyrektor Centrum Duchowości w Saint Mary’s College w Notre Dame w stanie Indiana, przekonuje katolików, że *Laudato si’* i *Laudate Deum* stanowią część moralnego nauczania Kościoła. Zachęcał też ludzi, aby pomagali swoim parafiom w rozpowszechnianiu nauk papieża i zmniejszaniu „śladu węglowego” Kościoła.

Idąc dalej, w swojej adhortacji papież przekonywał, że „zmiana klimatu jest jednym z głównych wyzwań stojących przed społeczeństwem i wspólnotą światową”. Mamy tu do czynienia z „dramatem” i „grzechem strukturalnym” (pkt 3).

W pkt. 24 cytowanego dokumentu Franciszek ubolewał, że „brak jest dziś odpowiednio solidnej etyki, kultury i duchowości, które rzeczywiście by ją ograniczały i utrzymywały w ryzach”. Zamiast zwiększać władzę technokratyczną nad światem, papież postulował budowanie harmonijnej relacji ze środowiskiem, opartej na doświadczeniach rdzennych kultur. Zaapelował o „przemyślenie kwestii ludzkiej władzy, jej znaczenia i granic”. I niestety, w pkt. 29 pobrzmiewa echo reform zaproponowanych przez szefa ONZ Guterresa w „Our Common Agenda”.

Papież skrytykował „merytokrację”, rządy tych, którzy „urodzili się w lepszych warunkach do rozwoju”. Zauważył też potrzebę „istnienia jakiejś formy globalnego autorytetu, regulowanego przez prawo”. Miał na myśli przyznanie władzy sieci „organizacji światowych, obdarzonych autorytetem”, które miałyby zapewnić globalne dobro wspólne, uporać się z głodem i ubóstwem, a także gwarantować przestrzeganie podstawowych praw człowieka. Co więcej, dodał, że taka sieć powinna „być wyposażona w rzeczywistą władzę, aby zapewnić realizację pewnych niezwykłych celów”. W ten sposób stworzona sieć i sprawowana przez nią władza nie zależałaby od „zmieniających się okoliczności politycznych lub interesów nielicznych kręgów” i byłaby stabilna (pkt 35).

W pkt. 36 papież napisał: „Godne ubolewania jest to, że globalne kryzysy są marnowane, chociaż mogą być one okazją do wprowadzenia zbawiennych zmian”. Franciszek zaproponował „modyfikację multilateralizmu”, polegającą na „rekonfiguracji i odtworzeniu w świetle nowej sytuacji światowej” władzy. Po raz kolejny wskazał na znaczenie sieci i przekazanie władzy globalnej z rąk państw narodowych do rąk ludzi działających w sieci złożonej z przedstawicieli organizacji pozarządowych i innych zainteresowanych stron skupionych na walce ze „zmianami klimatu”.

Franciszek zasugerował (zresztą podobnie jak obecny szef ONZ), że trzeba przebudować architekturę globalną, by uwzględniała wielobiegunowość i wschodzące potęgi światowe. Dodał w pkt. 42, że „Świat staje się tak wielobiegunowy, a jednocześnie tak bardzo złożony, że do skutecznej współpracy potrzebne są inne ramy”. Nowe ramy współpracy miałyby być skoncentrowane na „wyzwaniach środowiskowych, zdrowotnych, kulturowych i społecznych, zwłaszcza w celu umocnienia poszanowania najbardziej podstawowych praw człowieka, praw społecznych i troski o wspólny dom”. Papież wskazał na potrzebę ustanowienia skutecznych zasad ochrony globalnej przed tymi wyzwaniami. Pobrzmięwało w tym nawiązanie do negocjacji w sprawie nowej umowy pandemicznej WHO i Paktu przyszłości ONZ. Słyszymy więc w pkt 43 o „nowej procedurze procesu decyzyjnego oraz legitymizacji takich decyzji”, o „większej „demokratyzacji” w sferze globalnej.

Franciszek mobilizował przywódców przed COP28 w Dubaju, aby doprowadzić do „stanowczego przyspieszenia transformacji energetycznej, ze skutecznymi zobowiązaniami, które mogą być monitorowane w sposób stały”.

W części poświęconej motywacji duchowej, Franciszek apelował o mobilizację wszystkich ludzi różnych wyznań, by zaangażowali się w wywieranie presji na rządzących w sprawie polityki klimatycznej, zaznaczając, że jesteśmy zjednoczeni ze wszystkimi stworzeniami. „Cały świat jest strefą kontaktu” i nie możemy pozwolić, aby paradygmat technokratyczny odizolował nas (pkt 66).

W pkt. 67 papież co prawda nie pisał o konieczności przejścia na paradygmat ekocentryczny (na co, powtórzmy, wskazują zwolennicy walki ze zmianami klimatu), czyli na zrównanie człowieka ze wszystkimi istotami zamiast uznawania go jako korony stworzeń, lecz mimo wszystko wprowadził pojęcie „antropocentryzmu umiejscowionego”. W pkt. 68 czytamy: „Światopogląd judeochrześcijański podtrzymuje szczególną i centralną wartość istoty ludzkiej pośród wspaniałego koncertu wszystkich istot, ale dziś jesteśmy zmuszeni uznać, że możliwy jest tylko antropocentryzm umiejscowiony. Oznacza to, że

ludzkie życie jest niezrozumiałe i niemożliwe do utrzymania bez innych stworzeń. Istotnie, wszystkie byty wszechświata, będąc stworzonymi przez tego samego Ojca, są zjednoczone niewidzialnymi więzami i tworzą rodzaj uniwersalnej rodziny, wspaniałej komunii pobudzającej do świętego, serdecznego i pokornego szacunku”.

Pisząc o „antropocentryzmie umiejscowionym”, wydaje się, że papieżowi chodziło o ograniczenie aktywności człowieka, który musi uwzględniać „granice planetarne” i nowe systemy społeczne, o których dywaguje się pośród naukowców. Innymi słowy, działalność człowieka musi zostać tak ograniczona, aby nie doprowadzić – jak to ujął papież – do wymarcia jakiegoś gatunku. Ludzie mają pojednać się ze światem przyrody, tak jak do tego nawołują przedstawiciele tzw. ekologii głębokiej. Jednocześnie papież zasugerował, że aby umożliwić to pojednanie, konieczne będą „wielkie decyzje polityki krajowej i międzynarodowej” (pkt 69). Na to wskazują np. eko-socjaliści, którzy mówią, że będzie można tworzyć wielką cywilizację planetarną, po wcześniejszym przestawieniu gospodarki na odpowiednie tory za pomocą centralnego sterowania.

Warto pamiętać, że adhortacja papieża *Laudate Deum* ma charakter wybitnie polityczny i wpisuje się w inne propagowane przez niego dokumenty dot. środowiska, klimatu i zrównoważonego rozwoju. Papież Franciszek lansuje etykę środowiskową, która ma więcej wspólnego z etyką świecką niż religijną, chociaż odwołuje się do grzechu. Etyka świecka koncentruje się na naszej odpowiedzialności za przyrodę, odpowiedzialności wobec przyszłych pokoleń, sprawiedliwości między-pokoleniowej i wewnątrzpokoleniowej oraz wartości wszystkich istot. Etyka religijna skupia się na tym, co w danej denominacji religijnej jest istotne. Obie wzajemnie się uzupełniają i dlatego trwają prace nad skonstruowaniem jednej wspólnej etyki dla wszystkich ludzi na świecie, która zapewni skuteczne zasady postępowania, wskazując na działania pożądate i niepożądane ze względu na „zmiany klimatu”.

W przesłaniu ekologii integralnej, a zwłaszcza w jej interpretacji przez różnych duchownych i osoby świeckie, nader często pobrzmiewa

wezwanie do odejścia od antropocentryzmu na rzecz nie tyle nawet biocentryzmu, co ekocentryzmu.

„PRAWA NATURY”, „ORZECZNICTWO ZIEMSKIE” I DEGRADACJA PRAW CZŁOWIEKA

Wszystko to jest prawdziwym wyzwaniem tak dla Kościoła, jak i dla świata. Tym bardziej, że podjęto już konkretne działania na rzecz wprowadzenia „praw Natury”. Możemy tu wskazać konstytucję w Chile, rozwijające się tak zwane orzecznictwo ziemskie, unijny projekt Karty Prawa Podstawowych Natury, regulacje międzynarodowe i krajowe dotyczące bioróżnorodności, propozycje nowych konstytucji. Postępuje rewolucja ekocentryczna, która spycha człowieka z piedestału stworzenia i zrównuje go z innymi „istotami nieludzkimi”, ze zwierzętami oraz przyrodą nieożywioną. To nic innego, jak przygotowanie gruntu pod przyjęcie regulacji „praw” robotów, botów w związku z rozwojem tak zwanej sztucznej inteligencji. Naturalną konsekwencją takiego odejścia od antropocentryzmu jest oczywiście relatywizowanie moralności.

Parlament Europejski i Komisja Europejska prowadzą badania nad możliwością uznania w europejskim systemie prawnym „praw Natury”, przy czym „Naturę” celowo wpisano wielką literą. Rozumie się ją szeroko jako „Pachamamę”, „Matkę Ziemię”, „Gaję”. Nowe regulacje mają więc oznaczać coś więcej, aniżeli obronę „praw Natury”. Chodzi o bardziej fundamentalną zmianę: stawianie natury i jej potrzeb przed ludzkimi potrzebami, które mogłyby być zaspokajane jedynie w takim zakresie, na jakie pozwalają „granice planetarne”.

Zgodnie z koncepcją „praw Natury”, każdy ekosystem, rzeka, drzewo będą mogły – jako podmioty prawne – „występować” przed sądem, „domagając się” naprawy szkód. W praktyce rewolucyjne uznanie „praw Natury” przyniesie degradację praw, w tym w szczególności praw człowieka, Europejski Komitet Ekonomiczno-Społeczny, organ doradczy i opiniotwórczy UE przygotował pod koniec 2019 roku studium na ten temat: *Towards an EU Charter of Fundamental Rights of Nature*. Dokument zawierający ramy prawne dla wdrożenia tego typu praw

w UE opracowali uczeni z uniwersytetów Salento, Siena i think tanku Nature Rights. Brytyjski think tank przygotował projekt dyrektywy w celu uznania „praw Natury” w UE.

„Prawa Natury” obejmują prawo do rozkwitu, regeneracji/odtworzenia, prawo do naturalnych procesów, do funkcjonowania ekosystemu bez ingerencji z zewnątrz, etc. Nadanie „Naturze” osobowości prawnej i przyznanie opiekunów do obrony jej praw w sądzie zmieniają ramy zarządzania ekologicznego.

Pomysł nadania praw naturze zrodził się na początku lat 70. ubiegłego wieku. W orzeczeniu SN z 1972 roku w sprawie Sierra Club przeciwko Morton, jeden z sędziów William o. Douglas wydał opinię odrębną. Powołał się na artykuł zatytułowany *Should Trees Have Standing?—Towards Legal Rights for Natural Objects*, autorstwa prof. Christophera Stone’a, wykładowcy University of California School of Law. Argumentował w nim, że obszary naturalne i obiekty środowiska powinny mieć prawo do obrony swojej integralności ekologicznej.

W latach 80. ubiegłego wieku podjęto działania na rzecz rozszerzenia podmiotowości prawa, skupiając się w pierwszej kolejności na tzw. prawach zwierząt. Jednak dopiero konstytucja Ekwadoru z 2008 roku – jako pierwsza na świecie – uznała, że „Natura, czyli Pachamama, w której życie się odtwarza i występuje, ma prawo do integralnego poszanowania swojej egzystencji oraz utrzymania i regeneracji swoich cykli życiowych, struktury, funkcji i procesów ewolucyjnych”.

Konstytucja wprowadza zobowiązuje władze do zapobiegania lub ograniczania działań prowadzących do wyginięcia gatunków, niszczenia ekosystemów i trwałej zmiany cykli naturalnych. Jednocześnie zawiera przepisy, które „prawa Natury” osłabiają, dopuszczając eksploatację zasobów naturalnych podyktowaną koniecznością zapewnienia rozwoju kraju. Stąd ekolodzy zabiegają, by „lepiej edukować” sędziów, a w drodze orzecznictwa wymusić uznanie bardziej rygorystycznej definicji „praw Natury”.

W 2010 roku Boliwia uchwaliła kompleksową ustawę o prawach Natury. Zorganizowała także międzynarodowy szczyt z udziałem NGO-sów z całego świata. Efektem było powstanie Globalnego Sojuszu na rzecz Praw Natury, który skupia polityków, ekspertów rządowych, prawników, uczonych i aktywistów z różnych krajów zabiegających o zmiany na poziomie lokalnym i międzynarodowym. W Nowej Zelandii udało im się przyznać w 2012 roku osobowość prawną rzecze Whanganui, której opiekunami prawnymi są przedstawiciel Maorysów i rządu.

Promocję „praw Natury” poprzedziły regulacje o prawach zwierząt. Czymś takim była najstarsza inicjatywa niemieckich aktywistów z 1988 roku dotycząca uznania praw fok w niemieckiej części Morza Północnego, czy późniejsza brytyjska regulacja z 2013 roku. Karta Falkirk uznała prawo do życia istot każdego gatunku. W Rumunii, już od 2014 roku, parlament debatuje nad możliwością uznania osobowości prawnej delfinów. W 2019 roku we Francji grupa prawników opracowała deklarację o prawach zwierząt i wydała „Kartę praw życia”. W lutym 2022 roku odbyło się referendum w sprawie praw należnych żyjących w szwajcarskim mieście Bazylea. Chociaż propozycję odrzucono, prawnicy i aktywiści podkreślają, że chodzi o ogólny wzrost świadomości dotyczącej możliwości przyznawania osobowości prawnej obiektom przyrody ożywionej i nieożywionej.

Zdaniem samych ekologów, papież Franciszek bardzo pomógł ich sprawie, odróżniając w encyklice środowiskowej *Laudato si'* prawa środowiska od prawa do środowiska. To drugie odnosiło się, rzecz jasna, do ludzi.

Od 2016 roku w Europie przybyło inicjatyw na rzecz uznania „praw Natury”. O ile rok po ukazaniu się encykliki papieża pojawiły się trzy inicjatywy w sprawie „praw Natury”, o tyle w 2019 roku było ich już co najmniej trzynaście.

Podobnie jak globalny ruch praw natury, tak i ruch europejski jest w istocie niejednorodny. Tymczasem z propozycjami zmian występują

zarówno politycy, partie polityczne, głównie „Zieloni”, a także organizacje pozarządowe, w tym kolektywy artystyczne.

Przedstawiciele Kościoła katolickiego w Szwecji propagują „prawa Natury”, wykorzystując do tego dokument końcowy Synodu Amazońskiego z 2019 roku oraz inicjatywę Światowej Rady Kościołów. Szwedzki parlament poparł także Deklarację o Prawach Matki Ziemi z Boliwii. We Francji zabiega się o to, by osobowość prawną zyskała m.in. rzeka Loara, w Holandii – Moza, w Szwajcarii – Rodan i w Wielkiej Brytanii rzeki Froome oraz Dart. W Szwecji osobowość prawną miałyby zyskać jezioro Vättern, w Hiszpanii – Mar Menor Laguna, a w Wielkiej Brytanii – Rodden Meadow. W Belgii wszczęto pozwy w obronie m.in. 82 drzew. W pozwach tych podawano adresy, takie jak np. „olcha sznurowa mieszkająca przy rue de l’Arbre Benit w gminie Ixelles”.

Obecnie w niektórych konstytucjach, ustawach, orzeczeniach sądowych uznano już „prawa Natury”. Zdarzyło się tak między innymi w Ekwadorze, Boliwii, Nowej Zelandii, Kolumbii, Argentynie, Indiach, Ugandzie, Pakistanie, Bangladeszu, Kanadzie i USA.

Uznanie takich obiektów przyrody, jak lasy, góry, rzeki, mokradła, drzewa czy lodowce, za podmiot prawa jest rewolucją o daleko idących konsekwencjach. W tej rewolucji człowiek jest spychany do poziomu obiektów przyrody i ma mniej praw niż Ziemia.

To, co można zaobserwować już w wielu państwach na świecie, jest urzeczywistnieniem przejścia od paradygmatu antropocentryzmu prawnego do ekocentrycznego, w istocie niemożliwego do pogodzenia z nauką Kościoła katolickiego.

Nawet porozumienie paryskie w sprawie klimatu z 2015 roku akcentuje kwestię „zapewnienia integralności wszystkich ekosystemów (...) uznawanych przez niektóre kultury za *Matkę Ziemię*”.

Coraz częściej w różnych deklaracjach i umowach przemycą się takie zapisy, które miałyby torować drogę do orzecznictwa na rzecz

uznania „praw Natury”, a to pod pretekstem konieczności walki ze zmianami klimatu i ochrony bioróżnorodności. Na forum międzynarodowym podjęto również działania, mające na celu wprowadzenie do katalogu przestępstw przeciwko ludzkości tzw. ekobójstwo.

Nowe regulacje lansuje się po to, aby drastycznie ograniczyć produkcję przemysłową oraz konsumpcję. Dąży się także do uniemożliwienia niektórym krajom dynamicznego rozwoju, zabraniając eksploatacji zasobów naturalnych, ze względu na domniemane znaczenie danego ekosystemu dla klimatu.

„Prawa Natury” zwykle wywodzi się z teorii praw interesu. Argumentuje się, że już samo istnienie, siedlisko i pełnienie ról ekologicznych jest wystarczające do przyznania elementom nieożywionym praw. Inne argumenty wywodzone są z duchowości plemiennej, z kosmologii ludów tubylczych, z szeroko pojmowanych zwyczajów odnoszących się do tzw. dobrego życia. Są to kolejno:

- a) filozofia sumak kawsay, która przeciwdziała rozwojowi i stoi w opozycji do „modernizacji, rozwoju i wzrostu gospodarczego”;
- b) „buen vivir”, która obejmuje walkę z kolonializmem, seksizmem, rasizmem, antropocentryzmem, a także z cywilizacją i kulturą;
- c) „kosmologiczne granice wzrostu”.

Laudato si', potępiając „tyrański antropocentryzm” i wzywając do stworzenia nowych ram prawnych dla ochrony ekosystemów, de facto wsparła prawa ekocentryczne. Fakt ten chętnie wykorzystują zwolennicy redukcjonistycznej koncepcji „praw Natury”.

Odrzucona we wrześniu 2022 roku konstytucja Chile – niezwykle zresztą rewolucyjna – także wprowadzała „prawa Natury”, obok aborcji na życzenie i eutanazji.

Prawnicy związani z tzw. orzecznictwem ziemskim wskazują na fakt, iż odwoływanie się do „zmiany” paradygmatu, a nie „wprowadzanie” nowo powstałego, jest działaniem celowym. A to dlatego, że uznanie

praw do przyrody, będące od wieków częścią prawa zwyczajowego wielu rdzennych populacji na całym świecie, nie przyniosło należytej ochrony środowiska. Wynikało to najpewniej z tego, że prawo tworzone w oparciu o paradygmat antropocentryczny. Dlatego porozumienie paryskie i podjęte ostatnio wysiłki globalne, mają doprowadzić do „zmiany paradygmatu”, do koncentracji na Ziemi, na systemie, w którym ludzie stanowią część układu planetarnego i których prawa będą się liczyć o tyle tylko, o ile nie zaszkodzą naturze. Ma to, krótko mówiąc, pomóc w szybszej transformacji świata.

Unijne opracowanie dotyczące Karty Praw Podstawowych Natury dowodzi, że „prawo kieruje sposobem działania naszych systemów – jeśli zakodujemy nowy paradygmat w prawie, zaczniemy obracać koło w drugą stronę, programując nasze systemy społeczne na regenerację. Cykl regeneracyjny jest podstawą *nawrócenia ekologicznego*, które będzie wymagało nowego paradygmatu i nowych zestawów zachowań, dostosowujących działalność człowieka do systemów ekologicznych, które rządzą i podtrzymują wszelkie życie, przynosząc bardziej pożądane rezultaty dla społeczeństwa i reszty Natury”.

Kluczem ma być „integracja kwestii środowiskowych we wszystkich obszarach polityki oraz integracja praw przyrody we wszystkich sektorach społecznych”, „uznanie Praw Natury na wszystkich poziomach i odejście od czysto antropocentrycznego światopoglądu na rzecz bardziej ekocentrycznego”.

Proponuje się rewolucję prawną polegającą na: „1) wprowadzeniu materialnych praw Natury; 2) wskazaniu nowych zasad i sposobów interpretacji oraz stosowania ustaw; 3) wprowadzeniu obowiązku uwzględniania praw Natury we wszystkich politykach krajów UE, a nie tylko w orzeczeniach sądów”.

Karta miałaby być „instrumentem przewodnim ekologicznej interpretacji istniejących przepisów”. Zauważono w niej, że cały system prawny w państwach należałoby dostosować do nowych ram ekologicznych, na przykład na drodze precedensów prawnych i praktyk

administracyjnych. Przyjęcie „Karty Praw Podstawowych Natury” pozwoliłoby na „ekologiczne przekształcenie prawa”, wywołując skutki natury społecznej i politycznej. Pozwoliłoby wreszcie budować nową „cywilizację ekologiczną opartą na wzajemnym szacunku i uznaniu współzależności oraz nieodłącznej wartości całego życia”.

Trzeba przyznać, że propozycja KE odnosi się do dekonstrukcji prawa naturalnego i wprowadzenia w jego miejsce redukcjonistycznych praw natury, które przedstawiane są jako „uniwersalne prawa, rządzące całym życiem”. Sugeruje się, że wraz z ich wdrożeniem zapanuje „pokój, harmonia i dobrobyt dla całego życia”.

PRZECIW FLIRTOWI KOŚCIOŁA Z RADYKALNYMI IDEOLOGIAMI

Zarówno biocentryzm, jak i ekocentryzm to idee odrzucane przez Kościół katolicki. Zarazem jednak niejasne sformułowania i inicjatywy podejmowane przez instytucje kościelne (w tym też samych papieży), mogą sprzyjać błędnemu myśleniu o inherentnej wartości zwierząt i elementów przyrody nieożywionej, stawiając je na tym samym poziomie moralnym, co istoty ludzkie.

Taki „flirt” niektórych przedstawicieli Kościoła katolickiego i świeckich, zainspirowanych ekologią integralną (koncepcją, dodajmy, stale rozwijaną) stanowi ogromne wyzwanie tak dla Kościoła, jak i instytucji świeckich. Łączy się on zresztą z wywodami świeckich filozofów degradujących człowieka w hierarchii stworzeń; tych, którzy twierdzą między innymi, że istnieje „wartość wewnętrzna” zwierząt, a przy tym propagują ich „prawa” tak, jakoby miały one zdolność moralną i status równy ludziom.

Nie chodzi oczywiście o to, aby usprawiedliwiać znęcanie się nad zwierzętami, jak i w ogóle niszczyć stworzenie, które Bóg przecież powierzył ludziom, ustanawiając panowanie człowieka nad światem. Mamy raczej na myśli zachowanie roztropności i odpowiedzialność w działaniu. Nie chcemy jednocześnie ulegać radykalnym ruchom na rzecz „praw” zwierząt, które chciałyby całkowitego zakazu ich hodowli, czy korzystania z nich w jakikolwiek sposób.

Chodzi o to, by nie znalazły podatnego gruntu idee takich ludzi, jak Tom Regan, który promował koncepcję inherentnej wartości każdego zwierzęcia, Peter Singer, który mówi o interesach zwierząt, tym samym dezawuuując prawa ludzi, czy też norweski filozof Arne Naess, który na początku lat 70. zaproponował nowy paradygmat „ekologii głębokiej”, odrzucając antropocentryzm (humanocentryzm) na rzecz ekocentryzmu. Nie trzeba chyba dodawać, że przedstawione tu idee mogą również przeszkodzić działalności, która zapewnia człowiekowi zaspokojenie podstawowych potrzeb. Może też utrudnić niwelowanie zagrożenia życia, na przykład poprzez zabicie dzikiej zwierzyny wtedy, gdy staje się to konieczne. Tymczasem postulaty te trafiają nie tylko do wrażliwych młodych ludzi i ekologów, lecz także do prawodawców gotowych do zalegalizowania eutanazji i innych tego typu praktyk naruszających godność człowieka, uprzednio oczywiście zrównanego ze zwierzęciem.

Chodzi o to, by przeciwstawić się karygodnym przepisom tworzonemu w celu zapewnienia „sprawiedliwości międzygatunkowej”, „ekosprawiedliwości dla świata nieludzkiego”, itp. Chcielibyśmy uchronić wielu z nas przed zwiedzeniem panteistyczną „duchowością ekocentryczną”, gnostyckim oddawaniem czci Gaji czy Pachamamie, uleganiem prądom New Age.

Z pozoru niewinna infantylizacja, przelewanie na zwierzęta uczuć, które należy okazywać ludziom, traktowanie zwierząt jak dzieci, których się nie ma i nie chce się mieć, czy wreszcie wymuszanie weganizmu przez osoby przerażone „holokaustem milionów kurczaków” albo stawianie nagrobka dzikowi, który musiał zostać zabity, bo zagrażał życiu dzieci i matek znajdujących się na placu zabaw... Tego wszystkiego nie można nazywać rozsądną troską o stworzenie, które Bóg powierzył człowiekowi. A ma to, niestety, daleko idące konsekwencje.

 WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

CZŁOWIEK – CZY BYDLĘ?

Z człowiekiem można zrobić wszystko, bo to tylko zwierzę. Tak mógłby powiedzieć każdy totalitarny ideolog, od komunisty po nazistę. W istocie tą samą maksymą kierują się inżynierowie społeczni współczesnego liberalizmu. Człowieka coraz częściej uważa się za bydlę – a w związku z tym traktuje się go tak samo.

EGALITARYZM GATUNKOWY – BŁĘDNA KONCEPCJA

Człowiek to zwierzę – a konkretnie: ssak z rzędu naczelnych. Można powiedzieć – małpa bez futra. Czy na pewno?... Tego rodzaju twierdzenie jest dziś powszechnie transmitowane, zarówno w edukacji, jak i w popkulturze. Chyba każdy spotkał się kiedyś z rysunkiem czy grafiką przedstawiającą „ewolucję człowieka”. W internecie krążą setki albo tysiące „plansz edukacyjnych” przeznaczonych już dla najmłodszych. Oto rozwój człowieka: od czegoś podobnego do szympansa, poprzez małpoludy, aż po współczesnego dżentelmena z laptopem w teczce. Bardziej zaawansowane plansze sięgają jeszcze głębiej wstecz i wywodzą człowieka od jaszczurek i ryb. Wobec tej popularnej, a przedstawianej przecież w podręcznikach wiedzy, trudno zaprzeczyć twierdzeniu, że człowiek to „po prostu zwierzę”.

Problem jednak w tym, że można produkować plansze edukacyjne w nieskończoność, ale nie da się zmienić prostej rzeczywistości: człowiek wyróżnia się spośród zwierząt tak radykalnie, że przypisanie mu jakiegś szczególnej bliskości z tymi stworzeniami po prostu gwałci zdrowy rozsądek. Można oczywiście wskazać takie przykłady ludzi, którzy poprzez fizyczny i moralny upadek rzeczywiście przypominają dzikie i drapieżne zwierzęta; jednak przeciętny człowiek różni się od małpy, słonia albo chomika doprawdy tak fundamentalnie, że obejmowanie go tym samym pojęciem „zwierzęcia” jest... po prostu głupie.

Przykładów na to zróżnicowanie mamy tysiące i byłoby czymś zupełnie zbędnym, by je mnożyć. Wystarczy powiedzieć, że nawet najbystrzejszy szympanś nie napisze ani nie przeczyta książki – i ten fakt ma swoje znaczenie. Starożytni dość jasno wyrazili, na czym polega kluczowa różnica. Arystoteles w *Polityce* wskazywał przede wszystkim na mowę. Zwierzęta wydają różne dźwięki i mogą się nimi w pewnym sensie komunikować, ale tylko ludzka mowa pozwala na tworzenie faktycznych więzi społecznych. Ludzka mowa nie jest po prostu głosem, bo jej używaniem nie kierują instynkty, ale rozum. W starożytnej grece „słowo” i „rozum” opisywano tym samym terminem *logos* właśnie ze względu na – by tak rzec – objawianie się rozumu poprzez mowę. Człowiek używa mowy nie tylko do tego, by współpracować z innymi ludźmi na przykład w dziele zdobywania pożywienia, ale również po to, by opisywać rzeczy nieuchwytnie materialnie. Ciceron w *De officiis* mówił o zdolności do sądenia, to znaczy do ujmowania tego, co sprawiedliwe i niesprawiedliwe.

Pojęcia abstrakcyjne, jako odkrywane czy ustalane przez ludzki rozum, są właśnie tym, co specyficznie człowiecze. Czy raczej tym, co ujawnia naszą wyjątkowość i ustanawia wobec zwierząt całkowicie nieprzekraczalną różnicę. Słoń i mysz różnią się od strony materialnej naprawdę znacząco, choć ich funkcjonowanie w świecie jest w gruncie rzeczy podobne. Człowiek może niekiedy wyglądać jak małpa, a jednak funkcjonuje zupełnie inaczej niż jakiegokolwiek zwierzę. Kościół katolicki wskazuje, że wynika to z Bożego planu: chociaż Bóg stworzył zarówno człowieka jak i zwierzęta, to tylko człowieka na swój obraz i podobieństwo. Jednak nawet jeżeli ktoś odrzuca naukę Kościoła i przyjmuje paradygmat ewolucyjny, nie powinien być ślepy na rzeczywistość. Niechby i w jego mniemaniu przodkiem człowieka była jakaś małpa. Dzisiaj – i to na gruncie ewolucji, którą taki człowiek traktuje jako bezdyskusyjny pewnik – fakty okazują się zgoła inne; człowiek jest absolutnie wyjątkowy i nic nie może tego przekreślić.

Właśnie dlatego wszelki egalitaryzm należy uznać za obłąkaną ideologię. Kilka lat temu w Polsce rzecz stała się popularna za sprawą książki *Zoopolis. Teoria polityczna praw zwierząt* autorstwa Sue Donaldson i Willa

Kymlicki. W nieco uproszczonej wersji ich koncepcję tak przedstawiła w 2019 roku Magdalena Środa z Uniwersytetu Warszawskiego:

Jest taka propozycja, żeby zwierzętom przydzielić obywatelstwo. Są zwierzęta udomowione, które powinny być traktowane jak współobywatele; potem są zwierzęta liminalne, graniczne, które żyją z nami, na przykład szczury, karaluchy albo coś takiego – i one powinny mieć status uchodźców; są zwierzęta dzikie, które powinny mieć status obywateli państw suwerennych.

Karaluchy i szczury jako uchodźcy? Gdyby to samo powiedział ktoś z prawicowej części publicznego dyskursu, rozpętałaby się pewnie burza... Zostawiając jednak tę wątpliwą poetykę Magdaleny Środy, trzeba zwrócić uwagę na meritum. Otóż Donaldson i Kymlicka w swojej książce odwołują się do przykładu ludzi, którzy mają obywatelstwo, ale nie mogą wykonywać typowych funkcji obywatelskich, takich jak głosowanie czy inne formy aktywnego kształtowania życia politycznego. To dzieci, ale także niepełnosprawni. Ich zdaniem w podobny sposób można patrzeć na zwierzęta. Dlatego też można, *per analogiam*, nadawać im nawet obywatelstwo.

Absurd? Wydawałoby się, że tak. Ale przecież współczesne państwa demokratyczne faktycznie traktują niektórych ludzi dokładnie tak, jak zwierzęta. Dotyczy to przede wszystkim dzieci nienarodzonych, ale w niektórych krajach – takich jak Belgia czy Holandia – również niemowląt.

Otóż zabijanie zwierząt jest co do zasady dopuszczalne. Funkcjonują tylko różne ograniczenia, zależnie od gatunku, regionu, wieku czy okresu w danym roku.

W przypadku dzieci jest niemal dokładnie tak samo: w krajach liberalnych oraz komunistycznych zabijanie dzieci również jest co do zasady dopuszczalne. Istnieją tylko pewne ograniczenia. Przykładowo w Polsce niemożliwy jest odstrzał łosia: tego zwierzęcia nie można w ogóle zabijać.

Jednocześnie można zabijać nienarodzone dzieci, i to z kilku powodów. W ciągu ostatnich 25 lat na terenie Polski nie zastrzelono zatem żadnego łosia, chociaż uśmiercono prawdopodobnie około 25 tysięcy dzieci nienarodzonych. Mówię tu wyłącznie o tych, które giną w majestacie prawa.

Zabija się też dzieci w aborcyjnym „podziemiu”. I choć powinno to być surowo ścigane, wcale nie jest, co tylko podkreśla społeczne lekceważenie prawa do życia dzieci poczętych. Pod względem liczby legalnych ofiar aborcji Polska i tak jest w „dobrej” sytuacji. Na przykład we Francji w ostatnim ćwierćwieczu zabito około 5 000 000 dzieci poczętych (sic! pięć milionów!). Jeszcze więcej dzieci uśmiercono w tym czasie w Chinach, Stanach Zjednoczonych, Rosji... Stało się to możliwe, bo współczesne państwa traktują człowieka zupełnie tak, jak zwierzę. Nie uważają, by posiadał jakąkolwiek nienaruszalną godność. Na pozór zaskakujące jest, że tak samo dzieje się w chińskiej dyktaturze i w amerykańskiej oazie wolności. W istocie jednak korzenie tych systemów politycznych są w pewnych aspektach zbieżne: chiński komunizm wyrasta z oświeceniowego rewolucyjnego buntu przeciwko Bogu i Kościołowi, podobnie jak demokratyczny liberalizm. W tym paradygmacie to wspólnota polityczna – demokratyczna albo partyjna, nie ma znaczenia – orzeka o prawie do życia, decydując, kogo i kiedy można zabić. Zupełnie tak, jak dzika albo łosia: aborcyjny „odstrzał” dzieci nienarodzonych możliwy tylko w określonych warunkach. Choć zatem człowiek fundamentalnie różni się od zwierzęcia i wie o tym każdy – jest traktowany jak hodowlane bydło.

TOTALITARYZM I SOCJALIZM JAKO ZEZWIERZĘCENIE

Człowiek jest istotą przeznaczoną do wolności. Zupełnie inaczej, niż zwierzę. Dlatego wielkie polityczne próby odbierania ludziom wolności można słusznie określić jako próby zbydlęcenia człowieka. W odniesieniu do przeszłości teza jest dość prosta do udowodnienia. Każdy hodowca zwierząt wie, że musi w ścisły sposób kontrolować liczebność stada, które jest w jego posiadaniu, niezależnie od gatunku. Zwierzęta nie mogą mnożyć się, jak chcą. Wszystko podlega tutaj

kontroli, bo stado spełnia określoną funkcję w gospodarczym zamyśle właściciela.

Można odnieść to do znanej polityki jednego dziecka w Chińskiej Republice Ludowej. Partia Komunistyczna postawiła się w roli gospodarza, czyli właściciela stada. Zamiast krów albo świń hodowała jednak ludzi. Tak jak gospodarz określała w ścisły sposób funkcję, jaką ma pełnić stado, a to wiązało się ze zdefiniowaniem pożądanej liczebności. Nadprogramowi ludzie byli zatem po prostu uśmierceni na etapie ciąży. Podobnie postępowali wcześniej niemieccy naziści. Partia narodowosocjalistyczna określiła pożądany charakter biologiczny stada, nad którym panowała. Wspierano takie łączenie się członków tego stada w pary, które obiecywało wydanie potomstwa odpowiadającego oczekiwaniom pod względem rasowej jakości. Osobniki uznane za mało wartościowe eliminowano. Chorych psychicznie, Żydów, wierzących katolików – traktowano ich jak zarażone bydło, które trzeba uśmiercić, bo zagraża reszcie stada. Naziści starali się, niczym gospodarz, zużytkować biologiczną masę tego, co skategoryzowali jako „odpadek” hodowlany, tworząc na przykład mydło z ciał zamordowanych ludzi. Nota bene podobnie postępują dziś aborcjoniści. W Stanach Zjednoczonych słyszy się czasem o wykorzystywaniu ciał zabitych dzieci do eksperymentów medycznych. Na „ludzkiej farmie” nic nie powinno się marnować...

Generalnie jednak to, co jest oczywiste w odniesieniu do totalitaryzmów XX wieku, staje się znacznie mniej ewidentne w naszych czasach, a przecież nadal funkcjonuje. Kontrola nad ludzką populacją na modłę gospodarskiej kontroli nad zwierzętami nadal jest sprawowana, tyle że znacznie bardziej subtelnie. W przypadku ograniczania liczby dzieci rzecz dzieje się raczej poprzez propagandę. Od lat 60. w demokratycznych krajach zachodnich, a po roku 1989 również w Polsce, agresywnie promowany jest neo-maltuzjanizm, czyli przekonanie o rzekomo nadchodzącym przeludnieniu świata. Ludzi zachęca się do tego, by mieli jak najmniej dzieci. Motywacje mogą być rozmaite.

To na przykład ochrona środowiska. Od wielu już lat słyszy się, jakoby ludzie stanowili rodzaj rakowej narośli na planecie – a przynajmniej ludzie żyjący w czasach przemysłowych. Różni lewicowi agitatorzy precyzyjnie wyliczają „ślad węglowy” człowieka. W sieci można znaleźć artykuły w rodzaju publikacji pt. „Rodzicielstwo niezbyt eko. Dzieci w domu to większy «ślad węglowy»”. Czytamy tam: „Rację mogą mieć ci, którzy uważają, że powoływanie na świat nowego życia w dobie kryzysu klimatycznego jest kolejnym ciosem dla naszej planety. Najnowsze badania pokazują, że w gospodarstwach domowych, w których są dzieci, dorośli odpowiadają za emisję dwutlenku węgla nawet o 25 proc. większą niż w przypadku gospodarstw bez dzieci”. Planeta płonie, przyroda ginie, a ktoś rodzi dziecko, zadając osłabionemu środowisku kolejny „cios”. Sformatowani w ten sposób młodzi ludzie, nawet jeśli zawrą związek, będą tym chętniej stosować antykoncepcję albo sięgać po aborcję – byle tylko ich romantyczna miłość nie skończyła się wyniszczeniem planety poprzez zrodzenie dziecka.

Inną narracją propagandową jest obrzydzanie macierzyństwa albo rodzicielstwa w ogóle. Treści tego rodzaju są szeroko rozpowszechnione. *Czuję, jakby część mnie umarła. Kobiety, które żałują, że zostały matkami* – to tytuł artykułu z „Gazety Wyborczej”. A w treści... cały katalog rozmaitych udręków, z którymi musi mierzyć się matka. W sieci można znaleźć mnóstwo artykułów, które przeciwstawiają macierzyństwo samorozwojowi i korzystaniu z życia. Sugestia, jaka jest w tym zawarta, jest oczywista: dla własnego dobra lepiej jest zrezygnować z dzieci albo, jeżeli już, posiadać co najwyżej jedno, tak by skorzystać z zadowolenia, jakie dziecko może przynosić, ale zminimalizować trudności i ograniczenia. Do tego dochodzi nieustanne wyliczanie kosztów wychowania dziecka. „Ekonomiści obliczyli, że wychowanie jednego dziecka do 18. roku życia kosztuje średnio 371 tys. zł. To 1716 zł miesięcznie” – czytamy w jednym z tekstów „Wyborczej”. Dziennik cytuje też rzekomych rodziców: „To jest studnia bez dna”; „Nie ogarniam, już nawet nie liczę”. Kogo na to stać? Wniosek jest prosty...

Czy ta propaganda bierze się z powietrza? Bynajmniej. W 1974 roku w Stanach Zjednoczonych przyjęto „National Security Study

Memorandum 200”, które powstało pod nadzorem Henry’ego Kissingera. W tekście jasno wskazywano na konieczność zabezpieczenia interesów USA poprzez zmniejszanie liczby ludności w krajach rozwijających się: wysoka dzietność oznacza różne problemy, a to nie służy stabilności handlu międzynarodowego. W memorandum pisało wprost, że niezbędne jest promowanie antykoncepcji, sięganie po aborcję oraz prowadzenie propagandy wspierającej ograniczanie liczby dzieci. Amerykański dokument opisuje cyniczną strategię USA, ale wolno zakładać, że wiele państw na świecie patrzyło na to podobnie, nawet jeżeli nie są znane analogiczne teksty. Można zaryzykować ogólną tezę, że utrzymywanie liczebności „ludzkiego stada” pod ścisłą kontrolą było i nadal jest elementem strategii biznesowej wielkich globalnych korporacji. Rodzice jednego czy dwojga dzieci będą zdeterminowani, by „zainwestować w ich szczęście” dowolne pieniądze, kupując różne zbędne produkty. Gdyby posiadali więcej dzieci, pieniądze zaspokajałyby raczej bardziej podstawowe potrzeby, takie jak żywność. Co więcej, obawy Kissingera pozostają prawdopodobnie tak samo istotne dziś, jak w 1974 roku: z perspektywy wielkich globalnych graczy nie jest dobrze, by w jakimś kraju rodziło się wiele dzieci, bo mogłoby to zdestabilizować lokalny system społeczny i zagrozić stabilności interesów. Łatwo zauważyć, że system prawny w wielu krajach demokratycznych jest zbudowany tak, by ułatwiać decyzję o ograniczaniu liczby dzieci: łatwo dostępna antykoncepcja, niekiedy nawet dotowana przez rządy; aborcja dostępna na życzenie; „edukacja seksualna” w szkołach, która polega na nauczaniu, jak unikać potomstwa. Nie trzeba wcale totalitarnych metod komunistycznych ani nazistowskich, żeby stworzyć skuteczny system kierowania ludźmi jak stadem zwierząt. Wystarczy odpowiednia propaganda.

Sprawa dzietności to oczywiście tylko jeden z elementów całego systemu. Odbieranie ludziom wolności jest we współczesnym systemie demokratycznym czymś znacznie częstszym i powszechniejszym. Dotyczy najrozmaitszych dziedzin życia. Dobrym przykładem jest edukacja. Zgodnie z wolnościowym i naturalnym porządkiem to sami rodzice decydują o tym, czego nauczyć swoje dziecko – to oni definiują umiejętności, jakie będą mu potrzebne w życiu społecznym.

Dziś ta swoboda jest bardzo silnie ograniczona. Rodzice muszą poruszać się w bardzo ściśle i wąsko określonych ramach. Szkoła jest obowiązkowa, a w jej ramach obowiązuje jednolity dla wszystkich program edukacyjny. To podmiot zewnętrzny wobec rodziny ustala, do jakich wartości mają być wychowywane dzieci i jakie mają zdobyć umiejętności. Trochę tak, jak czyniłby hodowca psów, na przykład psów myśliwskich: dba o to, by szczenięta przed sprzedażą otrzymywały odpowiednie bodźce, konieczne do realizacji założonych celów w przyszłości. Nie mogą na przykład bać się huków wystrzałów... Teoretycznie przykład jest nietrafiony, bo suwerenem w państwie demokratycznym, takim jak Polska, jest naród – nie ma zatem żadnego zewnętrznego podmiotu wobec rodziny, który ustalałby kształt edukacji wbrew woli rodziców. W praktyce jest jednak inaczej, co dobrze widać na przykładzie rządów Donalda Tuska: większość Polaków nie życzy sobie edukacji seksualnej swoich dzieci, ale minister Barbara Nowacka i tak ją wprowadza, ignorując wolę rodziców. „Ministra” z Koalicji Obywatelskiej wykorzystuje dysproporcję sił i środków pomiędzy rządem a rodzicami, by realizować faktycznie zewnętrzny projekt: edukacji seksualnej młodych Polaków domaga się Unia Europejska, a konkretnie grupa ideologicznych biurokratów zarządzających tą strukturą w sferze ideologicznej.

Oto właśnie XXI-wieczne, socjalistyczne zbydlęcanie ludzi: traktowanie ich jak zasobu, którym za pomocą „miękkich” rozwiązań prawnych oraz propagandy można sterować tak, by wypełniali nadawane im z zewnątrz funkcje. Optymalizacja „ludzkiego stada” pod kątem wymogów globalnych korporacji oraz ideologów trwa w najlepsze.

BŁĄD WEGETARIANIZMU

Jednym z kluczowych prądów, który wzmacnia egalitaryzm gatunkowy, jest ruch wegetariański. Wcale nie dlatego, że wegetarianinem był Adolf Hitler. Wegetarianie nie jedzą mięsa, a w niektórych wariantach tej ideologii nie spożywa się nawet żadnych produktów pochodzenia zwierzęcego; zwykle nazywa się to weganizmem. Motywacją do takiego postępowania jest najczęściej przekonanie o bliskości człowieka i zwierzęcia, nierzadko posunięte aż do kreślenia znaku równości,

czyli do głoszenia egalitaryzmu gatunkowego. Dlaczego to absurd, o tym pisałem wcześniej; chciałbym zwrócić tu uwagę na problem vegetarianizmu motywowanego chrześcijaństwem. W ostatnich latach coraz częściej spotyka się ideę, zgodnie z którą vegetarianizm jest nieledwie nakazem chrześcijańskiej etyki.

Rzeczywiście mogłoby się wydawać, że z perspektywy chrześcijańskiej argumentacja przeciwko vegetarianizmowi jako stylowi życia jest bardzo trudna. W końcu Pismo Święte podaje nam co najmniej dwa wielkie „obrazy wegetariańskie”.

Pierwszym z nich jest oczywiście Eden. Adam i Ewa koegzystują w rajskim ogrodzie ze zwierzętami, ale ich nie zabijają. Wszystkie istoty żywe odżywiają się roślinami. Można z tego wyciągnąć wniosek, że vegetarianizm jest zgodny z pierwotnym Bożym zamysłem i w pewnym sensie odzwierciedla właściwą stworzeniu harmonię. Takie przekonanie wzmacnia jeszcze prorok Izajasz. Powiada przecież, że kiedy przyjdzie Mesjasz, wilk zamieszka wraz z barankiem, a lew będzie jadał słomę, tak jak wół. Wreszcie również św. Paweł w Liście do Rzymian przekonuje, że całe stworzenie wypatruje wyzwolenia z zepsucia i uczestnictwa w chwale dzieci Bożych. Wszystko tu sugerowałoby jakby wegetariańskie urządzenie rzeczywistości przed grzechem pierworodnym i po odkupieniu, a zatem rzeczywistości idealnej. Wegetarianin byłby zatem tym, kto żyje zgodnie z Bożym zamysłem i niejako przełamuje klątwę śmierci.

W Kościele vegetarianizm jednak nigdy nie występował. Wyrzeczenie się mięsa albo produktów odzwierzęcych, owszem, to rzecz nieledwie powszechna, zwłaszcza w czasach, w których post uchodził jeszcze za potrzebny. Dokonuje się ono jednak jako praktyka ascetyczna. Nawet jeżeli w literaturze duchowej mogą pojawiać się jakieś symboliczne odniesienia do „porządku rajskiego” albo przekonanie, że niejedzenie mięsa jest próbą zwrócenia uwagi na przemijalność obecnego stanu panowania śmierci, to pierwszorzędną motywacją dla chrześcijan niejedzących mięsa jest po prostu asceza.

To wynik zdrowego realizmu, bo nietrudno udowodnić, że konsekwentna postawa niezabijania zwierząt jest po prostu niemożliwa. Każda istota żywa zabija – nie tylko spożywając, ale również budując, produkując czy nawet przemieszczając się. Również pole ekologicznego orkiszu nie jest neutralne dla życia gryzoni, ptaków, owadów czy nawet ssaków.

To właśnie ściśle splecenie życia ze śmiercią wskazuje na właściwą interpretację tekstów Pisma Świętego. Porządek świata sprzed grzechu pierworodnego i świata odkupionego nie polega na tym, że nie zabija się zwierząt dla zdobycia pożywienia. Ten porządek jest czymś dalece większym: polega na nieobecności śmierci jako takiej. Biblijne obrazy mówiące o pełnej harmonii między człowiekiem a zwierzęciem nie muszą być interpretowane dosłownie, zwłaszcza w kontekście rzeczy przyszłych. Kiedy Izajasz mówi, że „lew jak wół będzie jadał słomę”, nie ma na myśli jakiegoś panwegetarianizmu bytów ożywionych. Opisuje całkowity brak zła i śmierci. Prorok powiada przecież: „Nie-mowlę igrać będzie na norze kobry, dziecko włoży swą rękę do kryjówki żmii. Zła czynić nie będą ani zgubnie działać”.

Kres panowania śmierci oznacza całkowicie nowe urządzenie rzeczywistości. Chrześcijańskie niejedzenie mięsa nie może być zatem tożsame z wegetarianizmem, przynajmniej jeżeli potraktować rzecz poważnie. Byłoby to po prostu straszliwe zawężenie – zredukowanie zapowiedzianej przez Boga rzeczywistości odkupionej do jakiejś formy ludzko-zwierzęcej harmonii. Byłby to obraz raczej pogański niż chrześcijański; mityczna kraina szczęśliwości postawiona w miejscu tajemnic Bożych... Jako wierzący w Chrystusa oczekujemy czegoś znacznie więcej niż tylko wegetariańskiego ułożenia stosunków człowieka z przyrodą. Dlatego argumentowanie na rzecz ruchu wegetariańskiego na podstawie Pisma Świętego byłoby pozbawione sensu. Wegetarianizm nie jest zgodny z chrześcijaństwem – po prostu dlatego, że stanowi zubożenie prawdy, która oczekuje na człowieka w Zbawicielu.

Wegetarianizm, jeżeli chce w ogóle stać się czymś poważnym, powinien sprowadzać się do opcji estetycznej: człowiek może nie lubić widoku krwi, a z powodu rozbudowanej imaginacji nie być wolny od przedstawienia mentalnego takiego widoku podczas konsumpcji produktów mięsnych. W perspektywie etycznej wegetarianizm jest jednak całkowicie płonny – nie ma nic ciekawego do zaoferowania. Jeżeli nie ma stawać się czystą estetyką, a zarazem z powodów fundamentalnych nie może być etyką – zostaje mu ideologia. Tak właśnie zwykle jest traktowany, wykorzystywany i przeżywany. Niechęć do zabijania zwierząt na pożywienie motywuje się egalitaryzmem gatunkowym, czyli przekonaniem o strukturalnej równości człowieka i zwierząt.

Jeżeli wegetarianinem zostaje chrześcijanin, to – chcąc nie chcąc – wchodzi w przestrzeń właśnie tego fatalnego poglądu. To oczywiście pewne uproszczenie, bo wyobrażam sobie wegetarian powołujących się raczej na kwestie ochrony klimatu (przemysłowa produkcja żywności jako źródło emisji zanieczyszczeń) albo też takiego, który uważa masową hodowlę za nieetyczną, widząc w zwierzętach stworzenia Boże – podporządkowanie ludziom, ale jednak stworzone. W przypadku obu takich postaw trudno jednak mówić o wegetarianizmie sensu stricto: można przecież znacząco ograniczyć spożycie mięsa albo też kupować mięso tylko z hodowli ekologicznych czy zrównoważonych. Dlatego ścisły wegetarianizm, jako postawa ideologiczna, zawsze ryzykuje skażeniem egalitaryzmem gatunkowym, a to zakłada fałszywą i skrajnie niebezpieczną antropologię. Powinien zatem zostać odrzucony. Niechby chrześcijanin nie jadł mięsa, ale powinien teoretycznie to akceptować. A najlepiej po prostu praktykować, choćby nawet sporadycznie.

BAMBINIZM

Podobnie złe konotacje ma bambinizm, czyli emocjonalna postawa związana z odrzuceniem spektakularnej przemocy wobec zwierząt oraz traktowaniem zwierząt jak ludzi. Zwłaszcza członków rodziny.

Bambinizm jest społecznie niesłychanie rozpowszechniony. Sztandarowym przejawem emocji bambinistycznej jest irracjonalny sprzeciw wobec myślistwa. Gdziekolwiek w sieci pojawi się artykuł o myślistwie czy też zdjęcie myśliwego z upolowaną zwierzyną, natychmiast wybucha emocja bambinistyczna: ludzie masowo obrzucają myśliwych retorycznymi fekaliami, zarzucając im demoralizację i nierzadko życząc śmierci w męczarniach. Jeszcze do niedawna emocja bambinistyczna uderzała przede wszystkim w tych myśliwych, którzy eksponowali swoje trofea. Dziś bambinizm coraz częściej obejmuje też odstrzał ze względów bezpieczeństwa. Ilekroć media albo prywatni użytkownicy social mediów nagłaśniają problemy z dzikami w mieście, natychmiast pojawiają się komentarze wzywające do tego, by dać im spokój, bo dziki są „częścią przyrody”. Zdarza się, że ktoś w tym kontekście piętnuje ludzi jako byt „inwazyjny”, twierdząc, że dzik „ma prawo” chodzić tam, gdzie mu się podoba – i nie wolno do niego strzelać, choćby nawet zagrażał „gatunkowi inwazyjnemu”, jakim byłby człowiek.

Inną formą bambinizmu jest irracjonalne podejście do zwierząt domowych. Przejawia się to między innymi skrajnie emocjonalnymi reakcjami na wszelkie przykłady „niehumanitarnego” traktowania zwierząt. Kilka lat temu w sieci pojawił się filmik prezentujący kilkuletnią dziewczynkę, która kręciła kotem trzymając go za nogi. Wybuchła prawdziwa społeczna burza. Wielu ludzi życzyło okrutnej śmierci zarówno rodzicom dziecka jak i nawet samej dziewczynce. Obsesowe potraktowanie kota zostało w reakcjach emocjonalnych uznane za czyn tak karygodny, że zasługiwałyby na karę śmierci, wykonaną natychmiastowo i na dziecku, najlepiej w formie kwalifikowanej, czyli zakładającej jakieś uprzednie tortury. Innym przejawem bambinizmu wobec zwierząt domowych jest traktowanie ich jak członków rodziny, zwłaszcza jak dzieci. Nawet w poczytnych portalach publikuje się teksty, które prezentują życie młodych ludzi trzymających psa albo kota „zamiast” dziecka. Prezentowanie w social mediach zdjęć z „urodzin psiecka” nie jest już niczym dziwnym. Na ulicach większych miast można spotkać pary spacerujące z wózkiem, w którym siedzi zwierzę. To zjawisko ma prawdopodobnie wiele

przyczyn, częściowo związanych z próbą zaspokojenia tak zwanego instynktu macierzyńskiego.

Na głębszym poziomie cały fenomen bambinistyczny wiąże się jednak z błędem egalitaryzmu gatunkowego. Jeżeli myśliwy nie może zastrzelić sarny, bo ta „ma prawo” do życia w lesie, to znaczy, że dokonuje się personifikacji sarny: przyznaje się jej jakieś prawa, które w sposób kategoriyczny ograniczają prawo człowieka do pozyskania pożywienia albo do pozyskania mięsa połączonego z wyspecjalizowaną rozrywką. Skoro nie wolno odstrzelić dzika, bo ten „ma prawo” wchodzić do miasta, dochodzi do jeszcze bardziej radykalnego ucłowieczenia zwierzęcia, którego swobodę poruszania traktuje się na równo ze swobodą poruszania się człowieka – albo nawet przydaje się jej wyższą wartość niż prawu człowieka do zachowania bezpieczeństwa. Skoro wreszcie uważa się, że obcesowe potraktowanie zwierzęcia może być surowo karane, nawet śmiercią. Oznacza to przyznanie pełnej równości człowiekowi i zwierzęciu. Wprawdzie ci sami ludzie, którzy grożą dziewczynce „kręcącej kotkiem”, prawdopodobnie regularnie jedzą mięso, ale nie chodzi przecież o konsekwencje, a jedynie o formę przyłgnięcia do błędnego konceptu egalitarystycznego. Organizacja urodzin psa jest czymś bardzo podobnym.

To wszystko nie są tylko niewinne formy „docenienia przyrody” albo „sympatii do zwierząt”. To przejaw fundamentalnie błędnej antropologii i zapoznanie prawdy o wyjątkowości człowieka wśród wszystkich bytów ożywionych. Ktoś mógłby powiedzieć, że nakreślenie linii ciągłości pomiędzy bambinistycznymi urodzinkami psiecka a polityką jednego dziecka w Chinach jest absurdalnym uproszczeniem. Na poziomie prostej kontynuacji miałby rację, ale myliłby się, gdy idzie o pierwsze zasady. Oba zjawiska wyrastają z tego samego pnia, czyli animalizacji człowieka i humanizacji zwierzęcia. Egalitaryzm gatunkowy może mieć najrozmaitsze przejawy praktyczne, ale pozostaje zawsze tak samo błędny. Wielkie zło, które dokonuje się w imię tej materialistycznej ideologii, po prostu obnaża jej fałsz – zawarty jednak immanentnie również w pozornie niewinnych, emocjonalnych przejawach społecznego bambinizmu.

A WIĘC CZŁOWIEK

Czy człowiek to zatem po prostu zwierzę? Nie – świadczy o tym zarówno katolicka antropologia, jak i po prostu naturalny rozum, jasno wskazujący na nieprzekraczalne granice pomiędzy ludźmi a całym światem zwierząt. Próby zaprowadzania egalitaryzmu gatunkowego są głęboko irracjonalne, a irracjonalizm oznacza zawsze ideologię. W tym przypadku ideologia jest szczególnie niebezpieczna, bo chodzi o fundamentalne pytania antropologiczne.

Jeżeli zgodzimy się na redukcję ludzkiej wyjątkowości w świecie stworzonym, otworzymy drogę do wielkich zbrodni. Dobitnie pokazuje to nie tylko historia XX wieku, ale również teraźniejszość. Dlatego zadaniem każdego rozsądnego człowieka, a szczególnie katolika, jest bronić ontologicznej specyfiki ludzi, unikając błędu egalitaryzmu gatunkowego zarówno w jego czystej postaci, jak i w różnych kulturowych i politycznych jego trawestacjach. To do nich należy wegetarianizm i bambinizm, ale również kształtujący naszą codzienność w państwie – socjalizm. Przeciwno prądom dążącym do zezwierzęcenia człowieka nie ma lepszej obrony, niż nauka Kościoła katolickiego – jedynego podmiotu w historii ludzkości, który prawdziwie i bezkompromisowo broni ludzkiej godności, wskazując na wieczne przeznaczenie człowieka. Czyli coś, co w przypadku zwierząt jest po prostu niemożliwe.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



KORONA STWORZENIA. SKĄD WZIĘŁA SIĘ WYJĄTKOWA POZYCJA CZŁOWIEKA I CO JĄ DZIŚ PODWAŻA?

Przez tysiąclecia Zachód trwał w przekonaniu, że człowiek to coś więcej niż tylko jedno ze zwierząt. Przekonanie to wyrastało z dwóch korzeni: religijnej wiary i klasycznego humanizmu. Dziś panuje jednak trend zrównywania ludzi i zwierząt. Płacimy za to potrójnie: zamętem w filozofii, kryzysem demograficznym i realnym rachunkiem ekonomicznym.

„Bądźcie płodni i rozmnażajcie się, abyście zaludnili ziemię i uczynili ją sobie poddaną” (Rdz 1, 28). Ten biblijny nakaz jest fundamentem szczególnej pozycji człowieka w zachodniej cywilizacji.

Kilka wersetów wcześniej, również w Księdze Rodzaju, czytamy: „Stworzył więc Bóg człowieka na swój obraz” (Rdz 1, 27). Prawo panowania spleta się tu z podobieństwem do Stwórcy. Jedno wynika z drugiego.

BIBLIA, KOŚCIÓŁ I NIERÓWNOŚĆ LUDZI I ZWIERZĄT

Człowiek otrzymuje ziemię we władanie i staje się jej gospodarzem, ale jego władza nie jest nieograniczona. Wyznacza ją inny werset: „Pan Bóg wziął zatem człowieka i umieścił go w ogrodzie Eden, aby uprawiał go i doglądał” (Rdz 2, 15). Zauważmy, że Adam nadaje również zwierzętom imiona (Rdz 2, 19-20), co w kulturze starożytnych Hebrajczyków uchodziło za akt panowania.

Początkowo Stwórca pozwala ludziom spożywać wyłącznie rośliny. „Oto wam daję wszelką roślinę przynoszącą ziarno [...]: dla was będą one pokarmem” (Rdz 1,29). Eden obrazuje bowiem pierwotną zgodę, w której człowiek nie sięga po życie zwierząt. Jednak po wygnaniu z Raju i po potopie, Bóg zawiera z Noem nowe przymierze: „Wszystko,

co się porusza i żyje, jest przeznaczone dla was na pokarm tak jak rośliny zielone” (Rdz 9,3). Można to rozumieć jako swego rodzaju ustępstwo Stwórcy wobec ludzkiej słabości. Odtąd wegetarianizm przestaje być wymogiem.

Nowy Testament nieufnie odnosi się do osób zakazujących spożywania mięsa. W Pierwszym Liście do Tymoteusza św. Paweł ostrzega przed nauczycielami, którzy „skłaniają się ku duchom zwodniczym i ku naukom demonów” (1 Tm 4,1). Poznaje się ich po dwóch zakazach: zabraniają wstępowania w związki małżeńskie i każą „powstrzymać się od pokarmów, które Bóg stworzył” (1 Tm 4,3). Apostoł odpowiada im bez wahania: „Wszystko, co Bóg stworzył, jest dobre, i niczego [...] nie należy odrzucać” (1 Tm 4,4).

Biblijne przekonanie o wyjątkowości człowieka przeniknęło do nauki Ojców Kościoła. Umieścili oni tę wyjątkowość w duszy rozumnej. Dla przykładu, Augustyn odczytywał „obraz Boży” jako władzę rozumu i wolnej woli odróżniając człowieka od zwierzęcia. Z kolei Grzegorz z Nyssy pisał o Bogu, który stworzył człowieka na końcu, jako ukoronowanie dzieła stworzenia. Bóg jawi się niczym hojny gospodarz: najpierw przystraja dom i zastawia ucztę, a dopiero potem wprowadza gości.

W tym kontekście zaskakujące wydaje się to, że średniowieczni zakonnicy z reguły nie jadalili mięsa, a ich posty były surowe i długie. Wprawdzie reguła benedyktyńska dopuszczała mięso, ale tylko przy stole chorych, a kalendarz kościelny wyznaczał rozległe okresy wstrzemięźliwości. Chodziło jednak o ascezę, o ćwiczenie woli i panowanie nad ciałem, a także o powrót do niewinności panującej w Edenie. Warto jednak pamiętać, że nie rozszerzano tego zakazu na wszystkich wiernych (podobnie jak i zasad czystości, ubóstwa i posłuszeństwa).

Ten średniowieczny ład najlepiej odzwierciedla myśl św. Tomasza z Akwinu. Uznał on duszę rozumną za źródło ludzkiej godności, a byty jej pozbawione za podporządkowane człowiekowi. W scholastycznej

wizji wielkiego łańcucha bytów panowała hierarchia: Bóg, aniołowie, ludzie, zwierzęta, rośliny, minerały. A jednak Akwinata potępiał okrucieństwo wobec zwierząt, podkreślając, że kto znęca się nad zwierzęciem, ten zaprawia rękę do okrucieństwa wobec ludzi.

Ta sama nauka o człowieku powróciła w czasach nam bliższych. Gdy przemysł zaczął traktować człowieka jak narzędzie pracy, encyklika *Rerum novarum* z 1891 roku upomniwała się o godność robotnika. Z kolei Sobór Watykański II w konstytucji duszpasterskiej *Gaudium et spes* podkreślał, że człowiek jest jedynym stworzeniem, którego Bóg chciał dla niego samego (zob. GS 24).

Także Katechizm Kościoła Katolickiego z 1992 roku nakłada na ludzi obowiązek życzliwości wobec zwierząt i zakazuje zadawania im niepotrzebnego cierpienia, jako że okrucieństwo poniża przede wszystkim sprawcę. Zarazem Katechizm wyznacza granice tej postawy. Zwierzę można kochać, nie wolno jednak przenosić na nie uczuć należnych ludziom. Nie godzi się też, według autorów Katechizmu, wydawać na nie tego, co mogłoby ulżyć ludzkiej biedzie (por. KKK 2416, 2418).

Innymi słowy, nie wolno znęcać się nad zwierzętami, lecz nie tylko ze względu na nie same. Chodzi bardziej o głębiej rozumiane dobro człowieka i o to, by nie ulegał on moralnej degradacji. I to właśnie godność człowieka pozostaje głównym tematem nauczania papieży posoborowych.

CZŁOWIEK ROZUMNY. TRADYCJA GRECKA I HUMANISTYCZNA

Stosunek świata zachodniego do zwierząt wyrasta nie tylko z Biblii i kultury chrześcijańskiej, lecz również z szeroko rozumianej myśli humanistycznej, którą w zachodnim kręgu cywilizacyjnym zapoczątkowali Grecy. Odnaleźli oni wyjątkowość człowieka w zdolności myślenia. Platon widział w rozumie tę część człowieka, która najbliższej sięga porządku boskiego. Jego uczeń Arystoteles nazwał człowieka istotą rozumną i społeczną, zdolną do mowy i życia w państwie.

Później stoicy uznali rozum za iskrę wspólną ludziom i bogom, z niej zaś wyprowadzili ideę prawa natury i ludzkiej godności. Ciceron przeniósł tę myśl do Rzymu. Wprawdzie w antycznym świecie istnieli wegetarianie, na przykład Pitagoras, jednak nie należeli oni do głównego nurtu społeczeństwa. Co ciekawe, aż do XIX wieku wegetarianizm określano mianem diety pitagorejskiej.

Do tradycji grecko-rzymskich, także w odniesieniu do godności człowieka, nawiązywali scholastycy, lecz dopiero w renesansie nadano tej idei szczególne znaczenie. Dał temu wyraz Pico della Mirandola w *Mowie o godności człowieka* (1486). Bóg – zdaniem Mirandoli – nie wyznaczył człowiekowi stałego miejsca w świecie, lecz postawił go pośrodku i pozwolił mu kształtować własną naturę; wznieść się ku temu, co boskie albo osunąć ku temu, co zwierzęce. Godność płynie tu z wolności i rozumu, ze zdolności stanowienia o sobie.

Prawdziwy przewrót nastąpił nieco później, wraz Kartezjuszem (1596–1650), który sprowadził człowieka do jednego: do myśli. Jego maksyma „*cogito ergo sum*” stała się wkrótce fundamentem nowożytnej filozofii. Ponadto Kartezjusz twierdził, że zwierzęta, w przeciwieństwie do człowieka, nie tylko nie mają duszy, lecz są wręcz żywymi automatami. Skoro zatem, jak przekonywał, nie mają one duszy i nie myślą, to niczego też nie czują, a ich pisk pod nożem jest jedynie zgrzytem trybów. Doprawdy, trudno byłoby znaleźć w dziejach filozofii drugą tak radykalną tezę umniejszającą wartość zwierząt.

Podobny, choć łagodniejszy, tok rozumowania przyjął Immanuel Kant (1724–1804): godność powiązał wprost z rozumnością. Rzeczy mają cenę i mogą być wymieniane. Osoby mają godność, której wymienić się nie da. Człowiek jest celem samym w sobie i nikt nie może traktować go wyłącznie jako narzędzia. Zwierzętom Kant odmówił miejsca w gronie istot obdarzonych godnością, ale jednocześnie przywołał starą myśl Akwinaty: „Nie znęcaj się nad nimi, bo okrucieństwo wobec zwierzęcia zaprawia rękę do okrucieństwa wobec człowieka”. Tę samą myśl, niemal słowo w słowo, powtarza dziś Katechizm Kościoła Katolickiego.

Współczesna nauka Kościoła obficie czerpie z szeroko rozumianej zachodniej tradycji klasycznego humanizmu. Świadczy o tym choćby Powszechna Deklaracja Praw Człowieka z 1948 roku. Na jej filozoficzne podstawy wpłynął między innymi francuski personalista i katolik, Jacques Maritain.

Między humanizmem i katolicyzmem istnieją oczywiście istotne różnice. Jednak pod względem przekonania o wyższości człowieka nad światem zwierząt chrześcijańska wiara i klasyczny humanizm dochodzą do podobnych wniosków.

HINDUIZM, BUDDYZM A ZWIERZĘTA

To chrześcijańskie i humanistyczne, zachodnie przeświadczenie o istotnej odrębności człowieka od świata zwierząt nie jest bynajmniej oczywiste. Najlepiej widać to z zewnątrz, na tle cywilizacji, które wyciągnęły inne wnioski. Mam tu na myśli szerzej rozumianą rodzinę religii indyjskich – hinduizm i buddyzm – ponieważ obie tradycje łączy wiara w reinkarnację i prawo karmy. W tych dalekowschodnich wierzeniach granica między człowiekiem a zwierzęciem ulega zatarciu. Jest ona bardziej ilościowa niż jakościowa.

U podstaw indyjskiego przekonania o więzi ludzi i zwierząt leży wiara w wędrówkę dusz. Ta sama dusza przechodzi przez kolejne wcielenia i może zamieszkać zarówno w ciele człowieka, jak i zwierzęcia. Zwierzę nie jest więc bytem innego rodzaju. Bywa krewnym z poprzedniego życia albo przystankiem duszy w jej wędrówce. Kto wie, czy w latającym owadzie nie znajduje się dusza zmarłej babci? Stąd właśnie bierze się hinduistyczny zakaz wyrządzania krzywdy żywym istotom: *ahimsa*.

O wartości zwierząt w dalekowschodnich wierzeniach świadczą także wyobrażenia bóstw. Hanuman ma postać małpy, Ganeśa głowę słonia, a Wisznu wciela się w rybę czy dziką. Z tym wszystkim łączy się znacznie szersze niż na Zachodzie uznanie dla wegetarianizmu, choć – jak zauważył znany buddolog Richard Gombrich – w krajach

buddyjskich ludzie chętnie chwalał wegetarianizm, chociaż sami rzadko go przestrzegają.

Mimo tej bliskości człowieka i zwierzęcia (a może właśnie z jej powodu), między samymi ludźmi wyrósł jeden z najsztynniejszych podziałów w dziejach. To kasty, które dzielą społeczeństwo na dziedziczne warstwy. Na górze znajdują się kapłani, niżej wojownicy, dalej kupcy i słudzy. Pod nimi wszystkimi są już tylko dalicy. To ludzie, których sam dotyk uchodził (a mimo formalnego zniesienia kastowości, w praktyce uchodzi nadal) za kalający; ludzie skazani na najpodlejsze zajęcia, trzymani z dala od studni, świątyń i wspólnego stołu.

Miejsce w hierarchii nie jest przypadkiem ani krzywdą, lecz owocem uczynków z poprzednich wcieleń. Sytuacja każdego to skutek karmy, a istotna nierówność między ludźmi jest na trwałe wpisana w sam porządek świata.

Nie twierdzą jednak, że łagodność wobec zwierząt zrodziła kasty. Ta zależność jest w istocie bardziej złożona. Światopogląd zacieraający granicę między człowiekiem a zwierzęciem, nie wytwarza sam z siebie przekonania, że wszyscy ludzie są równi w swej godności. W efekcie potrafi chronić owada, a pozostawić bez opieki człowieka z najniższej warstwy społecznej.

Warto przy tym wszystkim pamiętać, że buddyzm – jak zresztą dowodził jego znawca Ian Harris – trudno pogodzić ze współczesną ekologią. Skoro celem jest nirwana, wyzwolenie się ze świata, to wymieranie zwierząt, nawet masowe, nie stanowi przecież problemu. Inaczej ekologizm. Ten wynika ze swoistego rozumianego współczucia. Tymczasem w niektórych nurtach hinduizmu i buddyzmu miłosierdzie nie jest wskazane. Sprzeciwia się bowiem karmie i utrudnia wyzwolenie się ze świata.

Choć otwarcie Zachodu na buddyzm i hinduizm, zwłaszcza od lat 60. XX wieku, zbiegło się z modą na ekologizm i wegetarianizm i nie jest to całkiem kwestia przypadku. Do pełnego opanowania Zachodu

przez kult zwierząt, potrzebna była jeszcze idea filozoficzna. Ta idea, choć czerpie natchnienie z Dalekiego Wschodu, argumentów szuka w myśli, która wypacza chrześcijańskie i humanistyczne współczucie. Rozciąga bowiem współczucie, które winniśmy okazywać bliźniemu, także na zwierzęta. I niestety czyni to często kosztem człowieka.

PETER SINGER I PŁYTKI UTYLITARYZM

Ideą tą jest utylitaryzm w uproszczonej postaci. Już sam twórca utylitaryzmu Jeremy Bentham (1748-1832) przekonywał, że najważniejsze jest dążenie do przyjemności i unikanie cierpienia. Zdolność do odczuwania (którą mają też zwierzęta) jest ważniejsza od zdolności do myślenia (którą zasadniczo ma tylko człowiek). Powinniśmy zatem pomnażać przyjemność i minimalizować cierpienie. Zasada ta przypomina biblijne i chrześcijańskie miłosierdzie, ale zarazem stanowi jego wypaczenie.

Konkretne wnioski z utylitaryzmu wyciągnął Peter Singer, australijski filozof, wieloletni wykładowca Princeton i czołowy rzecznik wyzwolenia zwierząt. Jego opus magnum, *Wyzwolenie zwierząt* (1975), bywa nazywane biblią tego ruchu.

Singer rozumuje tak: o wartości moralnej nie decyduje to, do jakiego gatunku należy dana istota, lecz raczej to, czy jest ona zdolna do odczuwania. Jeśli odczuwa ból i przyjemność, to znaczy, że ma swoje interesy, a my powinniśmy się z nimi liczyć. Kto przedkłada własny gatunek nad inne, popełnia, według Singera, ten sam błąd co rasista. Stąd prosty wniosek: taki sam ból ma taką samą wartość moralną, niezależnie od tego, czy cierpi człowiek, czy zwierzę. Dlatego Singer sprzeciwia się fermom przemysłowym i doświadczeniom, które zadają zwierzętom nieuzasadnione cierpienie. Gdyby na tym poprzestał, byłby jedynie mocnym głosem sprzeciwu wobec okrucieństwa.

Singer idzie jednak znacznie dalej. Według niego o wartości istoty nie decyduje sam fakt przynależności do gatunku ludzkiego, lecz posiadane zdolności umysłowe. Singer dzieli istoty czujące na osoby i całą resztę. Osobą jest istota świadoma siebie, zdolna do postrzegania

własnego istnienia w czasie, pamiętania własnej przeszłości i planowania przyszłości. Niektóre dorosłe szympansy mogą spełniać te kryteria, podczas gdy niektóre istoty ludzkie, takie jak noworodki i głęboko upośledzeni umysłowo – jeszcze albo już nie. Bycie osobą jest ważniejsze od bycia człowiekiem. Są ludzie niebędący osobami i zwierzęta nimi będące. Stąd wniosek Singera, że życie takiego człowieka nie jest z góry warte więcej niż życie samoświadomego zwierzęcia.

Jak piszą na łamach „Życia Weterynaryjnego” w 2024 roku Joanna Helios i Wioletta Jedlecka, Singer odwraca dawną zasadę nakazującą zawsze cenić życie ludzkie wyżej od zwierzęcego. I na tym właśnie polega wywrotowy charakter jego koncepcji.

Jednak słabym punktem singerowskiego utylitaryzmu jest ocenianie wartości istoty na podstawie tego, co akurat w danej chwili potrafi odczuć i pomyśleć. Takie podejście pomija jednak to, czym ona naprawdę jest. Liczą się jedynie aktualne zdolności, a nie stała natura. Dlatego noworodek przegrywa, bo jeszcze nie myśli, a chory, bo już nie myśli.

Singer dokonał tu rewolucji, wypaczając chrześcijańskie i humanistyczne nawoływanie do miłosierdzia. Co więcej, nie kryje też swoich dalekowschodnich inspiracji. Uważa się za spadkobiercę Mahatmy Gandhiego, a jego ruch odrzuca wszelką przemoc, nawiązując tym samym do wspomnianej wcześniej hinduskiej zasady ahimsy, czyli niekrzywdzenia istot żywych.

ABSURDY RADYKALNEGO ANIMALIZMU

Troska o dobrostan zwierząt to szlachetna idea. Coraz większe rozpowszechnienie myśli Singera i innych lewicowych animalistów może jednak, zdaniem jej krytyków, prowadzić do przesunięcia granicy między troską o zwierzęta a szczególną odpowiedzialnością wobec bliźnich. Na przykład w Stanach Zjednoczonych już 58 procent milenialsów, czyli osób urodzonych w latach 1981-1996, deklaruje, że

wolałoby mieć zwierzę niż dziecko. W pokoleniu ich rodziców myślała tak niemal co druga osoba.

Z kolei sondaż amerykańskiego Consumer Affairs z 2024 roku pokazuje jeszcze głębszą zmianę hierarchii uczuć. Blisko sześciu na dzieściu młodych dorosłych Amerykanów przyznaje, że kocha swojego pupila bardziej niż rodzeństwo, połowa stawia go ponad własną matkę, a niemal co trzeci ponad partnera.

Nad Wisłą trendy idą w podobną stronę. Psów jest już w Polsce o ponad 1,3 miliona więcej niż dzieci. Na statystycznego obywatela przypada 0,22 dziecka, 0,26 psa i 0,23 kota. Kołyski pustoszeją w tempie wcześniej nienotowanym. W 2025 roku dzietność spadła do jednego z najniższych poziomów w historii, a od kilkunastu lat umiera więcej Polaków niż się rodzi. Część emocji i środków finansowych kieruje się dziś od dziecka ku zwierzęciu.

ZWIERZĘTA, PRAWO I PIENIĄDZE

Kult zwierząt przenika też w ostatnich latach do przepisów prawa. I tak w 2015 roku argentyńska sędzia Elena Liberatori uznała orangutanicę Sandrę za osobę nie-ludzką i przyznała jej część praw przysługujących człowiekowi. Tłumaczyła, że chciała w ten sposób pokazać, iż „zwierzęta są istotami rozumnymi i musimy je szanować”.

Zapoczątkowało to trend przyznawania praw nie-ludziom. Dwa lata później, w 2017 roku, nowozelandzka...rzeka Whanganui jako pierwsza na świecie otrzymała prawa przysługujące człowiekowi, a wraz z nimi – uprawnionych opiekunów do reprezentowania jej przed sądem. Kolumbia zaś uznała za podmiot prawa rzekę Atrato. Najdalej poszedł Ekwador, który prawa natury wpisał bezpośrednio do konstytucji. Mało tego, w 2022 roku ekwadorski sąd w jednym z wyroków orzekł, że obejmują one także pojedyncze zwierzęta. To, co początkowo wydawało się jedynie akademicką ciekawostką, stało się realnym nurtem w systemach prawnych kilkunastu państw.

O skali transformacji mówi też ekonomia. Rynek opieki nad zwierzętami rośnie w tempie, którego nie powstydziłaby się branża technologiczna. Według Grand View Research jego wartość w 2025 roku wyniosła około 182 miliardy dolarów. Przy kosztach typowych dla pomocy humanitarnej, taka suma pozwoliłaby przez rok zapewnić podstawowe wyżywienie setkom milionów głodujących ludzi. Ponadto według prognoz rynek opieki nad zwierzętami osiągnie do 2033 roku poziom 284 miliardów dolarów – równowartość rocznego wyżywienia blisko miliarda ludzi.

Bezwarunkowa wierność zwierzęcia jest niewątpliwie wzruszająca. Ale z psem nie zbudujemy przecież związku, nie założymy rodziny, nie porozmawiamy o książce. Zwierzę w roli emocjonalnego zastępstwa to droga na skróty. Szkodliwa zresztą także dla niego. Czy wozienie psa w dziecięcym wózku albo pozostawianie go całymi dniami samego w ciasnym mieszkaniu w bloku, to naprawdę najlepsze, co mogłoby go spotkać?

FILOZOFICZNE PROBLEMY KULTU ZWIERZĄT

W niedoskonałym świecie dobrostan wszystkich zwierząt jest po prostu nieosiągalny. Ratując jedno stworzenie, zwykle poświęcamy inne. Nie ma sposobu, by tego uniknąć. Dostrzegał to Albert Schweitzer, twórca etyki „czci dla życia”, który przyznawał, że troska o wszystko, co żyje, gmatwa sumienie bardziej niż dobroć skierowana tylko do ludzi. Jak pisał francusko-niemiecki filozof, którego słowa przytacza o. Jacek Salij w eseju *Stosunek do zwierząt*:

„(...) występuje tu czynnik nowy i tragiczny: w tej dziedzinie ustawicznie musimy się decydować albo na zabijanie, albo na pozostawianie przy życiu. Chłop nie może wyhodować wszystkich zwierząt zrodzonych w jego trzodzie. Zachowa tylko te, które może wyżywić i których wychodowanie zapewni mu dochód.

W wielu wypadkach jesteśmy też zmuszeni do zabijania pewnych istot w celu ratowania innych przez tamte zagrożonych. Kto podnosi piskłę, które wypadło z gniazda, musi, chcąc je nakarmić, zabijać inne małe stworzenia. Jest to całkowicie samowolne postępowanie. Jakim prawem poświęca on dużą liczbę istnień dla jednego

stworzenia? Podobnie samowolnie postępuje ten, kto unicestwia niesympatyczne sobie zwierzęta, aby uchronić przed nimi inne”.

Stawianie dobra zwierząt ponad dobrem człowieka jest więc filozoficznie wątpliwe, a ekonomicznie szkodliwe. Rachunek za problemy demograficzne zaczynają już płacić emeryci, a w przyszłości będzie on jeszcze wyższy. Z kolei rolnikom kolejne przepisy o dobrostanie zwierząt utrudniają prowadzenie działalności. Odwrót od chowu klatkowego drobiu i coraz surowsze normy zwiększają koszty produkcji jaj, mięsa i nabiału, co ostatecznie odczuwamy przy sklepowych kasach. To dla uboższych rodzin istotny problem.

I tu dochodzimy do sedna. Znęcanie się nad zwierzętami jest złem. Ale złem jest też ślepa troska o ich wygodę, gdy wokół nas nie brak ludzi, którym nie starcza na chleb. A właśnie do takiego odwrócenia porządku prowadzi kult zwierząt wyrosły z utylitaryzmu Singera, a po części także z wierzeń Dalekiego Wschodu.

ŹRÓDŁA:

Pismo Święte Starego i Nowego Testamentu. Biblia Tysiąclecia, wyd. V, Pallottinum, Poznań 2003.

Katechizm Kościoła Katolickiego, wyd. II poprawione, Pallottinum, Poznań 2002.

GUS, *Polska w liczbach 2026*, [<https://plwliczbach.stat.gov.pl/pl/assets/pdf/polska-w-liczbach-2026.pdf>]. Odczyt z dnia 12.07.2026 r.

Grand View Research, *Pet Care Market (2026–2033)* [<https://www.grandviewresearch.com/industry-analysis/pet-care-market>]. Odczyt z dnia 15.07.2026 r.

Helios Joanna, Jedlecka Wioletta, *Poglądy Petera Singera na kwestię zwierząt i na ich prawa*, „Życie Weterynaryjne” 2024, 99(2) [<https://zycie-weterynaryjne.pl/wp-content/uploads/2024/03/ZW-02-2024-01.pdf>]. Odczyt z dnia 15.07.2026 r.

Kolektyw Kreatywny, *Psiecko zamiast dziecka: MEGA trend, który zmienia rynki* [<https://kolektywkreatywny.pl/blog/psiecko-zamiast-dziecka-mega-trend-ktory-zmienia-rynki/>]. Odczyt z dnia 12.07.2026 r.

Salij Jacek, *Szukającym drogi* [https://mateusz.pl/ksiazki/js-sd/js-sd_57.htm]. Odczyt z dnia 16.07.2026 r.



„NAJPIERW ZIEMIA!”. WALKA EKOLOGII Z CZŁOWIEKIEM I CYWILIZACJĄ

Młodzież blokująca ulice miast w proteście przeciw „zmianie klimatu”; tak zwani aktywiści zakłócający pracę hodowców zwierząt i zabiegający o zniszczenie branży w kraju – to znane oblicza aktywności ruchów „ekologicznych”. Bardziej radykalne spośród nich sięgają po sabotaż infrastruktury krytycznej. Skłonność do destrukcji nie jest jednak tylko specyficznym „modus operandi” eko-fanatyków. Dla niejednego entuzjasty ideologii tzw. zrównoważonego rozwoju główną motywację stanowi nie umiłowanie dzikiego życia, ale pogarda skierowana ku ludzkości i cywilizacji. Nie dziw, że „ekologiczne” programy zakładają dziś nade wszystko odrzucenie osiągnięć przemysłu, rolnictwa czy wielowiekowych tradycji łowieckich. To w końcu kluczowe narzędzia dobrobytu naszego gatunku, ale wielu nazywających siebie obrońcami natury zwyczajnie za rodzajem ludzkim... nie przepada.

Afirmacja boskiego stworzenia, jakim jest cały wszechświat, to dla refleksji chrześcijańskiej temat klasyczny. Wszak w Piśmie Świętym wielokrotnie obrazy przyrody stanowiły punkt wyjścia kontemplacji skierowanej ku Bogu Stwórcy. Więcej: sam Chrystus Pan kazał uczniom wielokrotnie zwracać swój wzrok ku przyrodzie. Przykładów całe mnóstwo: a to przypowieść o dobrym i złym drzewie; a to wspomnienie figowca jako znaku czasu... Na szczególne wspomnienie zasługuje jednak zachwyt samego Zbawiciela nad pięknem kwiatu. Jak wspomina Ewangelia św. Mateusza, Syn Boży zwrócił się do apostołów, mówiąc: „A o odzieniu czemu się zbyttnio troszczycie? Przypatrzcie się liliom na polu, jak rosną: nie pracują ani przędą. A powiadam wam: nawet Salomon w całym swoim przepychu nie był tak ubrany jak jedna z nich. Jeśli więc ziele na polu, które dziś jest, a jutro do pieca będzie wrzucone, Bóg tak przyodziewa, to czyż nie tym bardziej was, małej wiary?” (Mt 6, 28–30).

PIERWSI RODZICE I „OSTATNIE POKOLENIE”

Samo Objawienie uczy chrześcijanina patrzeć na stworzenie jako fundamentalnie dobre. Jednocześnie Tradycja Kościoła wskazuje, że od namysłu nad nim rozum ludzki z pewnością może dojść do poznania prawdy o istnieniu Stwórcy. Przekonanie to Sobór Watykański I podał jako jednoznaczne rozstrzygnięcie doktrynalne w Konstytucji o wierze katolickiej *Dei Filius*.

Badając porządek stworzenia z perspektywy wiary człowiek odkrywa jednocześnie swoje kluczowe w nim miejsce – rolę korony stworzenia, ukształtowanej na podobieństwo Stwórcy. Ta szczególna bliskość z Bogiem wyraża się przez rozumny charakter naszej natury. Dzięki niej jesteśmy zdolni, by stać się zarządcami i powiernikami całego stworzenia. Fakt ten wyraża biblijna scena, w której Adamowi i Ewie sam Bóg oddał we władanie ziemię z jej fauną i florą; kazał używać jej dla pożytku potomstwa, a pierwszy człowiek nadał imiona napotkanym stworzeniom.

Współcześnie ruchom deklarującym przyjaźń względem przyrody towarzyszy zupełnie inna od chrześcijańskiej wizja naszego gatunku. Znakiem rozpoznawczym zwolenników „zrównoważonego rozwoju” jest przekonanie, że człowiek poddaje Ziemię stałej destrukcji, a jego panowanie nad zwierzętami to niesprawiedliwa tyrania. W wizji tzw. obrońców „praw zwierząt” ludzkość to obcy ekosystemowi oprawcy, których władzę nad stworzeniami należy ograniczyć. Można nawet i sięgnąć po bezpardonowe sposoby, aby z nimi walczyć.

W polskiej popkulturze kinematograficzny manifest tych przekonań osiągnął spory sukces. Chodzi tu o film Agnieszki Holland z 2017 roku, zatytułowany „Pokot”. Ta oparta na powieści Olgi Tokarczuk produkcja opowiada o starszej kobiecie – wegetariance oddającej się astrologii. Bohaterka odbiera życie myśliwym w odwecie za to, czym się zajmują oraz za uśmiercenie jej dwóch psów.

„Pokot” to coś znacznie więcej niż kolejny manifest nienawiści do łowiectwa, przedstawionego w sadystycznych barwach. To

zekranizowany głos poparcia dla ekologicznej kontrkultury, która zakłada, że troska o ekosystem i zwierzęta może – a czasem i powinna – górować nad przejęciem losów ludzi. Nade wszystko, według eko-radykałów, trzeba ruszyć „na ratunek” biosferze, „uciskanej” przez nikczemnego człowieka.

Ten antycywilizacyjny wymiar dał o sobie znać w filmie Agnieszki Holland pod postacią wymownej sceny obchodów wspomnienia świętego Huberta w jednym z kościołów sudeckiego regionu. Chrześcijańska celebracja ukazana została w produkcji jako turpistyczny wręcz kult śmierci i uczczenie destrukcji. To gorący akt oskarżenia, skierowany przeciw kulturze i klasycznej wizji człowieka jako zarządcy natury.

W „Pokocie” to właśnie działalność człowieka ukazana jest jako źródło chaosu i krzywdy w kosmosie. Moc przywrócenia porządku uosabia za to oddająca się astrologii wegetarianka. Kontrast jest tu oczywisty. Chodzi o ukazanie konfrontacji Janiny Duszejko – oddającej irracjonalną cześć przyrodzie, której czuje się integralną częścią – z ludzką dominacją w ekosystemie. Główna bohaterka występuje wbrew własnemu gatunkowi, w imię „autonomii” biosfery.

EKOFEMINIZM

Opowieść, wprowadzona na ekrany polskich kin w 2017 roku, pod wieloma względami odpowiada spojrzeniu na świat zwolenników ideologii ekologii głębokiej. W szczególności przywodzi ona na myśl refleksję „ekofeminizmu”. Jak nietrudno pojąć z samej nazwy, ta myślowa tendencja łączy w jeden kontrkulturowy program promocję ochrony środowiska oraz sprzeciw wobec uprzemysłowienia, z programem „wojny płci”. Jej rewolucyjną obietnicą jest emancypacja „uciśnionych”... kobiet, a także przyrody spod „tyranii” cywilizacji. Tej, którą zbudowali mężczyźni w próbie poznania i podporządkowania sobie otaczającej rzeczywistości, dzięki rozumowi i technologicznej przewadze.

Jedną z kluczowych propagatorek eko-feminizmu jest niejaka Carolyn Merchant. Ta urodzona w 1936 roku pisarka wydała głośną swego czasu książkę zatytułowaną „Śmierć Natury”. Na kartach tej pozycji autorka przedstawiała rewolucję przemysłową, powstanie nauk przyrodniczych i próbę zarządzania przyrodą przez człowieka jako nieudane przedsięwzięcie, którego nieuchronnym rezultatem jest kryzys ekologiczny. Jednocześnie – jak przekonywała Merchant – to właśnie u progu epoki industrialnej kobiety miały stracić znacznie-szą rolę w społeczeństwie i gospodarstwach, ulegając „marginalizacji”. Sposobem na ratunek ma być radykalna zmiana relacji między człowiekiem a naturą. Eksploatację miałyby zastąpić harmonijne współistnienie. Siłą napędową dla budowy tego bardziej „zrównoważonego” stosunku ma być, wedle Merchant, zaangażowanie kobiet w ochronę środowiska i walka z jego eksploatacją.

WROGOWIE LUDZKOŚCI

Ekofeminizm to zaledwie jeden z radykalnych ruchów ekologicznych, które zgodnie przedstawiają człowieka wraz z jego cywilizacją jako wielkiego szkodnika biosfery. Wśród pozostałych odłamów eko-radykalizmu nie brak zupełnie nieskrywanej niechęci do rodzaju ludzkiego. Jednym ze środowisk deklarujących ją całkiem otwarcie było aktywne w USA od lat 90-tych XX wieku „Earth First!” – ekstremistyczne zrzeszenie założone przez byłych aktywistów innych organizacji ekologicznych. Wywodzący się z jego szeregów pisarz i eseista Christopher Manes otwarcie przyznawał się do mizantropii.

Manes korzystał z pseudonimu literackiego „Miss Anne Thropy”. Zasłynął kilkoma stwierdzeniami, które wskazują, że deklarując nienawiść do ludzkości wcale nie używał przejawskrawionych słów. Swego czasu ten eko-radykał skonstatował, że epidemię AIDS można postrzegać jako wartościową „reakcję” ekosystemu na przerost „inwazyjnej” populacji człowieka. Podobne komentarze przy okazji zarazy w Etiopii wygłaszał zresztą jeden z założycieli „Earth First!” David Foremann, odradzając pomoc dotkniętej klęską ludności.

W jednym ze swoich esejów Manes szczerze i obszernie wyjaśniał, dlaczego los ludzi nie jest dla niego największą troską. Zagadnieniu własnej niechęci do człowieka autor poświęcił tekst zatytułowany „Dlaczego Jestem Mizantropem”. Przedstawił w nim ideologiczne spojrzenie na historię i kondycję rodzaju ludzkiego. Stwierdził tam, że na przestrzeni tysiąclecia ma on za sobą jedynie dorobek wojen, mordów oraz destrukcji ekosystemu.

Wychodząc z takiego założenia, Manes uznał, że skoncentrowanie na problemach człowieka, a nie środowiska – co określał mianem „humanizmu” – stanowi błędne podejście, od którego w polityce oraz codziennych wyborach należy odejść.

„Zakładam, że trwający od tysiącleci kryzys ekologiczny napędzany jest przez naszą wątpliwą etykę i ideologię społeczeństw takich jak nasze; tę fantasmagorię nieszczęsnych wierzeń, eufemistycznie nazywanych cywilizacją; wierzeń, które uzasadniają i promują destrukcję natury. W erze przemysłowej pierwszorzędnym spośród tych przekonań jest humanizm. To kielich z trucizną przyłożony do ust naszego społeczeństwa. Instytucje, które posiadały kontrolę nad ekologią, wmawiają nam, że ich polityka przeciwko przyrodzie tworzy dla ludzi lepszy świat. To oczywiście kłamstwo, ale łatwo ulegająca pochlebstwom i gorąco skoncentrowana na sobie większość ludzi przyjmuje to zwiedzenie jako najwyższą pochwałę”, pisał Manes w swoim esej.

„Mizantropia to przyznanie, że ludzka egzystencja ma ograniczenia; że ludzie błędzą i kłamią, są samooszukującymi się ssakami, głodnymi władzy i błędzącymi z natury, a zatem nie powinni próbować zniszczyć budzącego grozę piękna tej planety. Są bardziej znaczące rzeczy w niebie i na ziemi, niż wyobraża to sobie humanistyczna filozofia”, kontynuował.

Eko-radykał dobitnie krytykował również przekonanie o wyjątkowej roli człowieka pośród stworzenia. Jego zdaniem, formy życia w świetle teorii ewolucji nie mogą być ze sobą porównywane, zatem człowiek

nie jest niczym bardziej zaawansowanym czy godnym większej uwagi od chociażby... gąbek. Z podobnej opinii musiał oczywiście wypłynąć wniosek, że miejsce, jakie zagwarantowaliśmy sobie w świecie dzięki rolnictwu, hodowli i technologii, jest zupełnie nieuprawnione.

„Paradoksalnie, gdy ludzkie interesy wysuwa się na czoło, ludzie cierpią w konsekwencji wskutek ekologicznej zapaści. Tymczasem przedkładając najpierw planetę, przez kładzenie nacisku na inne gatunki, mamy szansę stworzenia środowiska z optymalną ilością prawdziwej wolności i godności możliwej do osiągnięcia przez *Homo Sapiens* w naszym ciasnym świecie pełnym ograniczeń”, stwierdzał Manes.

O tym zamiarze „zdjęcia człowieka z piedestału” radykalny aktywista pisał również w książce zatytułowanej *Green Rage: Radical Environmentalism and the Unmaking of Civilisation*. Jak wyjaśniał na kartach wydanej w 1990 roku pozycji, celem radykalnej ekologii jest „kultywacja skromności środowiskowej, która pozwala naturze spełniać jej własny cel. To, ostatecznie jest kluczowe wobec kryzysu ekologicznego, nie epistemologiczna czystość”. Chodzi o zastosowanie zasad „wartości i praw” względem przyrody, zgodnie z „tym, co Warwick Fox nazywa negatywnym zadaniem Głębokiej Ekologii – decentralizacją rodzaju ludzkiego”, deklarował radykalny działacz.

MARZENIA O DESTRUKCJI

Christopher Manes nie był odizolowanym fanatykiem marzącym o tej „decentralizacji”, ale wpływowym i zaangażowanym członkiem „Earth First!”. Organizacja ta przez lata organizowała szereg akcji wstrzymujących ścinę drzew, protesty przeciw budowie tam, a także promowała praktyki sabotażu, takie jak wbijanie gwoździ w drzewa w celu utrudnienia wycięcia.

Na „Earth First” wybitny wpływ miał m.in. Edward Abbey – znany pisarz, który historii „eko-sabotażystów” umieścił m.in. w swojej znanej powieści zatytułowanej *Money Wrench Gang*. On sam przejął od swojego ojca Paula – anarchisty z przekonania – kontrkulturowe idee, które połączył z przywiązaniem do środowiska naturalnego. Jego

twórczość wywarła również wpływ na innego słynnego przeciwnika cywilizacji. Miała być ulubioną lekturą terrorysty Teda Kaczynskiego, znanego jako „Unabomber” – sprawcy licznych morderstw dokonywanych poprzez przesyłane paczkami materiały wybuchowe. Kaczynski stał się przedmiotem jednego z najtrudniejszych i najbar-dziej kosztownych śledztw w dziejach amerykańskiej kryminologii.

Co prawda ideologia „Unabombera” odpowiada radykalnemu ekolo-gizmowi wyłącznie w niektórych kwestiach, jednak zainteresowanie mordercy pracą Abbeya podkreśla destruktywną tendencję, jaka tkwi u jego podstaw. Zdaniem bio-centrystów człowiek i jego cywilizacja nie są po prostu tyle wartościowi, by zajmować kluczowe miejsce w przyrodzie, więc osiągnięcia naszego gatunku trzeba poddać de-strukcji: zatrzymać wycinkę drzew, budowę tam i rozwój medycyny – „nawet za cenę miejsc pracy” – by użyć słów Christophera Manesa.

Z tego względu morderstwa na myśliwych z fantazji Tokarczuk i pla-nu zdjęciowego Holland są trafną metaforą eko-ideologii. W rzeczy samej: projekt cofnięcia cywilizacji i odejścia od opanowania świata przyrody przez człowieka jest iście zabójczym przedsięwzięciem...

Podczas, gdy eko-radykałowie marzą o raju autonomicznej „biosfery”, warto by zobaczyć, jaką ceną opatrzone jest życie w takich realiach. To wysokie statystyki śmiertelności dzieci, nawracające epidemie, za-leżność od warunków klimatycznych, podatność na katastrofy natu-ralne czy zagrożenie ze strony dzikich zwierząt.

Skutki „autonomii” przyrody obrazuje chociażby niedawne zajście z polskiej stolicy. Dzik, jakich, bez reakcji służb, pełno wałęsa się po naszych osiedlach, zaatakował 36-letnią kobietę podczas jej spaceru z psem. Zwierzę z impetem wbiegło w Warszawiankę, a siła uderze-nia poderwała ją w powietrze. Poszkodowana trafiła do szpitala z po-ważnym złamaniem.

Rezygnacja z komfortu, zmniejszenie bezpieczeństwa i niezależ-ności człowieka, to kierunek, ku jakiemu zmierzają współcześnie

ekologiczne projekty. Radykalni aktywiści nie przeocząją tego faktu. Obstają jednak przy swoim, bo wedle ich światopoglądu człowiek ma niską wartość, podczas gdy florę i faunę darzą irracjonalnym uwielbieniem.

SÓL ZIEMI?

Tę skłonność dobitnie pokazuje inny znany film ze „środowiskowym” przesłaniem. Chodzi o rozpoznawalny dokument „Sól Ziemi” w reżyserii Wima Wendersa. Nagradzana produkcja poświęcona jest brazylijskiemu fotografowi o marksistowskich przekonaniach, Sebastiao Salgado.

Nominowany do Oscara dokument przedstawia historię kariery tego mężczyzny, który podróżował w dalekie strony świata, fotografując tragizm ludzkiego życia, w tym sceny wojen i klęsk naturalnych. Mając za sobą już lata podobnych doświadczeń, fotograf udał się wreszcie do Rwandy i Konga, tuż po tym, jak przez państwa te przetoczyły się ludobójstwa. Obserwując i dokumentując podobne wydarzenia Salgado stwierdził ostatecznie, że ludzie są okropnym gatunkiem i „nie zasługują, by żyć”.

Ze szponów depresji i poczucia bezsensu miało wyrwać go dopiero zaangażowanie w odbudowę biosfery wokół dawnego rodzinnego majątku. Salgado podjął się odbudowy lasu deszczowego, jaki niegdyś pokrywał okolicę, ale obumarł z powodu suszy. W odnowieniu puszczy i obserwacji dzikiego życia bohater opowieści Wendersa miał na nowo odkryć nadzieję i sens.

BOLESNY PARADOKS

Przedsięwzięcie Salgado wyraża bolesny paradoks, w jaki uwikłane jest myślenie bio-centrystów. Żądając odejścia od panowania człowieka nad przyrodą, jednocześnie... sami proponują oni formę sprawowania nad nią kontroli, tyle że w innym celu.

Spójrzmy na podjęty przez Brazylijczyka wysiłek odbudowy ekosystemu zniszczonego przez suszę. Było to wybitne „antropocentryczne”

przedsięwzięcie: zgodnie z założonym planem fotograf poddał lokalne środowisko zmianie dla własnych celów, odwracając jego erozję.

Zwolennicy „współistnienia” człowieka z naturą w praktyce proponują nic innego, jak kolejne planowe wpłynięcie na ekosystem. W ich wizji redukcja cywilizacji ludzkiej ma zagwarantować większą swobodę innym gatunkom. Oznacza to tyle, co wpłynięcie na ludzkość i przymuszenie jej do działań, które ułatwią sukces innych istot. Nie ma tu żadnej zmiany stosunku między człowiekiem, a naturą. To dalej poddawanie jej zaplanowanym zmianom dla osiągnięcia określonego celu. Tym razem jest nim po prostu satysfakcja ekologów. To sporządzony przez ludzi projekt dla osiągnięcia ludzkich zamierzeń – tyle, że opartych o zideologizowaną ocenę człowieka jako szkodnika. A jednak – gdy przyjrzeć się faktom – i ten mit eko-fanatyków okazuje się bezpodstawny.

NISZCZYCIELE LASÓW! CZYLI... BOBRY

Czy Janina Duszejko z filmowych kadrów Agnieszki Holland gniewałaby się na sytego, karmionego przez właściciela kota, że ten wciąż odławia kanarki? Czy ta „obrończyni” przyrody zgorszyłaby się na widok jego zabawy ofiarą? Zapewne nie. Uznałaby to nie za wyraz okrucieństwa, a piękny obraz działania „kręgu życia”. Gdy jednak człowiek czyni coś w jakiejś mierze podobnego, kultuwując myśliwskie tradycje – zdaje się jej być haniebnym sadystą.

Być może cenną lekcję dla orzeźwienia głów eko-radykałowie znaleźliby w zimnym klimacie amerykańskiej północy. Otóż, gdy na Alasce i w Kolumbii Brytyjskiej nadchodzi sezon na łososie, niedźwiedzie znajdują się w doskonałej sytuacji. Obfitość łatwego łupu, jaki mają na wyciągnięcie pazura, pozwala im na wybredność. Łapiąc ryby, potężne zwierzęta zjadają jedynie mózgi, kawior i skórę ofiar. Na spożywanie mięsa szkoda im czasu – zwyczajnie wyrzucają je więc, szukając kolejnej wysokokalorycznej zdobyczy.

W przyrodzie na ideały zrównoważoności i fantazmaty eko-radykałów nie ma miejsca. Niedźwiedzie nie przejmują się tym, że pożerają

więcej łososia niż potrzeba ich wymaganiom kalorycznym. Ani myśla „oszczędzić” drugi gatunek, zjadając jednak ostatki. Mają dostęp do obfitości łupu, maksymalnie korzystają z ofiary. Taki jest łańcuch pokarmowy. Podczas, gdy ekolodzy w takim żerowaniu istot na sobie nawzajem widzą piękno i harmonię, to w korzystaniu człowieka z innych gatunków dostrzegają jedynie okrucieństwo nie do przyjęcia.

Podobnych nieścisłości jest więcej. Idealizujący naturę i przyrodę bio-centryści rzadko zwracają uwagę na fakt, że osiągające sukces w lokalnych ekosystemach gatunki potrafią skutecznie eliminować z nich inne istoty. Zwierzęta również dotkliwie przekształcają ekosystemy, mogąc wprowadzać w nich trwałe zmiany.

Podręcznikowym przykładem są tu lubiane bobry. Zwierzęta te potrafią do cna eksploatować zasiedlone tereny wodne, żerując na nich i w okolicy aż do chwili, gdy ta staje się jałowa i niezdadna do przeżycia. Wizja człowieka, który eliminuje gatunki i biosferę, podczas gdy fauna i flora żyje w perfekcyjnej harmonii, to fantasmagoria. Różnica tkwi jedynie w tym, że człowiek – z natury! – posiada potencjał, by nie tylko rywalizować o przewagę w ekosystemie, ale rzeczywiście opanować go, budując cywilizację.

Eko-radykałowie sądzą, że jej powstanie oznacza destrukcję. To jednak stronnicy wniosek. Gdy bio-centrysta patrzy na wyeksploatowane obszary górnicze, mniema, że spogląda na małą „apokalipsę”. W gruncie rzeczy widzi cenę ogrzania i zapewnienia dostępu do ciepła tysiącom osób. Kiedy eko-radykałowie rozdierają szaty z powodu wycinki drzew, są pewni, że „bronią” życia na planecie. A jednak – w domach z pozyskanego drewna toczy się właśnie życie jakiejś rodziny, która obdarza się miłością.

Zwolennicy bio-centryzmu proponują w istocie najbardziej obcą naturze formę kontrolowania jej: sztuczną walkę z sukcesem własnego gatunku, w nadziei na cieszenie się obserwacją rozwoju innych. To nie owoc ich przywiązania do natury. Człowiek, budujący cywilizację

i korzystający z przyrody, jest bowiem jej integralną częścią. Postawa niby-ekologów wyrasta więc z dewaluacji ludzkości.

Z tego powodu dyskusja o tym, czy człowiek może i powinien opanowywać ekosystem, powinna zaczynać się od pytania, po co to czyni. „Zieloni” sądzą zwyczajnie, że jesteśmy „mniej warci, niż wróble”. Stąd zwierzętom wolno eksploatować przyrodę i mnożyć się, bo ten rozrost miałby być szlachetny i godzien docenienia. Człowiek jednak najlepiej, by z chęcią przyjął antynatalistyczną ideologię i restrykcji nie ograniczał swoją ekspansję.

Trzeba być głęboko zranionym człowiekiem, by w dziejach ludzkości nie widzieć niczego, co dawałoby nam prawo do korzystania z natury zgodnie z naszym potencjałem. Kluczową rolę odgrywa tu dycho-
tomia i wyjątkowa ciasnota horyzontów. Gdy mizantrop patrzy na dekadę, w której trwała wojna, widzi w tym dowód na zło ludzkości. A jednak – nawet na wojnie nie brak pomocy medycznej ofiarom – również bezinteresownej. Wśród świstu kul faktem są i braterskie więzi zadzierzgane między walczącymi, spełnienie obowiązku obro-
ny tych, którzy nie mogą walczyć, wreszcie późniejsza opieka naro-
dów nad weteranami... Czy to fakty „pomijalne”? Tak jak lata utrzy-
mywania pokoju, o których mizantropi, rzecz jasna, wolą nie myśleć?

Dewaluacja człowieka i cywilizacji to nie tyle paskudne, drugie dno pro-ekologicznych przekonań. To ich właściwe oblicze, zakrywane je-
dynie maską obcych naturze mitów o harmonii kręgu życia i nieska-
lanym dobru wszystkiego, co tylko nie jest człowiekiem. Nie dajmy się
nabrać tym pozorom. W istocie sam Bóg potwierdził, że każdy z nas
znaczy więcej „niż wiele wróbli”. Ten Bóg, który spożywał pośród nas
mięso, porównywał się do pasterza... i jednocześnie stworzył całą
biosferę, która nas otacza.

↶
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

MIĘDZY ZEZWIERZĘCENIEM A ŚWIĘTOŚCIĄ

Człowieka postrzega się czasem jako pasożyta, który zakłóca ekosystem, jest ciężarem dla Matki Ziemi. Zanieczyszcza powietrze, degradowuje przyrodę, szkodzi florze i faunie. Istnienie człowieka jawi się jako zbyt kosztowne dla planety. W efekcie człowiek staje się czymś drugorzędnym, zbędnym albo nawet niechcianym. Na tym tle rodzą się takie idee, jako odrzucenie posiadania dzieci, które miałyby szkodzić Matce Ziemi. Ludzie wolą posiadać zwierzęta i na nie przerzucać swoje ojcowskie czy macierzyńskie uczucia.

PCh24.pl: Arystoteles mówił, że człowiek jest zwierzęciem. Wprawdzie zwierzęciem rozumnym, ale wciąż przecież zwierzęciem. Czy Kościół ma podobną optykę?

Ks. prof. Robert Skrzypczak: Nie, w ten sposób patrzyli na człowieka poganie, ale nie Kościół. Próbowali oni konstruować sobie jakąś teorię antropologiczną w oparciu o naturalizm, czyli o analizę danych natury. Wyobrażali sobie, że wszystkie byty ożywione mają jakiś rodzaj duszy – od wegetatywnej, przez zwierzęcą, aż po rozumną. Człowiek znajdował się w ten sposób na kontinuum bytów ożywionych. Nie był zatem fundamentalnie odrębny od zwierząt; był raczej zwierzęciem w wyższej formie czy postaci.

Prawda objawiona mówi nam coś zupełnie innego. Słowo Boga pokazuje, że człowiek ma swoje własne miejsce wśród dzieła stworzenia, a przy tym szczególny status bytowy. Został on umieszczony przez Boga wśród flory i fauny, nie jako „normalny element” całego tego środowiska. Bynajmniej, człowiek jest koroną stworzenia – jedynym bytem, który Pan Bóg stworzył na swój własny obraz i podobieństwo.

Ta boska decyzja ustanawia ogromną różnicę jakościową między człowiekiem a pozostałymi bytami ożywionymi. Tylko człowiek spośród

wszystkich stworzeń ziemskich jest wyposażony w szereg cech typowo ludzkich: samoświadomość, posługiwanie się językiem, zdolność do sądów moralnych czy inteligencja.

Człowiek posiada też zdolność do tworzenia relacji osobowych, czyli do zaawansowanego życia społecznego.

Nie chodzi tu o powielanie tego, co robią zwierzęta łączące się w pary albo stada. Człowiek buduje z innymi ludźmi relację opartą na uznaniu indywidualnej osobowości innych. Co więcej, dzięki niej jest zdolny do poświęcenia się, podarowania drugiej osobie samego siebie, z miłości. Jest to możliwe właśnie dzięki szczególnemu statusowi ontologicznemu człowieka jako stworzonego na obraz i podobieństwo Boga. Bóg jest Bytem osobowym, toteż ustanowił również w człowieku analogiczny sposób bytowania jako osoba.

Poganie widzieli, że człowiek różni się od zwierząt mową, rozumem, osądem moralnym, nieśmiertelną duszą. Jednak dopiero chrześcijańskie objawienie przyniosło światu absolutną rewolucję, która wiąże się z osobowym sposobem funkcjonowania człowieka w relacji do Boga i do innych ludzi.

Wydaje się, że dziś coraz rzadziej kierujemy się takim obrazem rzeczywistości. Popularny stał się raczej swego rodzaju egalitaryzm gatunkowy, czyli zrównywanie ludzi i zwierząt. To chyba cofnięcie się do czasów jeszcze przedpogańskich, a przynajmniej przedgreckich – do jakiegoś prymitywnego animalizmu.

Zjawisko, o którym Pan mówi, jest jednym z symptomów laicyzacji przestrzeni publicznej, coraz silniej wyzutej z chrześcijaństwa. Boże objawienie zostało wzięte w nawias. Cofamy się więc do pewnego rodzaju wtórnego pogaństwa.

Problem w tym, że tam, gdzie usunięty zostaje Bóg, a w centrum zainteresowania postawiono człowieka – to człowiek ten wcale nie zyskuje, ale traci. Bez Boga nie ma on już unikalnej wartości; tej, o której

mówiliśmy wcześniej. Nic dziwnego, że w świecie pozbawionym Boga coraz większym powodzeniem cieszą się różne nurty związane z apoteozą pokrewieństwa między człowiekiem a zwierzętami. Ludzie przestają widzieć fundamentalne różnice, które dzielą nas od innych bytów ożywionych. Widać to w wielu coraz popularniejszych zachowaniach, na przykład przy pochówkach. Niektórzy organizują „pogrzeby” swojego psa czy kota na wzór pogrzebów ludzi. Tak jak po pochówku naszych bliskich przygotowuje się stypę czy konsolację, tak samo robi się dziś po śmierci zwierzęcia domowego. To próba nadania mu tożsamości osobowej, której ono z natury rzeczy nie może posiadać.

Pojawiają się też propozycje, by niektórym zwierzętom nadawać obywatelstwo albo rodzaj paszportu... Niektórzy myśliciele uważają też, że można tworzyć nową antropologię zakorzenioną w rzekomej bliskości między bydłem a człowiekiem. Wystarczy wspomnieć Yuvala Noaha Harariego, który uważa, że człowiek jest bytem pomiędzy bestią a boskością. Zależnie od swojego własnego rozwoju, człowiek może sięgać do statusu boskiego, jednocześnie nie tracąc swojej przynależności do świata zwierząt.

Także w Polsce coraz popularniejsze są „rodziny ludzko-zwierzęce”. Zamiast dzieci, młodzi ludzie kupują psa czy kota i nazywają go odpowiednio „psieckiem” albo „kocieckiem”. Takie zachowania wydają się jak w soczewce obnażać absurd ideologii egalitaryzmu gatunkowego.

Takich niepokojących zjawisk jest dziś coraz więcej. To rzecz zupełnie normalna, że człowiek lubi zwierzęta i chce mieć je blisko siebie. Tak było w całej historii świata. Wystarczy spojrzeć kilka pokoleń wstecz, by stwierdzić, że również przodkowie wielu z nas żyli ze zwierzętami w ścisłej symbiozie. Mieszkali w tej samej chacie, gdzie po jednej stronie kuchni była sypialnia, a po drugiej stajnia. Dzieci często spały na jakiejś półce nad zwierzętami, co miało zresztą tę zaletę, że było im cieplej. Moi krewni rolnicy opowiadali, że na święta Bożego Narodzenia przygotowywano specjalne barwione opłatki, którymi dzielono się z inwentarzem domowym. W całej tej symbiozie człowiek

nie przestawał być jednak człowiekiem. Nie twierdził, że między nim a zwierzętami nie ma żadnej różnicy. Ludzie zachowywali swoją ontologiczną, wyjątkową oryginalność. Nawet w tej najbardziej potocznej i naturalnej mentalności, bliskiej zwykłej religijności, zawarty był pierwiastek chrześcijański przypominający o nadprzyrodzonym powołaniu człowieka, o ostatecznym sensie życia: zwierzęta zdychają, ale człowiek umiera; ich byt jest wpisany w teraźniejszość, człowiek żyje po to, by odkrywać Boga i aspirować do nieba. Człowiek ze swego życia może uczynić coś w rodzaju liturgii świętości. Może uwielbiać Boga Stwórcę i Odkupiciela wszechświata, czyniąc to niejako w imieniu całego stworzenia, wszystkich roślin i zwierząt.

Można chyba powiedzieć, że dziś zapomina się, dlaczego Pan Bóg w ogóle stworzył zwierzęta?

Zwierzęta są pomocą dla człowieka. Nie wolno ich męczyć, posługiwać się nimi jak przedmiotami, zabijać dla samego zabijania. Niemniej jednak zwierzęta dostarczają człowiekowi wsparcia w trudzie pracy, a także pokarmu i ciepła. Ludzkość rozumiała to przez długie wieki czy całe tysiąclecia, zaś objawienie biblijne niejako wytłumańczyło właściwą naturę tej relacji.

Dziś coraz częściej funkcjonujemy w paradygmacie naturalistycznym. Nie ma tu miejsca dla chrześcijańskich założeń, w których ostateczną perspektywę wyznacza Bóg, a ludzie traktują Go jako swojego Ojca. Zgodnie z objawieniem to właśnie Bóg jako Ojciec daje początek wszystkiemu, co istnieje. To On powołuje człowieka do życia, a zarazem wzywa go do swoistej przemiany ontologicznej, w której człowiek, poprzez otwarcie się na Jezusa Chrystusa, może osiągnąć status dziecka Bożego. W naturalizmie, zwłaszcza pojętym religijnie, punktem odniesienia nie jest już Bóg Ojciec, ale Matka Ziemia czy też Gaja. Ideolodzy ekologizmu mówią nam, że skoro Ziemia nas nosi i karmi, skoro to ona kiedyś przyjmie nasze kości – to właśnie ona jest naszą prawdziwą matką. Toteż domaga się wobec siebie absolutnego szacunku i posłuszeństwa. Człowiek nie rozwija już swojego nadprzyrodzonego powołania poprzez wybieranie dobra i odrzucanie

zła; nie musi wierzyć w Jezusa Chrystusa, nabywać cnót, starać się zyskać obiecany status syna czy córki Boga. W naturalistycznym paradigmatcie najważniejsza okazuje się uległość wobec natury. To zaś prowadzi do głębokiej degradacji ludzkiego bytu.

Nierządko wiąże się to również z wrogością do gatunku ludzkiego.

To prawda. Człowieka postrzega się czasem jako pasożyta, który zakłóca ekosystem, jest ciężarem dla Matki Ziemi. Zanieczyszcza powietrze, degraduje przyrodę, szkodzi florze i faunie. Istnienie człowieka jawi się jako zbyt kosztowne dla planety. W efekcie człowiek staje się czymś drugorzędnym, zbędnym albo nawet niechcianym. Na tym tle rodzą się takie idee, jako odrzucenie posiadania dzieci, które miałyby szkodzić Matce Ziemi. Ludzie wolą posiadać zwierzęta i na nie przerzucać swoje ojcowskie czy macierzyńskie uczucia. Batalia w tej kwestii toczy się też na poziomie legislatury. Znany jest pomysł, jaki zrodził się jakiś czas temu w Hiszpanii, gdzie pewne środowiska domagały się poszerzenia pojęcia osoby tak, by objąć nim niektóre bardziej rozwinięte gatunki zwierząt, takie jak wąż, delfin, małpa czy pies. To zakłada całkowite odrzucenie realizmu ontologicznego i moralnego, który przyniosło ze sobą chrześcijaństwo. Efekty są opłakane: na ochronę zasługiwać będzie raczej zdrowy osobnik psa czy delfina aniżeli słaby człowiek, czy to dotknięty chorobą, czy to sędziwy albo rozwijający się w łonie mamy.

Nawet jeśli komuś wydawałoby się, że mówimy tu o pewnych ekstremalnych przypadkach, to przecież ta religia naturalizmu wsącza się swymi drobinami w nasz światopogląd i sposób przeżywania świata. Coraz częściej jest tak, że zwierzęta są bardziej kochane i szanowane niż ludzie. Proszę sobie wyobrazić następującą historię. Po głównej Mszy świętej wychodzę z kościoła i ogarnięty jakimś złym duchem uderzam w twarz albo kopię przechodzącego człowieka. Łatwo przewidzieć, jak zakończy się ten nieprzyjemny epizod. Najpewniej wybuchnie awantura, może w rewanżu dostanę w głowę, a w końcu się rozejdziemy, co najwyżej z popsutym humorem. Gdybym natomiast postąpił w analogiczny sposób wobec, nie daj Boże, jakiegos pieska

czy kotka... Z dużą dozą prawdopodobieństwa sprawa zakończyłaby się przed sądem, a ten wymierzyłby mi dotkliwą karę. Przykład nie jest oczywiście wart naśladowania. Przywołałem go jedynie po to, by wykazać, w jak bardzo zaburzonych, z punktu widzenia standardów etycznych, czasach żyjemy.

Te standardy zdaje się jeszcze bardziej wywracać rozwój tzw. sztucznej inteligencji. Człowiek zawsze uzasadniał swoją wyjątkowość rozumem i mową. Dziś potrafi go naśladować bezduszna maszyna. Może więc jest tak, że siłą rzeczy upodabnia nas to jeszcze bardziej do zwierząt?

Sztuczna inteligencja może być dla człowieka wielkim dobrem. Podobnie jak rozwój fizyki jądrowej czy cybernetyki. Algorytmy AI są o wiele szybsze w kalkulowaniu, prognozowaniu czy projektowaniu. Dlatego zastosowanie tych nowatorskich narzędzi może przysłużyć się medycynie albo elektronice. To narzędzie o dużym pozytywnym potencjale. Z drugiej strony rozwój sztucznej inteligencji może wiązać się z szeregiem bardzo poważnych niebezpieczeństw.

Wszystko za sprawą lekceważenia chrześcijańskiej prawdy o grzechu pierwotnym. W naturę człowieka jest wpisany pewien defekt, dziedziczony poprzez zrodzenie. To słabość, która popycha człowieka w stronę egoizmu i odmowy czynienia dobra. W związku z tym sztuczna inteligencja może nie tylko pchnąć człowieka naprzód w rozwoju, ale może również go cofnąć w stronę czegoś w rodzaju ośłupienia, jeśli nie wręcz systemowej „idiokracji”. Wyręczani przez AI po prostu przestaniemy się rozwijać – nie tylko jako społeczeństwo, ale również indywidualnie. Każdy z nas widzi pewnie po sobie, jak zmienia go używanie nowoczesnych technologii. Mogę to stwierdzić na własnym przykładzie. Odkąd zainstalowałem w samochodzie GPS-a, nie zapamiętuję już drogi tak, jak wcześniej. Sam siebie zwalniał z potrzeby zwracania uwagi na szczegóły, które wcześniej służyły mi do zyskiwania orientacji w terenie. Dawniej wiedziałem, że tu jest sklep, tam kino, a jeszcze gdzieś indziej krzywy przystanek. Teraz tego nie widzę. Daję się prowadzić maszynie.

Podobnie dzieje się z młodzieżą, która już nie czyta książek. Sztuczna inteligencja pisze im wypracowania i przygotowuje wyciąg z każdej lektury. Znam przykład młodego człowieka z pokolenia AI, który wręcz chlubi się tym, że zdał maturę, choć nie przeczytał ani jednej z lektur. Można wskazać jeszcze bardziej kuriozalne przypadki. Znam człowieka świetnie oblatanego w kinematografii – potrafi odpowiedzieć na każde pytanie dotyczące reżysera, scenarzysty, roku produkcji, nagród, które film zebrał, aktorów, jacy w nim wystąpili... a jednocześnie tego filmu nigdy nie oglądał. Dziś wystarczy mu obejrzenie traileru i wygenerowanie raportu przez jakiś program AI.

„Zezwierzęcamy” się rezygnując z używania rozumu na rzecz AI?

To wszystko sprawia, że można patrzeć w przyszłość z pewnym niepokojem. Zamiast dalej się rozwijać, zaczynamy się cofać, a to stwarza ryzyko zaprzeczenia własnemu statusowi ontologicznemu. Przestaniemy respektować swoją osobową godność. Człowiek musi stawiać sobie wyzwania, pokonywać samego siebie. Do tego służy prawo naturalne, do tego jest dekalog, moralność. Ponadto łaska Boża pozwala mi przewyciężyć status quo, zachęca mnie do sięgnięcia poza horyzont własnych stereotypów i przyzwyczajęń. Nie mam na myśli licyferiańskiego przejęcia inicjatywy nad samym sobą, ale współpracę z Panem Bogiem, zaufanie, które okazujemy naszemu Stwórcy i Odkupicielowi.

Trzeba też potraktować na serio to, przed czym przestrzegają twórcy sztucznej inteligencji, tacy jak Peter Thiel albo Eliezer Yudkowsky. W odniesieniu do AI tworzą w swych wystąpieniach quasi-chrześcijańskie katechezy. Sięgają po proroków i Apokalipsę, żeby znaleźć ostateczny, głęboki sens kierunku, w jakim zmierza ludzkość. Zwłaszcza Yudkowsky wskazuje, że sztuczna inteligencja jest w jakimś sensie skopiowaniem ludzkiego funkcjonowania, a co za tym idzie – również ludzkiej natury. W efekcie może zawierać w sobie to, co ludzkość zignorowała, zapominając o chrześcijańskiej antropologii: czyli grzech pierworodny. Człowiek posuwa się przecież nierzadko do czynów złych nie tylko wobec drugiego, ale również wobec siebie. Bywa,

że działa autodestrukcyjnie. Jeżeli sztuczna inteligencja miałaby kopiować ludzką naturę, to może w swoim algorytmie zawierać błąd odpowiadający grzechowi pierworodnemu. Choć w założeniu dobra, może zwrócić się przeciwko nam. Tak się dzieje, gdy człowiek przestaje respektować prawa natury. Wówczas sam sobie szkodzi. Można powiedzieć, że natura bierze na nim odwet...

Jeżeli ludzie lekceważą rzeczywistość, odrzucając Boga – to Bóg może nieraz ściągnąć z nich swoją rękę, pozwalając na to, by spadły na nich konsekwencje ich własnej głupoty. Św. Augustyn mówił, że na tym polega właśnie pomsta Boża za nasze grzechy. Pan Bóg nie wymierza nam za nasze przewinienia jakichś wyszukanych, sadystycznych kar czy sankcji. Dopuszcza jedynie, by człowiek zmierzył się ze skutkami własnych głupich i beznadziejnych wyborów.

Zwierzęta, nie posiadając duszy, nie będą zbawione. Czy mogą znaleźć się jednak w raju? Co mówi nam o człowieczeństwie zasadnicza różnica w powołaniu człowieka i zwierzęcia?

Czy w raju będą zwierzęta czy też nie, zobaczy ten, kto się tam dostanie; reszta jest spekulacją i dowolnym mędrkowaniem. Prawda objawiona, czyli Pismo Święte i Tradycja Kościoła, mówi, że zwierzęta nie mają duszy. W związku z tym nie są powołane do zbawienia. Zostały dane człowiekowi, koronie stworzenia, jako pomoc. W tym sensie rolą zwierząt jest wesprzeć życie ludzkie, które ostatecznie nakierowane jest na uwielbienie Boga i odkrycie w Nim ostatecznego sensu życia. Pan Bóg jest jednak twórcą nieba i ziemi, rzeczy widzialnych i niewidzialnych. Żeby uszczęśliwić człowieka w niebie może zaofiarować mu towarzystwo jakichś zwierząt niebiańskich – pięknych ptaków, koni, psów czy owieczek. Także w tej perspektywie zwierzę byłoby jednak wtórne wobec człowieka. Na ziemi jest pomocą, a w niebie elementem uszczęśliwienia.

Myśląc o zwierzętach w kategoriach eschatologicznych, możemy założyć pewną prawidłowość: człowiek jest powołany do czegoś więcej, niż może mu dać doczesna egzystencja. Nie powinniśmy zatem

naśladować zwierząt. Mamy naśladować Pana Boga, świętych i aniołów. To jest nasz punkt odniesienia. Nie są nim zwierzęta. Nauka Kościoła rozmija się z założeniami ideologii ekologizmu.

A zatem uświęcenie, a nie „wtórne” zezwierzęcenie.

Przychodzi mu na myśl katecheza, jaką posługiwali się Ojcowie Kościoła. Starożytni dobrze znali *Odyseję* Homera. W niej zaś znajdziemy epizod związany z wizytą Odyseusza na wyspie czarownicy Kirke. Żeglarze, którzy docierali do tej wyspy, zwykle spotkali się z wielką gościnnością ze strony tej kobiety. Kirke spraszała ich na uroczystą kolację, ale w czasie uczyty zamieniała ludzi w zwierzęta – każdego w inne, zależnie od wiodących cech charakteru danego człowieka. Sam wielokrotnie się zastanawiałem, w co zamieniłaby mnie Kirke. W małpę? We świnię? A może w szakala? Nie wiem... W każdym razie mówiono, że chrześcijanie mają w sobie moc odwrócenia przekleństwa czarownicy Kirke. Myślano w ten sposób o wielkich świętych epoki, takich jak św. Paulin z Noli czy św. Jan Kasjan – wielkich chrześcijanach, którzy wiedli życie pełne wyrzeczeń z miłości do Chrystusa, a zarazem złożone z wyjątkowym intelektem. I tak jak Kirke doprowadzała ludzi do zezwierzęcenia, czyli do regresu, tak oni przykładem swojego życia wpatrzonego w Chrystusa przeprowadzali ludzi ze stanu zezwierzęcenia do pełni człowieczeństwa.

Mądrość tej katechezy potwierdza wielka tradycja Magisterium Kościoła, poczynając od Soboru Chalcedońskiego, przez II Sobór Konstantynopolitański aż po konstytucję *Gaudium et spes* II Soboru Watykańskiego. W chrześcijańskiej antropologii wyraźnie wskazuje się, po co na świat przyszedł Chrystus: z jednej strony po to, by objawić człowiekowi Boga, ale z drugiej strony, by objawić człowiekowi człowieka, innymi słowy: pokazać mu drogę do pełni człowieczeństwa. Jan Paweł II lubił powtarzać, że bez Chrystusa człowiek nie jest w stanie ani siebie zrozumieć, ani siebie urzeczywistnić. Do prawdziwego człowieczeństwa potrzebujemy wychylenia się ku niebu, ku łasce Boga.

Jesteśmy żeglarzami. Pozostajemy w nieustannej w podróży. Jeżeli zaczniemy wybierać zło i grzech, znajdziemy się wśród ofiar czarownicy Kirke. Po przeciwnej stronie czeka na nas Chrystus. Dzięki Niemu nasze człowieczeństwo może osiągnąć najwyższy stopień rozwoju: status człowieka wielowymiarowego, a kiedyś, w przyszłości, człowieka niebieskiego. Chodzi Boże o dzieło sztuki. Przecież to do niego aspijuje grzeszny człowiek. Kościół nazywa je świętością, czyli najwyższym poziomem rozwoju człowieczeństwa na obraz i podobieństwo chwalebnego Syna Bożego. Takich ludzi potrzebuje świat. Potrzebuje ludzi świętych.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Paweł Chmielewski

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

* * *

Ks. dr hab. Robert Skrzypczak – profesor Akademii Katolickiej w Warszawie, dogmatyk, rekolekcjonista. Jest autorem licznych książek z zakresu religijności. Od lat popularyzuje duchowość ks. Dolindo Ruotolo.



PIS GORZKO ZAPŁACIŁ ZA „PIĄTKĘ DLA ZWIERZĄT”

Ostrzegałem prezesa PiS przed konsekwencjami „piątki dla zwierząt”. On jednak mówił mi: proszę pana, jesteśmy niedługo po wyborach, teraz chłopci się zdenerwują, ale przed kolejnymi wyborami damy im parę złotych i będą na nas głosować. Przyznam, że to mną wstrząsnęło – mówi Jan Krzysztof Ardanowski, minister rolnictwa w rządzie Zjednoczonej Prawicy.

Czym była „piątka dla zwierząt”?

To projekt ustawy z 2020 roku, uderzający w interesy rolników. Łamał on umowę społeczną między wiejskimi wyborcami, a rządzącym wtedy PiS, który zgłosił ten projekt i próbował go przeprowadzić przez parlament. Jak wiadomo nieskutecznie, bo w Senacie ówczesna opozycja tę ustawę tak bardzo „udoskonalila”, że stała się właściwie niemożliwa do realizacji.

W jaki sposób zagrażała ona interesom rolników?

Po pierwsze, uderzała w chów bydła mięsnego, bo zakazywała uboju rytualnego, inaczej nazywanego ubojem na potrzeby wspólnot religijnych, czyli bez wcześniejszego ogłuszania zwierząt. Ubój ten często przedstawiany był w sposób bardzo plastyczny i nie do końca prawdziwy. Prawdę mówiąc wiele wskazuje na to, że ubój halal, tak mocno krytykowany przez prozwierzęce organizacje jako nieludzki, jest znacznie mniej bolesny dla zwierząt niż zabicie po wcześniejszym uszkodzeniu mózgu. Warto o tym powiedzieć, ponieważ pokazuje to, jakie mity narosły wokół tej metody.

W jaki sposób zakaz uboju rytualnego uderzał w interesy rolników?

Był on istotnym osłabieniem możliwości rozwoju polskich gospodarstw. Powinniśmy zwiększać produkcję żywności wysokiej jakości i poszukiwać nowych rynków zbytu. Szansą na wzrost produktywności polskiego rolnictwa była hodowla bydła mięsnego, a w górach także baraniny i jagnięciny, ale ulokowanie tych rodzajów mięsa na rynku wewnętrznym jest trudne, bo Polacy raczej preferują wieprzowinę i mięso drobiowe. Dlatego naturalnym jest szukanie eksportu do tych krajów, gdzie wołowina, a także baranina są poszukiwane. Takimi rynkami są kraje islamskie, jednak one wymagają innego uboju, tzw. halal.

Rynek zbytu dla mięsa halal jest szacowany na ponad półtora miliarda odbiorców. Zaś koszty produkcji wołowiny i baraniny nie są wcale wysokie. Mamy bowiem sporo tzw. użytków zielonych oraz nieużytków nienadających się do obsiania, ale mogących służyć bydłu do wypasu i produkcji pasz. Do chowu bydła mięsnego i owiec nie są też potrzebne zaawansowane technologicznie sprzęty, czy nowoczesne, drogie budynki.

Mówimy zatem o rynkach bardzo obiecujących. Gdyby jednak weszła „piątka dla zwierząt”, nie byłoby mowy o rozwoju eksportu do krajów muzułmańskich.

Kolejny obszar, na którym „piątka...” szkodziła rolnictwu, to uprawnienia do kontroli gospodarstw przez organizacje tzw. obrońców zwierząt. Otrzymaliby oni możliwość wchodzenia na teren należący do rolnika i sprawdzania jak dba on o zwierzęta. Zgoda na to, by jakieś prywatne organizacje mogły wchodzić sobie do czyjegoś domu czy zabudowań, to po prostu łamanie prawa własności, naruszanie miru domowego. Jedyntym organem, który powinien mieć takie prawo jest Państwowa Inspekcja Weterynaryjna. Ale nie organizacje społeczne, złożone często z niekompetentnych, naiwnych lub zaciętrzewionych ludzi.

Żeby właściwie ocenić, jak zwierzę jest hodowane, trzeba się na tym znać. Pamiętam, jak jedna z posłanek opowiadała mi kiedyś o tym, co

się jej przytrafiło w trakcie wakacji na Warmii i Mazurach. Widziała, jak na jednej z łąk rolnik wypasał krowy – jedne grube i tłuste, a drugie bardzo chude. I ona w porywie serca podeszła do tego rolnika, żeby udzielić mu reprimendy. Postraszyła go, że jeśli nie zacznie dbać o wszystkie zwierzęta, to zawiadomi policję, czy jakieś organizacje prozwierzęce. Na co on zwyzywał ją podobno bardzo grubymi słowami, mówiąc, żeby nie zajmowała się rzeczami, o których nie ma pojęcia. Te tłuste krowy były bowiem hodowane na mięso, zaś te chude to rasy mleczne. Ich wygląd nie wynikał ze złego żywienia, ale był po prostu naturalny. Pani poseł uczciwie przyznała, że na jaw wyszła jej niewiedza. Ona sądziła, że jeśli krowa jest chuda to musi być zaniedbana.

Proszę sobie teraz wyobrazić, jakie mogłyby być skutki wchodzenia do domów rolników ludzi, utrzymujących, że troszczą się o zwierzęta, ale nie mających o nich żadnego pojęcia.

Trzecim zagrożeniem dla rolnictwa ze strony „piątki dla zwierząt” miała być likwidacja hodowli zwierząt futerkowych. To chyba już mniejszy rynek niż ten związany z ubojem rytualnym?

Nie do końca. Owszem, nie tak istotny jak rynek spożywczy, ale nie jest to – jak twierdzą niektórzy – upadająca gałąź gospodarki. Jest pewna moda na futra, stale się utrzymująca. Z różnych powodów: lepszego zabezpieczenia przed chłodem czy po prostu prestiżu społecznego. Mąż kupujący żonie futro w prezencie to taki klasyczny obrazek, dość charakterystyczny dla naszej kultury, świadczący o zaradności i zamożności mężczyzny.

Nie widzę niczego złego w tym, by człowiek mógł nie tylko zjeść dzięki hojności natury, ale także się ubrać. W Finlandii na przykład futra są bardzo popularne, do tego stopnia, że nawet dzieci w szkołach uczone są w jaki sposób wyprawiać zwierzęta, patroszyć i zdejmować skórę. To jest element wychowania każdego Fina.

„Piątka dla zwierząt” wprowadzała całkowity zakaz takiej hodowli, uznając go, z jakiegoś powodu, za zły. Ciekawy jest tutaj pewien

trop lobbystyczny, wskazujący na to, kto być może zyskałby na tym zakazie. Otóż norki karmione są odpadami po uboju drobiu. Gdybyśmy te hodowle zlikwidowali, pozostałoby znacznie więcej odpadów do utylizacji, bo drób w Polsce jest popularny. Tak się jakoś złożyło, że w 2020 roku, czyli właśnie wtedy, kiedy procedowano „piątkę dla zwierząt”, do Polski wszedł niemiecki potentat zajmujący się utylizacją odpadów zwierzęcych. Szacuje się, że rynek odpadów poubojowych w Polsce ma wartość od miliarda do półtora miliarda złotych rocznie. O tyle też wzrosłyby zapewne ceny drobiu, gdyby hodowcy lub przetwórcy musieli dodatkowo płacić za utylizowanie pozostałości, zamiast przeznaczać je na paszę.

Kto w ogóle wymyślił tę ustawę?

To ciekawe, bo ten projekt w zasadzie pojawił się znikąd. Wyglądało to tak, jakby nie miał autora. Nie był on w żaden sposób konsultowany z Ministerstwem Rolnictwa. Pomysł inspirował ówczesny szef młodzieżówki PiS, Michał Moskał, potem jego twarzą stał się poseł Grzegorz Puda, który chyba w nagrodę za to został później ministrem rolnictwa. Bardzo chciał nim zostać, więc uznał zapewne, że skoro pan prezes życzy sobie tej ustawy, to on uzna ją za dobry projekt.

W otoczeniu Jarosława Kaczyńskiego było zresztą wiele osób utrzymujących, że „piątka dla zwierząt” to świetny pomysł. Bardzo ciepło o niej mówił Marek Suski, przekonany, że pan prezes nigdy się nie myli i w swojej dalekowzroczności widzi więcej niż rolnicy. Kolejną taką osobą był Krzysztof Czabański. Pozostawał w zażyłych relacjach z prezesem i przy okazji promowania tej ustawy przez PiS opowiadał o krzywdzie, jaka dzieje się zwierzętom.

Ale żadna z tych osób nie przyznawała się do autorstwa tej ustawy, co było dla mnie bardzo zaskakujące.

Pan wielokrotnie mówił, że ostrzegał prezesa PiS przed konsekwencjami uchwalenia tej ustawy.

Tak, rozmawiałem z nim o tym. Ostrzegałem, że jest to uderzenie w ważny dla PiS elektorat, złamanie pewnej umowy społecznej między partią a rolnikami.

I co prezes odpowiedział?

Mówił mi: proszę pana, jesteśmy niedługo po wyborach, teraz chłopci się zdenerwują, ale przed kolejnymi wyborami damy im parę złotych i będą na nas głosować. Przyznam, że to mną wstrząsnęło. Odpowiedziałem, że nie może traktować rolników jak dziewiętnastowieczny inteligent chłopca pańszczyźnianego. To nie są już biedni mieszkańcy wsi, których być może on pamięta jeszcze z czasów powojennych, kiedy to wieś ograbiano, nakładano na nią obowiązkowe, złodziejskie dostawy, kolektywizowano i szykanowano rolników, tzw. kułaków.

Mamy inne czasy. Na wsi dokonała się rewolucja godności, zamożność rolników wzrosła, to są ludzie lepiej wykształceni, dbający o swoje obejścia, żyjący nierzadko na wyższym poziomie, niż ludzie w miastach, inwestujący w wykształcenie swoich dzieci i tak dalej.

Ostrzegłem go, że ta ustawa wykopie rów między PiS-em, a rolnikami i gorzko za to zapłacimy. Jak wiadomo, nie dał się przekonać.

Jakieś racje polityczne musiały za tym stać. Czy prezes PiS w jakiś sposób argumentował swój upór?

Z pomysłem podniesienia kwestii obrony zwierząt przyszedł ponoć do niego wspomniany Michał Moskał. Miała to być próba otwarcia PiS na wielkomiejski elektorat. Kierownictwo partii, widząc rosnące sondaże Konfederacji zastanawiało się, jak przyciągnąć młodych ludzi, ocieplić wizerunek wśród tych, którzy teoretycznie byli w naszej orbicie wyborczej, ale z jakiś powodów wybierali inne ugrupowania. I pojawiła się koncepcja tej ustawy.

To się też mieściło w dość osobliwej wrażliwości samego Kaczyńskiego. On opowiadał mi kiedyś taką historię – z czego wcale nie kpię, bo

traktuję tamto wyznanie poważnie – że doświadczył jakiejs traumas, gdy w wieku sześciu lat, spędzając z bratem-bliźniakiem wakacje u rodziny na wsi zobaczył, jak jego ciotka obciąła kurze głowę. To miało być dla niego takim wstrząsem, że na całe życie zdeterminowało jego myślenie o zwierzętach. Mówię o tym nie dlatego, żeby wbijać Kaczyńskiemu szpilę, lecz żeby pokazać pewien sposób myślenia. Jego argumenty mają konkretne podstawy we wspomnieniach, które mogły poruszyć małego chłopca, ale czy powinny determinować racjonalne myślenie lidera uznawanego za stratega, kreatora, wręcz demiurga kształtującego politykę państwa?

To oczywiście było dość nieuczciwe postawienie sprawy. Mówiłem mu, że sam korzysta na co dzień z tego, że zwierzęta są zabijane. Je mięso, nosi buty z naturalnej skóry, ma torbę czy pasek. To wszystko wzięło się właśnie stąd, że ktoś wcześniej zabił zwierzę.

Dlatego sądzę, że oprócz samego politycznego pomysłu na pozyskanie nowego elektoratu, za „piątką dla zwierząt” stała również pewna dość specyficzna ideologia, daleka od chrześcijańskiej aksjologii, opartej na biblijnym wezwaniu, byśmy czynili sobie ziemię poddaną. To człowiek jest przecież koroną stworzenia i ma dbać o przyrodę, ale nie na zasadzie zrównywania jej z wartością ludzkiego życia. Dzisiaj bowiem ze szczytnego postulatu ochrony zwierząt tworzy się wręcz nową religię, nadającą zwierzętom podmiotowość. A równocześnie te same osoby, które tak bardzo kochają zwierzęta, że sprzeciwiają się ubojom, popierają aborcję, czy eutanazję. Czyli niektórych ludzi uznają za obciążenie dla społeczeństwa.

Wiem też skądinąd, że na prezesa PiS duży wpływ miał w tamtym czasie Janusz Wojciechowski, ówczesny unijny komisarz do spraw rolnictwa. Prezes wprost mówił mi, że on moje analizy odrzuca, bo ma tutaj pozytywne opinie Wojciechowskiego.

Wolę – powiedziałem wtedy – odejść z funkcji ministra rolnictwa, niż legitymizować i uwiarygadniać głupotę kierownictwa PiS z prezesem

na czele, proponujących szkodliwe dla rolników rozwiązania. I tak w konsekwencji znalazłem się poza partią.

Ale ustawa ostatecznie utknęła, później proponowano do niej różne zmiany, mające na celu rozmasować konflikt z rolnikami. Wreszcie nie weszła w życie.

Tak, choć pamiętam, że kiedy część posłów – w tym ja – nie poparło „piątki dla zwierząt” w sejmie, Jarosław Kaczyński, po opuszczeniu sali sejmowej, powiedział, że głosowanie pokazało różnice między dobrymi, a złymi ludźmi. Kiedy spotkałem go później skwitowałem to krótko: niech się pan w roli Pana Boga nie stawia, bo to Pan Bóg wie najlepiej, kto z nas jest dobrym, a kto złym człowiekiem i oceni to na Sądzie Ostatecznym.

I choć ustawa nie weszła w życie, to nie została zupełnie porzucona. Dzisiaj rząd pod kierownictwem Donalda Tuska wprowadza te przepisy w życie, tyle że stopniowo, chociażby w takich projektach jak ustawa łańcuchowa.

Rolnicy nadal pamiętają Kaczyńskiemu tamtą ustawę?

Rolnicy uznali to, jak przewidywałem, za zdradę. A po tym, jak ustawa utknęła i stało się jasne, że przestała być PiS-owi na rękę, kolejni politycy tej partii tłumaczyli, że był to bardzo dobry pomysł, tylko został źle przeprowadzony, źle wytłumaczony. Czyli – w domyśle – gdyby inaczej to rozegrać propagandowo, ludzie by to zaakceptowali. To potwierdzało, że PiS nie wyciągnął żadnych wniosków z popełnionych błędów. Ustami Lichockiej, czy Suskiego przekonywał, że wszystko było dobrze, tylko zabrakło odpowiedniej propagandy.

A przecież nie brakowało w PiS osób świadomych czym „piątka dla zwierząt” pachnie. Byli tacy, nieliczni, którzy się postavili, jak ja, ale byli też tacy, którzy głosowali, bo zarządzono dyscyplinę. Pamiętam jednego posła, który płakał, kiedy głosował.

Czy w pana przekonaniu „piątka dla zwierząt” doprowadziła za spadku notowań PiS? W październiku 2020 roku sondaże dla partii Jarosława Kaczyńskiego okazały się mniej korzystne niż w poprzednich miesiącach. Afera z „piątką...” rozpętała się we wrześniu tamtego roku.

Doprowadziła, absolutnie. Przekonanie wsi o zdradzie PiS-u było i pozostało jak zadra. Owszem, obecne rządy są nieudolne, ale to PiS zerwał pewną więź, jaka łączyła go z rolnikami. Przecież mieszkańcy wsi zawsze udzielali tej partii wysokiego poparcia. Ich głosy pozwalały równoważyć problemy, jakie PiS miał z wielkomiejską klasą średnią.

Spotkałem się z opinią, że Jarosław Kaczyński wyraził zgodę na ogłoszenie przez Trybunał Konstytucyjny zgody na zakaz aborcji eugenicznej właśnie dlatego, by uspokoić nieco sprzeciw partyjnych konserwatystów wobec „piątki dla zwierząt”. Czy to prawda?

Nie pamiętam tamtej sekwencji zdarzeń, więc trudno mi odpowiedzieć na to pytanie. Wiem natomiast, że takie decyzje musiały mieć akceptację Kaczyńskiego. Potem podobno tego żałował, bo w partii pojawiło się przekonanie, że czarne marsze spowodowały spadki w sondażach i utratę popularności.

Ale na pewno zgodę na to wszystko musiał Kaczyński wyrazić. Obecnie w PiS nie ma już właściwie nikogo, kto mógłby się z nim nie zgodzić. Zostali sami pochlebcy, ludzie, mówiąc wprost, serwilistyczni, absolutnie posłuszni prezesowi. Wszyscy, którzy myśleli samodzielnie, mieli własne zdanie i odwagę, by je głosić zostali z PiS wypchnięci. Dzisiaj prezes ma współpracowników, którzy na pytanie ile jest dwa plus dwa, odpowiadają pytaniem: ile to ma być, panie prezesie?

Żałuje pan odejścia z PiS?

Nie obawiałem się nigdy pohukiwań prezesa, wiedziałem też, że nie mogę zgadzać się na wszystko. Jeśli czegoś żałuję, to moich przyjaciół, którzy w PiS pozostali. Tam jest nadal moje serce. Zwyciężyła jednak lojalność wobec wyborców, nie mogłem pogodzić się z tym, jak PiS

potraktował wieś. Nie podoba mi się logika wyłożona mi przez Kaczyńskiego: dajmy wsi trochę pieniędzy, to na nas zagłosują. Chociaż taka prymitywna ocena chłopów, jako ludzi nastawionych wyłącznie na własny interes materialny jest i w innych partiach, to jednak od kierownictwa PiS, któremu to wieś dawała władzę, oczekiwałem, że z szacunku dla ludzi ciężkiej pracy, lub przynajmniej racjonalnego myślenia o najwierniejszym elektoracie, takie myślenie się nie pojawi. Niestety, zabrakło i rozumu, i szacunku.

Dzisiaj polska wieś potrzebuje uwolnienia przedsiębiorczości, deregulacji, odejścia od bzdurnych przepisów, nota bene w większości wymyślonych nie w Brukseli, ale przez polskie urzędy. Nie wiem, czy z głupoty, czy nadgorliwości, czy po to, by realizować interesy różnych wpływowych lobbystów. Potrzebne jest coś w rodzaju nowej „ustawy Wilczka” dla wsi. Nawet za cenę sporu z Komisją Europejską. Jeśli tak się nie stanie, polska wieś przegra konkurencję z Ameryką Południową, czy z Ukrainą.

Na wsi rośnie też obecnie opresyjność instytucji administracji rolnej. Nasilają się inspekcje weterynaryjne, badania sanepidu czy agencji restrukturyzacji. Te wszystkie instytucje domagają się coraz więcej praw dla siebie, co w połączeniu z inflacją przepisów pozwala kontrolować rolników.

Do tego rośnie też opresja polityczna, czego, trzeba uczciwie stwierdzić, za rządów PiS nie widziałem.

Co pan ma na myśli?

Rolnicy sprzeciwiający się bzdurnym przepisom, krytykujący tzw. władzę, muszą liczyć się z tym, że trafią pod lupę państwowych instytucji, które przeprowadzą u nich stosowną kontrolę. To narzędzie dotkliwe, bo jeśli kontroler się uprze, to zawsze znajdzie jakieś niedociągnięcia. Ten swoisty szantaż i zastraszanie rolników, to efekt działania obecnej władzy, szczególnie zaś odpowiedzialnego za sprawy wsi PSL-u.

Jest pan rolnikiem, zna pan realia polskiej wsi. Proszę powiedzieć czy naprawdę są potrzebne jakieś specjalne środki przeciwdziałające znęcaniu się rolników nad zwierzętami? Czy to jest jakieś powszechne zjawisko, wymagające radykalnych zmian w ustawach?

To jest właśnie stereotypowe myślenie ludzi z miast, że chłop na wsi zajmuje się męceniem zwierząt. Przede wszystkim obecna skala regulacji dotyczących chowu krów, świń czy drobiu jest tak wyśrubowana, przepisy unijne są tak absurdalne, że zwierzęta hoduje się w naprawdę świetnych warunkach. Koszty takiej hodowli są wysokie, co wręcz zniechęca wielu rolników do posiadania zwierząt. To po prostu przestaje się opłacać.

Natomiast kultura życia na wsi, także historycznie rzecz biorąc, zawsze zasadzała się na trosce o zwierzęta. Chłopi o nie dbali, bo przynosiły im one konkretną korzyść. Zwierzę musiało być nakarmione, napojone, chowane w dobrych warunkach, czyli w miejscu gdzie jest sucho i ciepło. Zadbana krowa daje mleko, kura znosi jajka, nakarmione zwierzę pociągowe będzie zdrowsze i bardziej wytrzymałe. Rolnik, troszcząc się o swój byt, musiał dbać o byt zwierząt.

Pamiętam, że mój ojciec często wstawał na długo przed świtem, tylko po to, by nakarmić konie, zadbać o nie, bo musiały wytrzymać trud dziennej pracy. Rolnikowi nie zależy na tym, żeby zwierzę padło, ale żeby dobrze służyło. Przypadki sadyzmu oczywiście się zdarzają, jak wiele wynaturzeń, ale na to są konkretne przepisy, nie trzeba tworzyć żadnych nowych.

No i kolejna sprawa: ludność wiejska jest zazwyczaj bardzo pobożna. Tam naprawdę było i w dalszym stopniu jeszcze jest takie przekonanie, że zwierzę to stworzenie Boże i nie wolno się nad nim znęcać.

Dobrym przykładem jest wigilijna tradycja dzielenia się opłatkiem ze zwierzętami. Był to powszechny obyczaj, wynikający właśnie z przekonania, że zwierzęta są darem Pana Boga.

Rolnik nie jest barbarzyńcą, człowiekiem bez sumienia. Takie myślenie jest nadużyciem albo głupotą. Mnie takie spojrzenie boli. I myślę, że nie tylko mnie.

Dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Krzysztof Gędłek

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI



NATURA SOBIE PORADZI. ALE CZŁOWIEK BEZ JEJ REGULOWANIA – JUŻ NIE

Oczywiście prawdą jest, że natura poradzi sobie bez ingerencji człowieka. Ale jest jeszcze druga strona medalu. Natura sama sobie poradzi, ale człowiek bez jej regulowania już nie. I to jest właśnie źródło tej manipulacji, które organizacje czy różnego rodzaju aktywiści nam sączą – zauważa Marcin Możdżonek, sportowiec, polityk i myśliwy, prezes Naczelnej Rady Łowieckiej w rozmowie z Piotrem Relichem.

Kobieta zabita i zjedzona przez niedźwiedzia w Bieszczadach, emerytka z przeciętą tętnicą po ataku dzika, kierowca TIR-a zagryziony przez psy w lesie – to opisy tylko tych najgłośniejszych incydentów w ostatnim czasie z udziałem zwierząt. Przy takich okazjach bardzo często słyszy się, że ataki prowokuje człowiek, który niepotrzebnie nachodzi zwierzęta w ich naturalnym środowisku. Kto zatem jest winny podobnych tragedii? Człowiek czy zwierzę?

Zwierzę dokonuje ataku, więc winne jest zwierzę. Ale to człowiek dopuszcza do tego typu sytuacji. Nie mówię tu o ofiarach; nikomu nie zawiniła kobieta, która została zagryziona przez niedźwiedzia. Były zgłaszane sygnały o tym, że osobnik jest agresywny i że może dojść do tragedii. I faktycznie doszło, w lesie gospodarczym, zaledwie kilkaset metrów od zabudowań.

Dziki w miastach stanowią już coraz większy problem. Słyszeliśmy przykład z Krakowa, gdzie roczne dziecko wypadło z wózka przewróconego przez lochę. Polskę rozgrzała niedawna sprawa zagryzienia przez psy kierowcy TIR-a w okolicach Zielonej Góry, czy też ciężarnej mieszkanki Warszawy, która poroniła w wyniku ataku dzika. W Polsce mamy ponad 35 tysięcy pogryzień przez psy rocznie, a mówimy tu wyłącznie o przypadkach zgłaszanych.

Dlatego mimo wszystko większą winą należy obarczyć człowieka. Bo są ludzie, którzy świadomie pozwalają na takie sytuacje. Mało tego, sprzeciwiają się rozwiązaniom racjonalnym i zgodnym z prawem. Dzisiaj pozwalamy naszym zwierzętom niemal na wszystko: właściciele psów – mam duże wątpliwości co do tego, jak rzeczywiście o nie dbają. Nie układają psów, nie szkolą ich, często zdarza się, że nawet nie sprzątaję po swoich pupilach. Państwo, które nadzoruje polską przyrodę, w ogóle nie posiada strategii dotyczącej gatunków konfliktowych: niedźwiedzia, wilka, łosia, żubra, bobra. Do tego dochodzą jeszcze inwazyjne gatunki. Wajcha została przestawiona w skrajnie lewą stronę i zaczynamy ustępować miejsca zwierzynie, zwłaszcza w miastach. Miejsce dzikich zwierząt jest na dzikich terenach, więc w lesie lub na polach, a nie tutaj.

Skąd się zatem bierze ta zmiana stosunku człowieka do zwierzęcia? Czy nie jest tak, że powoli przestajemy traktować je jak zwierzęta, chcąc widzieć w nich naszych towarzyszy, bliskich, członków rodziny?

Faktycznie, obserwujemy proces zdumiewającej antropomorfizacji. Prawa zwierząt są dla niektórych ważniejsze niż prawa człowieka, co jest aberracją. Zachowania zwierząt nie zmieniły się od setek tysięcy lat. Zwierzęta chcą przetrwać, więc pobierają pokarm, przemieszczają się tam, gdzie mogą go znaleźć, atakują, a jeśli trzeba, to się bronią. Pokazują dominację. To nie jest proces rozumowania na ludzkim poziomie, choćbyśmy nie wiem jak zaklinali rzeczywistość. To jest instynkt.

Dzisiaj zdajemy się o tym zapominać, gdzieś totalnie odcięliśmy się od praw, jakimi rządzi się przyroda. Zatraciliśmy kompletnie zdrowy rozsądek. Dla nas pokarmy mięsne czy odzwierzęce, jak mleko i sery, stały się po prostu produktami ze sklepu. Tymczasem one pochodzą od zwierząt. Żeby w ogóle zjeść jakikolwiek posiłek mięsny, zwierzę musi stracić życie. Zwierzę musimy zjeść albo musimy je przegonić z pól, bo niszczy nasze uprawy.

Z drugiej strony według oficjalnych statystyk mamy już w Polsce więcej gospodarstw domowych z psem lub kotem, aniżeli z dziećmi. Polacy

znajdują się w europejskiej czołówce pod względem liczby psów na jednego mieszkańca. Wydawałoby się zatem, że zbliżamy się do natury, chcemy żyć za pan brat z przyrodą – tymczasem Pan mówi, że jest wręcz przeciwnie. Dlaczego?

Jeżeli pies czy kot jest dobrze traktowany, dobrze mu się żyje, jest ułożony, zna swoje miejsce w hierarchii rodzinnej (bo są to zwierzęta stadne, które dążą do tego, żeby dominować), to tak, miejmy psy. Miejmy ich jak najwięcej, cieszymy się nimi, bo i nasze dzieci się przy zwierzętach rozwijają. Natomiast jeżeli zwierzęta domowe mają być substytutem dzieci czy substytutem rodziny, no to świat staje na głowie i potem mamy to, co mamy.

Aktywiści prozwierzęcy i środowiska promujące ekologizm lubią powtarzać, że „natura sama sobie poradzi”, więc ingerencja człowieka w środowisko naturalne jest niepotrzebna, a nawet szkodliwa. Czy rzeczywiście tak jest? Czy natura faktycznie poradzi sobie bez człowieka?

Oczywiście to prawda, że natura poradzi sobie bez ingerencji człowieka. Ale jest jeszcze druga strona medalu. Natura sama sobie poradzi, ale człowiek bez jej regulacji już nie. I to jest właśnie źródło tej manipulacji, którą organizacje czy różnego rodzaju aktywiści nam sącą. Natura zawsze znajdzie rozwiązanie: coś nowego urośnie, powstanie nowy gatunek czy powróci stary gatunek do danego biotopu, ale człowiek już będzie miał problem.

Jeżeli nie będziemy regulować populacji zwierząt, jeżeli nie będziemy ingerować w przyrodę, zaczną nam zarastać drogi. Drzewa wyrosną w zupełnie przypadkowych miejscach. Zwierzyna dziko żyjąca, co już ma miejsce, będzie chodzić po centrach miast i stwarzać coraz większe zagrożenie. Naprawdę jestem zdumiony, że jeszcze nie doszło do jakiejś spektakularnej tragedii, ale to jest tylko kwestią czasu. Oczywiście mieliśmy poważne poturbowanie chłopca przez dziką w Legnicy, na szczęście dziecko odratowano. Okazuje się jednak, że nie jest to tak medialny temat jak „uśmiercanie dzika” czy „zabicie dzika”, który nagminnie wchodził na teren placu zabaw w Warszawie,

gdzie przebywały dzieci z rodzicami. Ideologia uczłowieczania zwierząt powoduje też to, że wszystko, co zrobi zwierzę człowiekowi, jest usprawiedliwiane przez nieświadomość zwierzęcia. Ale robienie ze zwierząt członków społeczeństwa opiera się z kolei na ich „wybitnym poczuciu wspólnoty z człowiekiem, wykształconym ewolucyjnie”. To bzdury i dopasowywanie narracji do fałszywej ideologii.

W związku z tym: skąd się bierze taka niechęć, albo wręcz nienawiść wobec środowisk, które starają się ograniczać tę dziką przyrodę – myśliwych i leśników? Krytyka zwłaszcza myśliwych przybiera formę wręcz absurdalną; ci ludzie są odżegnywani od czci i wiary, wyzywani od mordców, mówi się, że zabijając zwierzęta „mają krew na rękach”, niczym płatni zabójcy albo gangsterzy...

Za tymi atakami stoją cyniczne interesy grup wykorzystujących naiwność ludzi o wielkim sercu, którzy zapewne chcą pomagać, ale stawiają emocje ponad fakty i zdrowy rozsądek. A gra toczy się o naprawdę wielkie pieniądze. Wystarczy spojrzeć na to, jak Ministerstwo Klimatu i Środowiska obecnie rozdziela granty. To są setki tysięcy złotych przeznaczane na to, aby np. jakaś organizacja mogła zrobić warsztaty, zatrudnić ludzi, wypłacić im wynagrodzenia, wyposażyć i tylko w teorii działać na rzecz zwierząt. Wszystkie nadużycia i toczące się śledztwa w tego typu fundacjach też niezbyt interesują media.

Bardzo łatwo jest dzisiaj rozbudzić negatywne emocje, zwłaszcza wobec myśliwych. A jest to grupa, która wykonuje zadania ustawowe narzucone przez państwo, zgodnie z prawem i nie pobiera za to żadnego wynagrodzenia. To doskonały przykład realizacji idei państwa minimum, gdzie państwo ustawą ceduje na daną grupę społeczną pewne obowiązki, z których jest rozliczana, ale już korzyści z tej działalności trafiają do samych zainteresowanych. Przykładowo, Polski Związek Łowiecki, nawet jako NGO (ang. non-governmental organization), nie pobiera za realizację tych zadań żadnych pieniędzy.

Tymczasem aktywiści chcieliby, żeby podobna działalność była opłacana z budżetu. Żeby to było upaństwowione. Wtedy można sobie

założyć jakąś fundację, stowarzyszenie, działalność gospodarczą, wpisać w PKD działalność z powietrza i wystawiać faktury. Żeby nie być gołosłownym, podam przykład ze Szwajcarii. W kantonie Genewa postanowiono „sprofesjonalizować” czy też upaństwowić łowiectwo. W tym celu powołano specjalne, zawodowe służby. Skończyło się na tym, że koszt pozyskania jednego lisa wyniósł... 3000 franków szwajcarskich. A zatem z pomysłu szybciotko zrezygnowano zapominając o całej sprawie.

Koszt prowadzenia gospodarki łowieckiej to jest 8-9 miliardów rocznie. Nie dziwię się, że jak największy kawałek tego tortu chcą wykroić aktywiści, działając pod płaszczykiem ochrony zwierząt, ubierając się w szaty stróżów moralności i elegancji. Dodatkowo stawiając się wyżej w hierarchii moralnej. Inwektywy, oskarżenia, odżegnywanie od czci i wiary to narzędzia o bardzo wysokiej temperaturze i łatwo jest nimi grać na emocjach. Zwróćmy uwagę, że różnego rodzaju aktywiści i organizacje opierają swoją działalność tylko na tym.

Ściąga się z internetu zdjęcie jakiegoś biednego pieska czy konia, poprawia w AI i zakłada zbiórkę. Można w ten sposób uzyskać naprawdę niezłe pieniądze. Są organizacje, które kradną ludziom zwierzęta pod płaszczykiem ich ochrony, przebierają się w mundury i udają jakiegoś służby. Potem odsprzedają te zwierzęta albo do schronisk, albo do innych ludzi. Albo... do rzeźni. No ale wtedy już jest to rzekomo moralne. Zresztą nikt tego publicznie nie weryfikuje. Poszedł przelew na konia Baśkę i wierzymy, że ktoś się tym koniem faktycznie opiekuje. To żer na dobroci i wrażliwości zwykłego obywatela, który nie jest powiązany żadnymi zależnościami i po prostu działa w ramach zaufania do danej organizacji. Ja polecam jednak weryfikować w rzeczywistości ludzi i miejsca.

Zwierzę umiera, czy zdycha?

Jednak zdycha. Będę się trzymał słownika i tego, co mówią eksperci językoznawcy. Może to oczywiście wywołać silne emocje u kogoś, kto rzeczywiście zżył się ze swoimi zwierzętami domowymi, bo

potrafimy się do nich przywiązać bardzo mocno. Ale tu chodzi o semantykę. Zwierzę można przygarnąć, a nie adoptować. Zwierzęta nie mają zresztą „praw”, ale są przedmiotem prawa. Oczywiście każdy może użyć tych słów, na które się zdecyduje. Jednak warunkiem zawsze jest utrzymanie racjonalnego poglądu na relacje człowiek-zwierzę.

Ale w Polsce jest wielu ludzi, są środowiska, które żądają dla swoich pupilów przynajmniej jakichś podstawowych praw.

Zupełnie nie o zwierzęta chodzi tym środowiskom, tylko o to, żeby mieć prawo do „ich prawa”, czyli zarządzać właśnie całym tym wachlarzem profitów, jakie można z tego tytułu uzyskać.

Bardzo dziękuję za rozmowę.

Rozmawiał Piotr Relich

↩
**WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI**

* * *

Marcin Moźdzzonek – sportowiec, myśliwy, polityk i komentator życia publicznego. Były kapitan reprezentacji Polski w siatkówce, wicemistrz Europy z 2009 r., mistrz świata z 2014 r. Od 2023 r. jest prezesem Naczelnej Rady Łowieckiej. Radny miasta Olsztyn, członek Konfederacji (Nowa Nadzieja)



MYŚLISTWO SŁUŻY LUDZIOM I PRZYRODZIE

– Mowa przeciwników łowiectwa o niszczeniu populacji zwierzyny leśnej przez myśliwych jest po prostu kłamstwem. W rzeczywistości my dbamy o nią jak nikt inny i przywracamy naturze ginące gatunki. Podam przykład z własnego podwórka. Na terenie, na którym polują myśliwi z naszego koła Sokół z siedzibą w Supraślu, a jest to około 20 tys. hektarów puszczy, w ciągu ostatnich trzydziestu lat liczba jeleni wzrosła o 20 procent. Pomimo tego, że rocznie na terytorium naszego koła odstrzeliwanych jest około 100 jeleni. Udało się nam też odtworzyć populację zajęcy, które wytępiły, występujące w nadmiarze lisy – mówi Andrzej Gudalewski, myśliwy Puszczy Knyszyńskiej z 40 letnim stażem

Jak zaczęła się pana przygoda z myślistwem?

Wszystko zaczęło się w dzieciństwie, kiedy mój ojciec, który był myśliwym, zabierał mnie na polowania. Wówczas prawo zezwalało na to. Dziś na polowania można zabierać osoby, które ukończyły 18. rok życia.

Ojciec należał do koła łowieckiego Sokół w Supraślu i polował na terenie Puszczy Knyszyńskiej i jej obrzeżach. Tę piękną puszcę kocham od najmłodszych lat swego życia. Tak jak i myślistwo. Do dziś pamiętam wyjazdy z ojcem na polowania czy to za dnia, czy w nocy. Każdy rodzaj polowania ma swój urok – czy jest to polowanie indywidualne, czy zbiorowe z nagonką lub psami. O każdej porze roku jest inne i pozostawia niezapomniane wrażenia.

Psy myśliwskie to kolejna moja pasja. Powoli wciągnąłem się w myślistwo. Zafascynowałem się też lasem, jego pięknem, jego tajemnicami. Dlatego po ukończeniu szkoły podstawowej wybrałem pięcioletnie Technikum Leśne w Białowieży. Będąc jeszcze jej uczniem wstąpiłem do Polskiego Związku Łowieckiego w 1984, miałem wówczas 18 lat.

Z wykształcenia jest pan leśnikiem. Czy to pomaga w byciu dobrym myśliwym?

Myślę, że bardzo pomaga. Las to przecież terytorium życia dzikiej zwierzyny. Znajomość lasu to również znajomość życia jego mieszkańców.

Po ukończeniu szkoły w Białowieży, zostałem zatrudniony jako leśniczy w Nadleśnictwie Supraśl. W Lasach Państwowych pracowałem dziesięć lat, do roku 1995. W tym czasie „od podszewki” poznałem pożyteczną pracę leśnika, no i wiele godzin dziennie poznawałem las. Kiedy zakończyłem pracę jako leśnik, rozpocząłem prywatną działalność gospodarczą. Ona jest też związana z lasem, bo sprzedajemy i serwisujemy maszyny do wycinki takie jak harvestery i forwardery.

Czy może Pan po krótko wyjaśnić w jaki sposób myśliwi służą polskiemu społeczeństwu?

Przede wszystkim trzeba wiedzieć, że myślistwo jest działem gospodarki leśnej, którego głównym celem jest regulacja populacji zwierzyny w lasach. Gdyby nie było myśliwych wszystkie populacje dzikich zwierząt rosłyby w gwałtownym tempie, co doprowadziłoby do ogromnych szkód, przede wszystkim w rolnictwie. Ludzie też znaleźliby się w niebezpieczeństwie.

Obecnie lasy i zwierzyna nie dałby rady utrzymać samych siebie w normalnym stanie. Bez pomocy człowieka doszłoby do ich degeneracji. Ja często daję taki przykład zaobserwowany na naszym terenie. Chodzi mi o obszar Puszczy Knyszyńskiej niedaleko Supraśla. Jest tam, założony w roku 1990, rezerwat „Krasne”, w którym nie można prowadzić żadnej gospodarki leśnej. Obecnie około 90 procent drzew w tym rezerwacie albo już leży, albo stoi martwych i niedługo padnie. Natomiast 200 metrów dalej zaczyna się las gospodarczy Lasów Państwowych, gdzie powyżej 90 procent drzew jest zdrowych i cieszących oko swoją urodą.

Stojąc pomiędzy zostawioną samą sobie ruina leśną rezerwatu a zdrowym, zadbanym przez człowieka lasem, jasno widać, że w dzisiejszych czasach las bez człowieka ginie. Podobnie jest z działem gospodarki leśnej zwanym myślistwem. Tu bardzo aktualnym przykładem jest nadmiar wilków w naszych lasach. Nie możemy regulować tej populacji, gdyż wilk jest u nas pod ścisłą ochroną.

To daje obecnie taki efekt, że ludzie w wielu miejscowościach w Polsce, szczególnie na terenie województw wschodnich boją się wyjść na ulicę...

To prawda. Populacja wilka w ostatnich latach bardzo mocno wzrosła. Wilk jest drapieżnikiem szczytowym i nie ma żadnych naturalnych wrogów. Aktualnie mocno trzebi jelenie i sarny, a nawet bobry, co staje się groźne.

Wilków jest u nas nadmiar. W naszym województwie podlaskim mocno przyczyniła się do tego zaporą na granicy z Białorusią. Wprawdzie skutecznie powstrzymuje ona nielegalnych imigrantów, ale równie skutecznie m.in. wilki. Wilk jest zwierzęciem, którego terytorium jest ogromne. Aby go dopilnować i upolować jakieś zwierzę, dzień nie potrafi on przebiec nawet 90 kilometrów. Kiedy nie było zapory wilki swobodnie krążyły między Polską a Białorusią. Teraz większość z nich została zamknięta po naszej stronie granicy. One wcześniej, w dużej liczbie, napłynęły do nas od wschodniego sąsiada, gdyż na Białorusi wilk nie jest pod ochroną i wiele ich tam ginie.

Wilki przybywają do nas również z Litwy, gdyż tam się na nie poluje. Obecnie szacuje się, że populacja wilka w Polsce sięga już 8 tysięcy sztuk. To bardzo dużo. Dla porównania w Szwecji, której powierzchnia jest podobna do powierzchni Polski, jest obecnie około 500 wilków. Do tego szwedzki rząd w ubiegłym sezonie, obawiając się szybko rosnącej populacji wilka, pozwolił myśliwym na odstrzał 94 sztuk. U nas jest całkowita ochrona wilka, a za jego zabicie grozi 5 lat więzienia.

A tymczasem – obecnie trwa odstraszenie wilka z okolic kilku miejscowości położonych blisko Białegostoku, na skraju Puszczy

Knyszyńskiej – takich jak Wasilków, Dąbrówki i Studzianki. Przeprowadza się tę akcję po wielu skargach mieszkańców, którzy boją się spacerować z psami, bo wilki na nie polują. Okazuje się, że psie mięso to dla nich rarytas. O okolicach Puszczy Białowieskiej nie ma już wolno biegających psów – wszystkie je pożarły wilki.

Członkowie organizacji ekologicznych, często międzynarodowych, wypowiadając się w mediach, przedstawiają społeczeństwu myśliwych jako „terminatorów” dziko żyjących zwierząt. Jak by pan to skomentował?

Mowa przeciwników łowiectwa o niszczeniu populacji zwierzyny leśnej przez myśliwych jest po prostu kłamstwem. W rzeczywistości my dbamy o nią jak nikt inny i przywracamy naturze ginące gatunki. Podam przykład z własnego podwórka. Na terenie, na którym polują myśliwi z naszego koła Sokół z siedzibą w Supraślu, a jest to około 20 tys. hektarów puszczy, w ciągu ostatnich trzydziestu lat liczba jeleni wzrosła o 20 procent. Pomimo tego, że rocznie na terytorium naszego koła odstrzeliwanych jest około 100 jeleni. Udało się nam też odtworzyć populację zajęcy, które wytępiły, występujące w nadmiarze lisy.

Skutecznie tępi my kłusowników, którzy dla zwierzyny są prawdziwymi terminatorami. Jeszcze kilkanaście lat temu w każdej wsi, położonej w lesie lub blisko lasu, było co najmniej kilku kłusowników. Obecnie zdarzają się jedynie pojedyncze przypadki.

Ostrą zimą dokarmiamy zwierzynę leśną, rozwożąc do paśników siano czy buraki. Kiedy widzimy, że populacja jakiegoś zwierzęcia niebezpiecznie się zmniejsza to odstępujemy od odstrzału. Na naszym terenie odstąpiliśmy od odstrzału sarny, bo za sprawą wilka jest jej mało.

Zwierzynę trzeba też współcześnie choroby zakaźne...

U nas wszystkie króliki wybiła choroba zakaźna myksomatoza. Ogólnie w Polsce przez tę chorobę niewiele jest stanowisk, w których występują króliki. Polski Związek Łowiecki czyni już starania, aby te populacje odnowić. Od kilku ładnych lat dziki trzebi ASF. Tych chorób

wcześniej w Polsce nie było. ASF przywleczono gdzieś z Afryki. Myśliwi mają tu ważne zadanie prowadzenia odstrzału sanitarnego, aby rozrzedzić populację dzika, aby ten wirus nie był tak gwałtownie przenoszony. W dużej mierze udało się nam to zrobić. Choć zdarzają się jeszcze dziki z ASF.

Dlaczego w ostatnich latach populacje zwierząt leśnych tak szybko rosną?

Na pewno pomagają w tym uprawy kukurydzy na dużych arealach rolnych. Kukurydza, odkąd zaczęto ją w Polsce tak masowo uprawiać, stała się ulubionym i łatwo dostępnym pokarmem m.in. jeleni, saren, dzików, żubrów, a nawet borsuków. Kukurydza jest modyfikowana genetycznie, dlatego np. lochy dzików mają pierwszy miot już w wieku jednego roku, dawniej pierwszy miot miała locha dwuletnia. Dlatego właśnie te populacje szybko rosną w liczbę.

Jak wiele jest obecnie dzików, to widzą nawet mieszkańcy miast, ulicami których dziki spacerują. Często swoją obecnością w miastach wywołują popłoch. Faktycznie locha z małymi może być niebezpieczna. My nie mamy prawa odstrzału na terenie miast i w jego okolicach.

Czy mamy w Polsce gatunki inwazyjne?

Niestety mamy. Szczególnie na zachodzie Polski, gdzie bardzo szybko rośnie populacja szopa pracza. Mało kto zdaje sobie z tego sprawę, że myśliwi odstrzelili już rocznie dziesiątki tysięcy sztuk szopa pracza, a jego populacja i tak szybko rośnie. On potrafi wejść do każdej piwnicy i wyjść z niej co się da.

Szopy lubią grasować po śmietnikach, demolując je często na całej ulicy. Najgorsze jednak co robi szop, to niszczy lęgi naszego rodzimego ptactwa. Szczególnie sprawnie mu to idzie na terenie rezerwatów, gdzie my nie możemy na niego polować. Tam potrafi wyniszczyć całe lęgi np. gęsi gęgawy oraz innych ptaków. Pustoszy nawet gniazda ptaków na drzewach, czy w budkach lęgowych, gdyż doskonale wspina się po drzewach.

Niebezpiecznym szkodnikiem inwazyjnym jest też norka amerykańska, która przetrzebiła naszego piżmaka.

Jak duże szkody wyrządzają nadmiarowe populacje zwierzyny?

Dzikie zwierzęta, których jest nadmiar czynią duże szkody w rolnictwie. My wypłacamy rolnikom odszkodowania za szkody poczynione m.in. przez dziki. Jeżeli populacja jest za duża zwierzyna niszczy też las. Łosie w ciągu jednej nocy potrafią zniszczyć dużą uprawę 10 letniego lasu. Duże szkody w lesie potrafią też uczynić jelenie, za te szkody Lasom Państwowym, płacą myśliwi. Z powodu tych zniszczeń LP w ostatnich latach grodzi metalową siatką wiele upraw lasu. Jest to bardzo drogie zabezpieczenie upraw leśnych, ale też bardzo skuteczne.

Regularnie pojawiają się próby zastąpienie Polskiego Związku Łowieckiego państwowym urzędem. Jaka jest pana opinia na ten temat?

Swego czasu była już próba scedowania obowiązku szacowania szkód rolnych wyrządzonych przez zwierzynę łowną, z myśliwych na urzędników gminnych. Skończyło się to totalną porażką. I wszystkie kolejne podobne próby, miałyby taki sam finał.

W Polsce jest około 130 tysięcy myśliwych. W tych propozycjach, o których pan mówi, myśliwych mieliby zastąpić urzędnicy straży łowieckiej. Jaką więc masę ludzi trzeba by przeszkolić, dać im pozwolenie na broń i wyposażyć w sprzęt. Państwo musiałoby zakupić dla jednego strażnika leśnego sprzęt za co najmniej 100 tys. zł. Każdy z myśliwych tyle wydaje na sprzęt. Po przeliczeniu, wychodzą jakieś dziesiątki miliardów złotych. Czy nasz skarb państwa stać na taki eksperyment?

Dziękuję za rozmowę

Rozmawiał Adam Białous


**WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI**

ŚWIĘTY FRANCISZEK NIE BYŁ PROPAGATOREM EKOLOGII

Przejdźmy teraz do nowszego wypaczenia postaci Serafickiego Patriarchy. Wyolbrzymiając jego znaną miłość dla stworzeń, Franciszek jest nam przedstawiany jako prorok współczesnej ekologii oddany „ochronie stworzenia”, a nawet jako wegetarianin i „obrońca praw zwierząt”, jak przedstawiają nam go organizacje sprzeciwiające się polowaniom i eksperymentom na zwierzętach¹. Niektórzy odmalowują go wręcz jako rodzaj naturysty, czyli kogoś, kto odrzucając dobra materialne, rezygnuje również ze wszystkich „udogodnień” cywilizacji, łącznie z ubraniami: i oto widzimy go przeobrażonego na naszych oczach w hippisa, w zwolennika neotrybalizmu, a może nawet nudystę. Słowem, „ta miłość dla stworzeń otworzyła drzwi licznej literaturze i ikonografii fałszującej wizerunek tego, który «miał ogień seraficki w łonie»”².

A przecież mistycyzm świętego Franciszka nie zawiera nic, co mogłoby potwierdzać tę przewrotną idolatrię natury, typową dla kogoś, kto czci Gaję zamiast Boga. Przeciwnie, święty uważał ziemię za miejsce tymczasowe, miejsce wygnania i próby, konieczny przystanek na drodze do prawdziwej niebieskiej ojczyzny. Od chwili swojego nawrócenia, „piękno pól i rozkoszny czar winnic i wszystko, co raduje oczy, zupełnie go nie ucieszyło. Przeto dziwił się nagłej swej zmianie i doszedł do wniosku, że bardzo głupi są amatorzy tych rzeczy”³.

1 Por. np. M. De Marzi, *L'ecologia e san Francesco d'Assisi*, Torino 1979; A. Marini, *Sorores alaudae. Francesco d'Assisi, il creato e gli animali*, Assisi 1989; M. Carreira das Neves, dz. cyt.; E. Doyle, *Francesco e il Cantico delle Creature*, Assisi 1989; J. A. Merino, *Francisco de Asis y la ecologia*, Madrid 2008; G. Polidoro, *Francesco di Assisi*, Assisi 1998; N. Fabbretti, *Francesco il fratello di tutti*, Roma 1979.

2 M. Bigaroni, *San Francesco d'Assisi dagli scritti dei suoi compagni*, Assisi 1987, s. 129.

3 Bł. Tomasz z Celano, *Życiorys pierwszy...*, 3, 4, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 445.

Obiekt jego miłości był dużo bardziej wzniosły – był nim sam Bóg: „Nie miejmy więc innych tęsknot, innych pragnień, innych przyjemności i radości oprócz Stwórcy i Odkupiciela, i Zbawiciela naszego, jedynego prawdziwego Boga, który jest pełnią dobra, wszelkim dobrem, który sam jeden jest dobry”⁴.

Wysławiając Serafickiego Patriarchę, Pius XI tak nas nauczał: „Będąc heroldem wielkiego Króla, Franciszek pragnął, aby ludzie żyli zgodnie z ewangeliczną świętością i miłością Krzyża, a nie żeby się przekształcali w przesłodzonych miłośników kwiatków, ptaszków, baranków, rybek czy zajączków. Wykazywał pewnego rodzaju czułą tkliwość względem stworzeń [...], lecz skłaniała go do tego wyłącznie miłość do Boga, który jest wspólnym początkiem wszystkiego, i w nich kontemlował Bożą dobroć”⁵.

Jeśli więc święty kontemlował często naturę, to czynił to tylko po to, aby wielbić Boga: „W każdym tworze podziwiał Mistrza, a wszystkie zdarzenia odnosił do Sprawcy. [...] W pięknych rzeczach poznawał Najpiękniejszego”⁶. Jeśli wzywał ludzi do poszanowania stworzeń, to czynił to tylko z szacunku dla ich Stworzyciela. „Błogosławiony Franciszek cały pogrążony w miłości Boga, doskonale rozpoznawał dobroć Bożą nie tylko w swojej duszy, ozdobionej już doskonałością wszystkich cnót, lecz również w jakimkolwiek stworzeniu. Dlatego też żywił szczególną i głęboką miłość do tych zwłaszcza stworzeń, w których dostrzegał coś z Boga”⁷.

Mamy tu do czynienia z wrodzonym, nadprzyrodzonym zjawiskiem nazywanym przez teologów kointuicją, za pomocą której Stworzyciel

4 Św. Franciszek z Asyżu, *Reguła niezatwierdzona*, 23, 9, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 122.

5 Pius XI, *Rite expiatis*, §16.

6 Bł. Tomasz z Celano, *Życiorys drugi...*, 165, 3 i 5, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 686.

7 *Zwierciadło doskonałości. Redakcja większa*, 113, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 1911.

W swoim *Lauda LXXXII* Jakub z Todi wskazuje w pięciu zmysłach naturalne drogi dotarcia do poznania Boga (por. Jacopone da Todi, dz. cyt., s. 281).

pozwała mistykowi pojąć i kontemplować ideę stworzenia oraz Boską doskonałość odbite w stworzeniach, w ich naturze i działaniu⁸. Taka forma mistyki prowadzi z jednej strony do dostrzeżenia miłości Boga do Jego stworzeń, a z drugiej do pewnego rodzaju przenikania się i poufałości z nimi, aby w ich imieniu wyrażać chwałę i wdzięczność Stworzycielowi, jak czytamy w Psalmie Dawidowym: „Pan jest dobry dla wszystkich i Jego miłosierdzie ogarnia wszystkie Jego dzieła. Niechaj Cię wielbią, Panie, wszystkie dzieła Twoje i święci Twoi niech Cię błogosławią!” (Ps 145, 9–10).

Ta osmoza pomiędzy człowiekiem a kosmosem stała się możliwa właśnie dlatego, że duchowość chrześcijańska poprzez rygorystyczną, pokutną ascezę odkupiła już winę bałwochwalstwa natury, która mrocznie zdominowała epoki pogańskie i uwolniła sam kosmos od panteistycznego ducha adoracji natury. W tym sensie można powiedzieć, że „święty Franciszek nie był miłośnikiem przyrody [...]. Ta nazwa zawiera w sobie przyjmowanie świata materialnego za mgliste otoczenie w sensie jakiegoś sentymentalnego panteizmu [...]. Jako mistyk zaś był śmiertelnym wrogiem wszystkich tych mistyków, którzy zacierają kontury przedmiotów i roztapiają wszelką istotę w otoczeniu. [...] Był prawdziwym przeciwieństwem takiego wizjonera wschodniego, który tylko dlatego jest mistykiem, że jest zbyt wielkim sceptykiem, aby być materialistą”⁹.

Również badacze Franciszka-poety zauważyli, że nawet w *Pieśni słonecznej* „dokonuje on nieustannego przejścia z Nieba na ziemię [...] zgodnie z uniwersalnym pojednaniem, lecz jednocześnie bez jakiegokolwiek ideału w rodzaju panteizmu [...]. Skoro Bóg jest najwyższym pięknem, elementy jego stworzenia muszą być widziane przede wszystkim czy nawet wyłącznie jako cień Boskiej wspaniałości, w ich podobieństwie do najwyższego piękna”¹⁰.

8 Por. E. Longpré, dz. cyt., s. 185–186, gdzie streszczona jest doktryna św. Bonawentury.

9 G. K. Chesterton, *Święty Franciszek z Asyżu*, dz. cyt., s. 55–56.

10 G. Petrocchi, „*La letteratura religiosa*”, [w:] Cecchi Emilio e Sapegno Natalino (red.), *Storia della letteratura italiana*, Milano 2005, vol. I (Le origini e il Duecento), s. 538.

Słowem, „ten franciszkański sposób widzenia w przedmiotach nie-kończoności piękna, a w każdym stworzeniu śladu Boga, bynajmniej nie zapowiada immanentyzmu [...], lecz łączy się bezpośrednio z egzemplaryzmem i pośrednio z ideą Chrystusa Pośrednika i Króla [...]. Wraz z ideą chrystocentryczną święty Franciszek łączy w rzeczywistości naturalnej i historycznej dwie tajemnice Stworzenia i Wciele-
nia. Wszystkim rzeczom oddaje ich pierwotną godność, a we wszystkich wydarzeniach dostrzega ich zasadniczą dobroć, wiedząc, że są one przeznaczone na triumf Chrystusa”¹¹.

W duchowości serafickiego świętego „Bóg chce przemawiać do wszystkich za jego pośrednictwem, do każdej żywej istoty, a on sam czuje, że musi rozmawiać z Bogiem w imieniu wszystkich ludzi, a nawet wszystkich stworzeń [...]. We Franciszku instynktownie skupia się całe stworzenie i całe ludzkie życie, a on staje się przez to głosem świata w wielbieniu Boga [...]. Tutaj człowiek jest naprawdę królem stworzenia; istoty stworzone są dane na służbę człowiekowi; [...] skoro Bóg jest wielbiony wraz ze wszystkimi swoimi stworzeniami, to jest też wielbiony za dar każdego stworzenia złożony człowiekowi [...]. To grzech człowieka podzielił i przeciwstawił Boga i stworzenie; lecz ten, kto żyje w Bogu, odnajduje stworzenie; w Bogu staje się on panem świata [...]. Błogosławieństwo franciszkańskie jest błogosławieństwem, które oddaje człowiekowi jego prymitywną niewinność i czyni go naprawdę królem całego stworzenia”¹².

Franciszek uważał zwierzęta, rośliny i minerały nie za idoli, lecz zwyczajnie za stworzenia, które swoim pięknem oraz naturalną i nadprzyrodzoną symboliką mogą nas z łatwością ukierunkować na poznanie i miłość Bożą w Chrystusie. W istocie, „wszystko to, co zawierało jakieś alegoryczne podobieństwo do Syna Bożego, przyjmował bardzo mile i widział bardzo chętnie”¹³.

11 A. Gemelli, *Il francescanesimo*, dz. cyt., s. 453.

12 D. Barsotti, dz. cyt., s. 26, 86–87, 185 i 330.

13 Bł. Tomasz z Celano, *Życiorys pierwszy...*, 77, 3, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 495.

Na przykład tkliwość, jaką święty odczuwał na widok baranków, wynikała z faktu, że przypominały mu one symbolicznie „o tym najcichszym Baranku, który chciał być prowadzony na zabicie dla odkupienia grzeszników”¹⁴. Jego troska o uwolnienie ptaków uwięzionych w pułapkach rodziła się z faktu, że przypominały mu one „ptaki tak łagodne, które pismo przyrównywa duszom czystym, pokornym i wiernym”, które pozostają wpłątane w pułapki demona¹⁵. Możemy więc zrozumieć głęboką przyczynę powstania *Pieśni słonecznej*¹⁶, poematu równie słynnego, jak i źle rozumianego. Jego intencją nie było promowanie bałwochwalczej czci dla „matki natury” ani anulowanie ludzkiej wyższości w pewnego rodzaju egalitarnym „kosmicznym erotyzmie”, lecz zwyczajnie potwierdzenie dobroci, będącej istotą ziemskich istot jako stworzeń, czyli jako dzieła Bożego. Są one wielbione jako „teofania”, czyli akt objawienia się Boga, w którym stanowiąca istotę rzeczy sakramentalność przejawia Bożą dobroć i pozwala człowiekowi kontemplować w ich stworzonym pięknie Piękno przedwieczne. Podobnie zauważył święty Jan od Krzyża, pisząc, że „w różnorodności stworzeń i we wszystkich dziełach Bożych” dusza widzi „muzykę ciszą przepojoną”, „akordy najcudowniejszej muzyki, która przewyższa wszystkie dźwięki i melodie świata”¹⁷.

W tym sensie *Pieśń słoneczna* w zarodku obaliła i potępiła sprowadzanie natury do przestrzeni sprawowania ludzkiej woli władania, która doprowadziła do obecnego kryzysu ekologicznego i do strachu o zemstę natury przeciwko człowiekowi. Idea ta powstała w XVII wieku wraz ze „zwrotem antropocentrycznym”, któremu sprzyjał

14 Św. Bonawentura z Bagnoregio, *Życiorys większy...*, VIII, 6, 3, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 903. Por. komentarz św. Alfonsa Marii de' Liguori w *Meditazioni sulla Passione*, s. 83.

15 *Kwiatki św. Franciszka*, 22, dz. cyt., s. 56.

16 Opowieść o powstaniu *Pieśni* – por. *Zbiór asycki*, 83–84, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 1610–1615.

17 Por. Św. Jan od Krzyża, *Pieśń duchowa*, strofa XIV, 25, tłum. B. Smyrak, Poznań 2000, s. 140.

kartezjański racjonalizm i galileuszowski scjentyzm¹⁸. Wychwala-
jąc przyrodę jako Boski twór, święty Franciszek pragnął sprzeciwić
się fałszywemu i ponuremu ascetyzmowi pewnych grup heretyc-
kich swoich czasów, zwłaszcza katarów i albigensów, którzy gardzili
światem materialnym, uważając go za siedzibę zła, jako stworzonego
przez złego boga. Odżegnywali się od wszystkiego, co – tak jak pro-
kreacja – podtrzymuje to materialne życie, rozumiane jako zło, które
należy zniszczyć¹⁹. Zresztą interpretowanie *Pieśni słonecznej* jako po-
chwały nie tyle Boga, co stworzeń, byłoby niczym uznanie biblijnej
Pieśni nad Pieśniami nie za celebrację zaślubin duszy z Bogiem, lecz za
opowieść erotyczną, albo też potraktowanie *Drogi na Górę Karmel* św.
Jana od Krzyża nie jako opisu ascetycznej drogi do doskonałości, lecz
jako przewodnika górskich wycieczek!

Również miłośnicy zwierząt nie mogą przywłaszczyć sobie Serafic-
kiego Patriarchy jako swojego patrona, tak jakby był hinduistą uwa-
żającym zwierzęta za święte i nietykalne. Prawdą jest, według niego,
że człowiek jest „poddany i uległy wszystkim ludziom, i nie tylko sa-
mym ludziom, lecz także dzikim i okrutnym zwierzętom, aby mogły
z nim czynić, co zechcą, na ile im Pan z wysoka pozwoli”²⁰; należy
to jednak rozumieć w ascetycznym i mistycznym sensie absolutnego,
wiernego poddania się okolicznościom i czynnikom przewidzianym
przez Bożą Opatrzność, łącznie ze zwierzętami. Seraficki święty da-
leki był od uznawania zwierząt za równe sobie i zwykły był sprawować
nad nimi swoją władzę. Nie ograniczał się do przemawiania do nich,
lecz rozkazywał im jako pan i władca, a one mu służyły, przewidu-
jąc jego żądania²¹. Wydawało się, jakby dzięki nadprzyrodzonej mocy
odzyskał panowanie nad stworzeniami, które nasi pierwsi rodzice

18 Por. V. C. Bigi, *Il Cantico delle Creature di Francesco d'Assisi*, Assisi 2008, s. 32–33 i 87–88.

W tym sensie Jan Paweł II proklamował św. Franciszka „patronem ekologów” (por. Jan
Paweł II, bulla z 29 listopada 1979).

19 Por. R. Manselli, *Francesco d'Assisi*, Roma 1980, s. 317–318.

20 Św. Franciszek z Asyżu, *Pozdrowienie cnót*, 16-[w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 333.

21 Św. Bonawentura z Bagnoregio, *Życiorys mniejszy*, 3, 6, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt.,
s. 1028.

posiadali w ziemskim raju przed popełnieniem grzechu pierworodnego, aby móc zrealizować uniwersalne pojednanie pomiędzy człowiekiem a zwierzętami, przywracając wszystko do pierwotnej harmonii²².

Pobożność św. Franciszka miała „tak przedziwną słodycz i moc, że ujarzmiła dzikie zwierzęta, leśne obłaskawiła, a łagodne pouczyła. Wrogą wobec upadłego człowieka naturę zwierząt nakłoniła do okazywania mu posłuszeństwa”²³.

Słynne wydarzenie związane z tą kwestią dotyczy jaskółek, którym Franciszek rozkazał milczeć, tak aby mógł przemawiać do wiernych w Rimini. Rozszczebiotane ptaki natychmiast usłuchały świętego²⁴. Jeszcze bardziej znane jest wydarzenie związane z wilkiem z Gubbio, który został skarcony przez świętego za to, że jest chciwym i brutalnym drapieżnikiem godnym „stryczka, jako złodziej i zabójca najgorszy”. Później, widząc wyraźny i szczery żal zwierzęcia, święty mu wybaczył²⁵.

Miłośnicy zwierząt powinni być raczej dotknięci faktem, że święty Franciszek uciekał się czasem do przykładów bądź zachowań mało schlebających czy czułych wobec zwierząt. Przede wszystkim uważał, że zwierzęta z natury są przeznaczone do tego, aby służyć korzyści człowieka. Na przykład wzywając chrześcijanina do ujarzmienia zbuntowanego „brata ciała” przez fizyczne karcenie, zachęcał, by „go chłostać jak złe i leniwe zwierzę, co chciałoby tylko żreć, a nie chciałoby być użyteczne i nosić ciężarów”²⁶.

22 Tamże; por. I. Felder, *L'ideale di san Francesco d'Assisi*, Firenze 1944, t. II, s. 287–310.

23 Św. Bonawentura z Bagnoregio, *Życiorys większy*, VIII, 11, 9, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 908.

24 Por. Bł. Tomasz z Celano, *Życiorys pierwszy św. Franciszka*, 59,4, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 484–485.

25 Por. *Kwiatki św. Franciszka*, 21, dz. cyt., s. 54.

26 *Zwierciadło doskonałości. Redakcja większa*, 97, 5, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 1668.

Święty miał też zwyczaj ganić ludzi oddających się światowym uciechom bądź przewrotnych nazywając ich „animales homines” (zwierzęcymi ludźmi)²⁷, porównując ich do zwierząt, czyli do istot, które „nie potrafią zrozumieć spraw Bożych”²⁸, jak mawiał, cytując św. Pawła Apostoła. Franciszek potrafił nie tylko błogosławić zwierzęta, ale również je przeklinać. Pewnego razu zauważywszy, że jeden z trzech rudzików, które hodował, „choć najadł się do woli, innych odpędzał od jedzenia”, przeklął chuligana, sprawiając, że ten natychmiast zdechł: „Nie znalazł się ani kot, ani inne zwierzę, co by śmiało tknąć go, jako że został wyklęty przez Świętego”²⁹. Innym razem widząc, że maciora napadła i zagryzła jagniątko, przeklął ją, tak że „szkodliwa świnka natychmiast zaczęła chorować i przez trzy dni cierpieła karę i w końcu zdechła”³⁰.

Najwyraźniej te przykładowe gesty miały za zadanie symboliczne przedstawienie kary Bożej, która uderza w tych, którzy dominują nad słabszymi lub czyhają na niewinność prostaczków. Jak by nie było, czyny te wykluczają cześć dla zwierząt czy też zrównanie ich z ludźmi, co często przypisuje się Serafickiemu Patriarsze.

Co się tyczy domniemanego wegetarianizmu świętego, liczne zabawne wydarzenia świadczą o wręcz czymś przeciwnym. Bart Ginepro na przykład opisuje nam Franciszka, który chcąc pożywić chorego brata wieprzowym mięsem, pouczał swoich towarzyszy, że „świnie zostały stworzone do użytku przez człowieka”³¹. W innej anegdocie seraficki

27 Por. Św. Bonawentura z Bagnoregio, *Życiorys większy*, VII, 3, 8, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 891.

28 Św. Franciszek z Asyżu, *Lettera settima*.

29 Bł. Tomasz z Celano, *Życiorys drugi św. Franciszka*, 47, 11 i 15, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 597.

30 Św. Bonawentura z Bagnoregio, *Życiorys większy*, VIII, 6,8, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 904.

31 J. Jørgensen, dz. cyt., s. 121.

święty cytując jedno z zaleceń ze swojej *Reguły niezatwierdzonej*³², zachęca uczniów, aby żywili się mięsem otrzymywanym w jałmużnie i radośnie wykrzykuje: „Jak mówi Ewangelia, jedzmy do woli wszelki pokarm, jaki jest nam podawany!”³³.

Zwykł był też umilać święta Bożego Narodzenia obiadem na bazie mięsa i usprawiedliwiał się, mówiąc obrazowo: „Kiedy nadchodzi Boże Narodzenie, nie ma postu, który by obowiązywał! A gdyby mury mogły jeść mięso, trzeba by je dać na posiłek również i im!”³⁴.

Słowem, nie tylko św. Franciszek nigdy nie potępił spożywania mięsa, polowania ani wykorzystywania zwierząt dla ludzkiej korzyści, ale twierdził wręcz, że człowiek ma pełne prawo do korzystania z dzieła stworzenia, opierając się na prostym fakcie, że zwierzęta, rośliny i minerały zostały stworzone przez Bożą Opatrzność na korzyść władcy kosmosu: „Wszelkie bowiem stworzenie mówi i woła: «Bóg stworzył mnie dla ciebie, człowieku!»”³⁵.

Takie podejście Serafickiego Ojca stanowiło polemikę z heretykami, którzy potępiali wszelkie wykorzystanie zwierząt przez człowieka i odmawiali pożywania się wszystkim tym, co rodzi się ze stosunku płciowego, czy to dlatego, że uważali to za nieczyste, a więc skażone, czy też przeciwnie – bo uważali je za czyste, a więc nietykalne³⁶.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

* * *

Powyższy tekst pochodzi z książki: Guido Vignelli, Święty Franciszek odkłamywany, Stowarzyszenie Ks. Piotra Skargi, Kraków 2016

32 „I wolno im według Ewangelii jeść wszystkie potrawy, jakie im podadzą” (por. Łk 10, 8)
(*Reguła niezatwierdzona*, 3, 13, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 101).

33 Giordano da Giano, *Cronica*, 12, Milano 1972; por. J. Jørgensen, dz. cyt., s. 213.

34 J. Jørgensen, dz. cyt., s. 263.

35 *Zwierciadło doskonałości. Redakcja większa*, 118,9, [w:] *Źródła franciszkańskie*, dz. cyt., s. 1916.

36 Por. F. Cardini, dz. cyt., s. 236–237.

NIEZBYT RADOSNE „WITAJ SZKOŁO”. JAK DŁUGO POZOSTANIEMY POLAKAMI?

To były pracowite wakacje, bo i resort edukacji w swoich planach urządzania „po swojemu” systemu edukacji kontynuował swój rewolucyjny marsz. Edukacja zdrowotna, reforma „Kompas Jutra” niestety wciąż pozostają zmartwieniem rodziców o to jak kształcone będą ich dzieci. Trzeba trzymać rękę na pulsie i pilnować szkoły. I to czynimy. Ale są i dobre wieści. Z ogromną radością możemy bowiem ogłosić, że dzięki wsparciu Darczyńców, film „Gietrzwałd. Bądźcie Polakami” został ukończony i trafił już do osób, które pomogły nam w jego realizacji oraz wypromowaniu!

Film opowiada nie tylko o objawieniach Matki Bożej w Gietrzwałdzie z 1877 roku, ale ukazuje ich aktualność w odniesieniu do nas samych. Bo przecież kiedy patrzymy na czasy współczesne, to nie mamy żadnych wątpliwości, że odnowa moralna, umocnienie wiary czy walka z naszymi osobistymi ułomnościami prowadzącymi do grzechu jest – jak wówczas – niezbędna. I tak jak nasi przodkowie musimy walczyć o przetrwanie wiary i tożsamości narodowej. Czego dziś od nas oczekuje Matka Boża? Zachęcamy do sięgnięcia po film!

Obecnie, również za sprawą Państwa dobroci, ruszyliśmy z pokazami filmu po całej Polsce. Projekcje, jak chociażby ta w Krakowie, to okazja do spotkania się z Twórcami filmu i dyskusji wokół przesłania jakie do Polaków niemal 150 lat temu skierowała Panna Maryja. W Krakowie na spotkaniu z Widzami obecny był reżyser – Krystian Kratiuk, oraz zaproszeni do filmu eksperci – Grzegorz Górny i Arkadiusz Stelmach.

Aby ułatwić Państwu zaplanowanie udziału w pokazie filmu, stworzyliśmy specjalną stronę z wykazem wydarzeń: <https://gietrzwald-film.pch24.tv/pokazy/>

Za jej pośrednictwem można nie tylko wesprzeć organizację kolejnych spotkań i uzyskać przedpremierowy dostęp do filmu, ale także zgłosić chęć zorganizowania pokazu w swojej miejscowości. Zachęcamy także do takiej aktywności.

SZKOŁA NA LEWACKIM CELOWNIKU

Po objęciu resortu edukacji przez Barbarę Nowacką, szkoła stała się polem ideologicznej bitwy – edukacja zdrowotna i zaszyta w niej seksualizacja wzbudziła sprzeciw rodziców i ekspertów oświatowych.

Jako Stowarzyszenie im. Ks. Piotra Skargi, które jest członkiem Koalicji na Rzecz Ocalenia Polskiej Szkoły (KROPS), prowadzimy ogólnopolskie działania informacyjne i ostrzegawcze, które docierają do setek tysięcy rodzin.

U progu roku szkolnego za pośrednictwem strony <https://akcja.chronimyuczniow.pl/> udostępniliśmy wzór Oświadczenia Rodzicielskiego w sprawie rezygnacji z przedmiotu edukacja zdrowotna – zdrowie seksualne oraz treści wychowawczych na innych zajęciach.

Palącym problemem jest forsowana przez MEN Reforma26. Kompas Jutra, która pod pozorem „unowocześnienia” edukacji kryje obniżenie wymagań i dalszą tęczową ideologizację programu nauczania.

Dlatego też ruszyliśmy z akcją informacyjną – także za pośrednictwem billboardów. Chcemy dotrzeć z informacją do wszystkich, których reforma dotknie i ostrzec przed jej konsekwencjami. Ale też zmotywować Polaków do działania w obronie bezpiecznej edukacji. Więcej o tej inicjatywie można dowiedzieć się na stronie: <https://akcja.wobroniepolskieszkoły.pl/>

FORMOWAĆ WIARĘ

W czasach postępującego sekularyzmu, niepewności dostrzegliśmy potrzebę przypomnienia o podstawach naszej wiary. Tak oto PCh24 TV rozpoczęło prace nad serią eksperckich filmów traktujących

o sakramentach Kościoła – siedmiu znakach Bożej łaski, które są duchowym i moralnym przewodnikiem dla każdego chrześcijanina.

Seria składać się będzie z ośmiu odcinków – prolog i siedem filmów poświęconych omówieniu każdego z sakramentów. Oddajemy w nich głos ekspertom, ale i pokazujemy świadectwa ludzi, którzy zechcieli podzielić się swoim doświadczeniem. Ludzi, których życie sakramentalne zmieniło perspektywę, odmieniło ich.

Projekt, którego premierę planujemy jeszcze w roku 2026, można wesprzeć za pośrednictwem strony <https://sakramenty.pch24.tv/>

To bardzo wanny projekt. Bo przecież od 1 września 2026 roku w polskich szkołach zostały okrojone lekcje religii. Chcemy, poprzez te filmy, wesprzeć uczniów, katechetów, rodziców. Uważamy, że taki rzetelny materiał formacyjny, jest w dzisiejszej sytuacji niezbędny. Seria powstaje we współpracy z portalem katechetycznym CREDO <https://credo.niewstydziesiejesusa.pl/>

KWARTALNIK? SĄ KOLEJNE WYDANIA KSIĄŻKOWE!

Kiedy postanowiliśmy dla Państwa przygotować pierwszy numer Kwartalnika PCh24.pl, nie wiedzieliśmy jak zostanie on odebrany. Okazało się, że elektroniczna forma tej publikacji cieszyła się ogromnym zainteresowaniem – za co ogromnie dziękujemy. To zaowocowało kolejnym krokiem, a za sprawą Instytutu Studiów Doktrynalnych kolejne numery Kwartalnika trafiają do druku i w takiej formie trafiają do Czytelników!

Wykaz przygotowanych już numerów naszego pisma w wersji drukowanej jest aktualizowany na stronie Instytutu <https://studiadoktrynalne.pl/> – tam też można zamówić Kwartalnik.

Już teraz dostępne są pierwsze trzy numery pisma, a niebawem dołączą do nich książkowa wersja czwartego tomu!

„POLONIA CHRISTIANA” CZYLI TRADYCJA, RODZINA, WŁASNOŚĆ

Kiedy rozpoczynały się wakacje, do rąk Czytelników trafił III numer dwumiesięcznika „Polonia Christiana” opowiadający o pięknie naszego kraju „Polska jest najpiękniejsza!”. Okres urlopowy już za nami, a na wrzesień i październik redakcja pisma przygotowała nowy numer „Demokracja to dekoracja”. Pismo można zamówić za pośrednictwem strony <https://poloniachristiana.pl/>

„PCh” tym razem poddaje krytycznej analizie jeden z najważniejszych dogmatów współczesnego świata – przekonanie o demokracji jako najlepszym i niemal bezalternatywnym ustroju. Ale czy tak jest rzeczywiście? Autorzy zaproszeni na łamy magazynu przyglądają się słabościom demokracji, roli opinii publicznej i mediów, postępującej technokratyzacji oraz coraz większemu rozdźwiękowi między deklarowanym zwierzchnictwem narodu a faktycznym funkcjonowaniem współczesnych systemów politycznych. I stawiają pytanie – czy obserwowany dziś kryzys demokracji jest chwilowym zachwianiem, czy oznaką wyczerpywania się całego modelu?

NIC BEZ WAS!

Koła Rewolucji toczą się, a jej siły nabierają pewności. Naszym zadaniem jest stawianie opory, demaskowanie prawdziwych celów ferowanych nam zmian, które rzekomo mają nam ułatwiać życie. Nie możemy ustawać w walce o Prawdę, Dobro i Piękno. Nie możemy ustawać w trosce o Kościół i naszą wiarę. Wszak ostatecznie chodzi tu o zbawienie duszy!

Jako PCh24.pl, jako Stowarzyszenie im. Ks. Piotra Skargi nie ustajemy w budzeniu sumień Polaków. A możemy to czynić skutecznie i na wielu polach dzięki Państwa zaangażowaniu wsparciu: <https://wes-przyj-rozwoj.pch24.pl/>

Serdecznie dziękujemy, że jesteście z nami!

↶
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

JEŚLI PRZEGAPIŁEŚ NA PCH24.PL...

WYBRANE PUBLIKACJE



PIES – ZŁOTY CIELEC LIBERALNEGO SPOŁECZEŃSTWA

Wielu z nas spotkało się zapewne z pojęciem „psiecka”. Psiecko to nic innego jak pies, którego się „uczłowiecza” i traktuje jak prawdziwe dziecko, ażeby załatać nim pustkę wynikającą z nieposiadania potomstwa – często umyślnego. „Psiecko” to koncept zrodzony w liberalnych mediach, który stanowi groteskowy i dość skrajny przykład realnego społecznego zjawiska, które w Polsce wydaje się przybierać szczególne rozmiary – psiej obsesji.

W pierwszej kolejności wskazać należy, iż samo posiadanie psa nie jest niczym złym. Zwierzęta te potrafią być bardzo pożyteczne – nie tylko towarzyszą człowiekowi na co dzień, ale służą również w poszukiwaniach osób zaginionych, w służbach mundurowych, pilnują zwierząt pasterskich, prowadzą niewidomych itp. W porządku natury pies leży jednak niżej od człowieka – jest zwierzęciem. Nie posługuje się rozumem, nie jest stworzeniem o ludzkim poziomie inteligencji, nie umie formułować wypowiedzi. Jego sposób funkcjonowania, jak każdego zwierzęcia, jest dość prosty. Można go wytresować, aby był nam posłuszny, a kieruje się on w stu procentach swoim instynktem. W porządku stworzenia jest on zatem przeznaczony, aby być człowiekowi poddanym, tak jak inne zwierzęta¹.

Problem pojawia się jednak, gdy sympatia człowieka wobec psa traci swe uporządkowanie i podejmuje się próbę zrównania psa z człowiekiem. Z uwagi na różnice naszych natur, jest to tak naprawdę niemożliwe w praktyce – nie da się „wywyższyć” psa, aby zrównać go z człowiekiem, albowiem z uwagi na swe naturalne ograniczenia nie jest on w stanie wzniesć się na poziom funkcjonowania w świecie charakterystyczny dla człowieka. Da się to jednak zrobić poprzez poniżenie

1 Rdz 1, 28.

człowieka do poziomu zwierzęcia – tak określić należy traktowanie psów jak dzieci. Jako dehumanizację człowieka i redukcję dziecka do statusu pupila, wyznacznika statusu społecznego i „lifestyle'u”, a jak wiadomo, w liberalizmie każda droga życiowa jest dobra, a swoistą anatimą objęta jest krytyka obranego stylu życia, niezależnie od tego, jak szkodliwy on by nie był.

W liberalizmie jednostka (człowiek) stanowi punkt odniesienia. Skoro liberalizm opiera się na optymizmie antropologicznym, to należy przyjąć, że działania człowieka są z natury dobre. Jeżeli uznajemy, że pies jest zbliżony do nas w porządku stworzenia, to jego działania również będą z natury dobre i nie należy ich osądzać, a psa nie wolno karać. Więcej – pies, w przeciwieństwie do człowieka, nie jest przebiegły, chamski, cyniczny i nie nosi w sobie znamienia grzechu pierworodnego. Obiektywnie natomiast należy stwierdzić, że pies jest z natury neutralny, podczas gdy ludzka natura jest skażona grzechem pierworodnym.

W sferze społecznej można spotkać się niejednokrotnie z poglądem, iż zwierzęta, w szczególności psy, są „lepsze” od ludzi. Że „nigdy nas nie opuszczą”, „kochają bezwarunkowo”, są „bardziej czułe” itp. Oczywiście, jest to podejście błędne, albowiem *a priori* zakłada, że zwierzęta zdolne są do odczuwania emocji i zachowywania się w tożsamy sposób jak człowiek. Warto przypomnieć burzę medialną związaną ze słowami prof. Bralczyka, który stwierdził, że zwierzę zdycha, a nie umiera, albowiem umierają tylko ludzie². Słowa te zostały uznane za „kontrowersyjne” i wywołały lawinę oburzenia.

W odniesieniu do powyższego warto wspomnieć, iż zwierzę owszem nie chce opuszczać swojego właściciela, albowiem jest do niego przywiązane przede wszystkim z tego względu, że daje on mu jedzenie, zapewnia dach nad głową, „zwalnia je” z obowiązku polowania celem zapewnienia pożywienia itp. Jeśli mamy kota wypuszczanego na

2 <https://www.tvp.info/79358144/prof-jerzy-bralczyk-w-tvp-info-pies-zdycha-a-nie-umiera-lawina-komentarzy>.

podwórko i przestaniemy go karmić, opuści on prędzej czy później nasz teren za pożywieniem. Z psem sprawa ma się nieco inaczej – pies, faktycznie, nie jest w stanie samodzielnie zapewnić sobie pożywienia poprzez polowanie, a przynajmniej nie jest w tym aż tak skuteczny, jak koty.

Stąd, w mojej ocenie, wynika większa skłonność w społeczeństwie do traktowania psa jako zastępczego dziecka, niż kota. Kot kojarzy się poniekąd zwyczajowo ze „starymi pannami” jako zwierzę do towarzysztwa. Pies natomiast obecnie stanowi „dziecko zastępcze” dla par, albowiem pies wymaga więcej opieki niż kot. Kot jest zwierzęciem dość samowystarczalnym, często skłonny do odrzucania nadmiernej bliskości ze strony człowieka. Pies jest z natury bardziej towarzyski. Psa trzeba wyprowadzać, myć, wymaga on obiektywnie więcej uwagi. Łatwiej zaspokoić, posiadając psa, zagłuszany instynkt rodzielski.

Analizowane zjawisko nosi też aspekt statusowy. Warto dodać, że dla co bogatszych, pies to wyznacznik statusu. Prawdziwym znamieniem bogactwa dla młodego, wielkomiejskiego liberała jest pies za kilka tysięcy złotych, czystej krwi rasowej, na którego leczenie wydaje się kilka tysięcy złotych rocznie – co najmniej. Jakże łatwo wymówić się wtedy rodzinie, że nie stać nas na dzieci! Przecież trzeba opłacić leczenie psa, którego życie to nieustanne cierpienie. A na dodatek można wybielić się moralnie, że jest się „dobrym człowiekiem”, bo kocha się zwierzęta. Takie osoby nie usypiają tych psów do samego końca, bo są dla nich bardzo ważną częścią życia. Niczym dziecko, które podświadomie pies ma zastąpić, choć nigdy do końca tego nie zrobi. Pies wymaga znacznie mniej, pies się nie zbuntuje na lata, w przeciągu całego życia przyniesie mimo wszystko znacznie mniejsze koszty. A samo jego życie potrwa raczej maksymalnie 10-15 lat – dziecko natomiast co do zasady zostaje z nami już do końca naszego życia, żegnając nas na starość i organizując nasz pogrzeb. I tu dochodzimy to istotnej konkluzji – „psiecko” to znamię temporalności, tymczasowości życia ludzi w XXI w. Podejście bardzo wielu osób zakłada życie

chwilą, niemyślenie o śmierci, której perspektywa jest dla nich katastrofą, albowiem wszystko, co posiadają, to życie tu – na ziemi.

Konkludując – w swej galopującej apostazji, wielu ludzi nie tylko zastąpiło psami swoje dzieci. To już dość powszechne w pokoleniu urodzonym w latach 90. Te zwierzęta to nie tylko zastępcze potomstwo – to metafizyka. Godność człowieka dla wielu osób wyznacza to, czy dbają o zwierzęta. Zbiórki na schroniska i organizacje pomocowe dla zwierząt regularnie cieszą się ogromnymi wpłatami, znacznie wyższymi niż, przykładowo, zbiórki na bezdomnych czy hospicja. Wiele ludzi bardziej razi krzywda zwierzęcia niż człowieka. Ba, widok leżącego w łachmanach bezdomnego u niejednego liberała może wywołać myśl o brzmieniu „pewnie chlał, zasłużył sobie!”. No bo przecież pies, co jest prawdą, nie „zasłużył sobie” na krzywdę. Oczywiście, krzywdzenie zwierząt również jest grzechem. Niemniej jednak skrajnym nieuporządkowaniem jest pomaganie w pierwszej kolejności zwierzętom niż ludziom!

Do powyższego należy dodać groteskową praktykę wożenia psa w wózku dla dziecka. Kaganiec? Utożsamia się go z przemocą wobec zwierząt. Smycz? Na wielu polskich osiedlach, a w lasach tym bardziej (pomimo prawnego zakazu!) jest to standardowe wyposażenie kieszeni spodni właściciela psa. I tu należy pochylić się nad realnym problemem, który w ostatnich tygodniach „wybił” na powierzchnię – bezradność państwa wobec agresji psów, które w październiku zabiły dwóch mężczyzn. 46-letni kierowca zagryziony w lesie przez psy wypuszczone z pobliskiej posesji w woj. lubuskim³, co do których to psów zgłaszano już uprzednio, że są niebezpieczne i agresywne, oraz że wałęsają się bez właściciela po okolicy, a nawet okaleczyły wcześniej innego mężczyznę, odgryzając mu uszy⁴. W woj. łódzkim pod bramą posesji (!) znaleziono zwłoki 76-lątka zagryzionego przez psy

3 <https://www.pap.pl/aktualnosci/zielona-gora-zmarl-46-latek-pogryziony-przez-psy-jest-prokuratorskie-sledztwo>.

4 <https://www.fakt.pl/wydarzenia/polska/zglosila-sie-kolejna-ofiara-psow-spod-zielonej-gory-odgryzly-mu-uszy/hfynvcr>.

z tejsze⁵. Państwo polskie wydaje się wobec zgłoszeń o agresywnych psach bezradne. Odebrać agresywnego psa wcale nie jest łatwo, jeżeli właściciel się nad nim nie znęca. Bardzo łatwo jest uzyskać własność nad psem rasy uznawanej za agresywne. Polskie prawo nie przewiduje również obowiązku noszenia kagańca w miejscach publicznych, a nawet nakładania smyczy. Przepisy mówią wyłącznie o obowiązku nadzoru nad psem lub zachowaniu środków ostrożności, nie precyzując ich jednak. Warto przy tym wspomnieć, iż w Polsce dochodzi do niemal 100 pogryzień przez psy dziennie (!), a eksperci biją na alarm co do nieskuteczności przepisów w tym zakresie⁶. Większość ofiar stanowią natomiast dzieci w wieku 5-9 lat⁷. Ilość psów w Polsce wynosi ok. 8,4 miliona, a cztery na dziesięć gospodarstw domowych posiadają psa. Ilość psów wzrosła między 2019 a 2024 rokiem o 700 tysięcy (!), plasując nasz kraj na 4 miejscu w Unii Europejskiej pod kątem liczby tych zwierząt⁸.

Jeśli dołożymy do tego wskazywaną przeze mnie „obsesję”, niechęć właścicieli do zakładania psom kagańców, legendarne cytaty „mój pies nie gryzie”, czy też „ludzie są bardziej niebezpieczni od psów”, albo, co chyba najbardziej odrażające, „to вина dziecka, że pies je pogryzł!”, obrazuje nam się w sposób jednoznaczny, iż pies w istocie stał się „złotym cielcem”. Zwierzęciem metafizycznym, które społeczeństwo liberalne rozeznało jako idealnego towarzysza życia. Wydaje się, iż batalię tę zdecydowanie przegrał kot domowy. Dostrzegalna jest też niechęć społeczeństwa do usypiania psów niebezpiecznych, które już kogoś zaatakowały. Kary orzekane wobec właścicieli są również zdecydowanie za niskie. Warto w tym miejscu wspomnieć o sytuacji z USA, w której właściciele psów które zagryzły na ulicy starszego mężczyznę zostali skazani na kary 18 i 15 lat pozbawienia wolności

5 <https://lodz.se.pl/straszna-smierc-w-poddebicach-psy-zagryzly-mezczyzne-sledztwo-prokuratury-aa-72ZL-Joy9-7Jaq.html>.

6 <https://prawo.gazetaprawna.pl/artykuly/9898018,pogryzienia-przez-psy-100-dziennie-350-tys-rocznie-prawo-wymaga-zmian.html>.

7 Tamże.

8 <https://me-l.co/v2hrz2a7>.

przez sąd w San Antonio, co w Polsce stanowi karę niewyobrażalnie wysoką w stosunku do skali czynu⁹. Wydaje się jednak, iż wobec oczywistej bezczelności właścicieli niebezpiecznych czworonogów, lekkomyślnie otwierających na cały dzień bramy swoich posesji, czy to na wsiach, czy w miastach, kary za takie postępowanie powinny być zastrzone. Również dla dobra samych czworonogów - te bowiem mogą wybiec na ulicę i wpaść pod koła samochodu.

Lekkomyślność – jest to pojęcie cechujące zachowanie osób odpowiedzialnych za przytoczone powyżej śmiertelne przypadki ugryzień. Podobnie lekkomyślnością jest lekceważenie zjawisk społecznych polegających na ucłowieczaniu zwierząt – te każdorazowo wiążą się bowiem z poniżeniem człowieka. Tezę o złotym cielcu potwierdza również agresja środowisk poddanych krytyce w niniejszym artykule, których przedstawiciele wobec argumentów świadczących o obsesji na punkcie psów i lekkomyślności w ich chowaniu, w odpowiedzi twierdzą, że strona „konserwatywna” to zwolennicy co najmniej trzymania psa na półmetrowym łańcuchu i katowania go, czy też uboju. Po stokroć nie – jak wskazałem wyżej, znęcanie się nad zwierzęciem jest grzechem i czynem po prostu nieuzasadnionym. Niemniej jednak, w obecnym dyskursie ludzie są skłonni traktować kaganiec jako formę przemocy nad zwierzęciem¹⁰. Co będzie dalej?

Jest w tym również sporo pychy. Jak wskazuje ekspert, trenerka psów Aneta Awtoniuk w wywiadzie z Tok FM: *„ostatnio modna stała się znów samodzielna praca z psem w kierunku obrony. Ludzie, którzy mają jakieś wyobrażenia na własny temat, kupują sobie psy na ogół duże, z pełną sekwencją łowiecką. To ostatnie oznacza, że każdy atak kończy się pogryzieniem, zabiciem i ewentualnie zjedzeniem ofiary”*¹¹.

9 <https://www.youtube.com/watch?v=Zs39brpX3tc>.

10 <https://rzeszow.wyborcza.pl/rzeszow/7,34962,24329949,dlaczego-wlasciwie-dreczymy-zwierzeta-bo-przeciez-psy-trzeba.html>.

11 <https://www.tokfm.pl/ludzie/psy-jak-bomby-z-opoznionym-zaplonem-narasta-frustracja-i-w-koncu-wybuch>

Niczego nieświadome zwierzęta stały się elementem „wojny kulturowej”, a stosunek do nich jest kolejną z osi podziału w społeczeństwie. Kiedyś sprowadzało się to do, w zasadzie nieco śmiesznych, apeli o „niestrzelanie w Sylwestra”. Dziś jest gorzej, albowiem dochodzi do relatywizacji ataków psów na ludzi. Jak przytoczono – psy, które zagryzły 46-latkę, uprzednio atakowały już ludzi. Czy naprawdę da się wytłumaczyć zaniechania w tym zakresie w inny sposób niż w ten, że w Polsce psom po prostu wolno więcej, a ludzie mają wobec nich nieuzasadnioną słabość i tolerancję? Przykładem jest też wpuszczanie psów do restauracji, z którym praktycznie nigdy nie wiąże się obowiązek założenia kagańca. Wydaje się, że ostatnią ostoją „normalności” w tym względzie jest komunikacja zbiorowa, gdzie regulaminy nakładają na właścicieli obowiązek trzymania psa na smyczy i w kagańcu.

Konkludując należy zwrócić uwagę na powiązanie psiej obsesji z kryzysem demograficznym oraz kryzysem relacji społecznych w ogólności. Zrównując posiadanie dziecka z posiadaniem psa, kierując się liberalnym paradygmatem unikania wyrzeczeń i trudności, ludzie znacznie częściej wybierać będą posiadanie psa. Jeśli znormalizujemy używanie wobec zwierząt słów charakterystycznych dla ludzi, jak „wychowanie” zamiast „tresury”, „umiera” zamiast „zdycha” czy „adopcja” zamiast „przygarnięcie”, to wyłącznie pogłębi się ten problem – zacierania, wbrew porządkowi stworzenia, różnic między naturą człowieka a naturą zwierzętą, w tym przypadku w szczególności psa.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/opinie/pies-zloty-cielec-liberalnego-spolectenstwa,695991>

LOGIKA REWOLUCJI: ROK PIERWSZY, WIECZNIE OD NOWA

Co łączy okrojony w polskiej szkole spis lektur z głową Krzysztofa Kolumba leżącą na bostońskim bruku? Na pierwszy rzut oka – nic. W istocie rzeczy to jednak taki sam impuls, który w 1793 roku kazał jakobinom rozbijać królewskie groby, dziś pcha ich ideowych spadkobierców do niszczenia przeszłości. To pycha i ślepe przeświadczenie, że lepszą przyszłość można zbudować dopiero wtedy, gdy doszczętnie zrówna się z ziemią wszystko, co było wcześniej.

KIEDY ZATRZYMANO ZEGAR

Już raz historia miała wystartować na nowo. Jesienią 1793 roku rewolucyjny konwent we Francji uznał, że świat trwał dotąd na próżno, a wszystko, co wydarzyło się wcześniej, nie ma żadnego znaczenia. Nakazał więc liczyć lata od samej rewolucji, jakby stwarzając świat *ex nihilo*. Wrzesień 1792 roku ogłoszono „rokiem pierwszym”. Miesiąc-om nadano inne nazwy, a tydzień rozciągnięto do dziesięciu dni, żeby w nowej rachubie czasu zabrakło miejsca na niedzielę.

Po zmianie kalendarza rozpoczęto brutalną walkę z materialnymi przejawami religii. W listopadzie 1793 roku pod sklepieniem katedry Notre Dame wywrotowcy tańczyli ku czci Rozumu. Z fasad strącano figury, z wież zdejmowano dzwony, a krzyże przetapiano. Najbardziej wymowna była jednak czystka w bazylice Saint-Denis. Tam, w grobach królów rewolucjoniści rozłupali trumny liczące sobie setki lat. Wywlekli szczątki monarchów, cisnęli je do wspólnego dołu i przysypali wapnem. Nie zależało im na złocie. Chodziło o to, by Francja obudziła się w nowej rzeczywistości, bez przodków.

Jak zauważa historyk sztuki François Souchal w książce *Wandalizm rewolucji*, obsesję równości za wszelką cenę rozszerzono nawet na za-
bytki. Irytujące stały się iglice kościołów wskazujące na niebo i swymi

rozmiarami rażące wzrok obywatela, niemogącego tolerować takiego „wywyższania się”.

Nie oszczędzono także żywych. Już we wrześniu 1792 roku tłum wdarł się do paryskich więzień i w kilka dni wymordował około tysiąca trzystu ludzi. Później w ruch poszła gilotyna. Pracowała nieustannie, miarowo, niczym wytrawny rzemieślnik dumny ze swego fachu. Do Wandei, gdzie chłopci ujęli się za Bogiem i królem, republika posłała „kolumny piekielne”. Pod Nantes zaś topiła skazańców w nurtach Loary, całymi barkami naraz. Dziesiątki tysięcy ludzi zginęły tylko dlatego, że nie chciały wyrzec się własnej przeszłości.

Prawdziwe zawołanie rewolucji nie brzmiało: „wolność, równość, braterstwo”. Głosiło natomiast – „wolność, równość, braterstwo albo śmierć”. A gilotyna była najlepszą przyjaciółką rewolucjonisty.

CZYSTKI W MINISTERSTWIE

A jak przejawia się ten jakobiński, rewolucyjny duch dzisiaj? Otóż współcześni neojakobini nie próżnują. Nie mając gilotyny, stosują bardziej wyrafinowane metody, by zniszczyć tradycję. Jedną z nich jest choćby... systematyczne okrajanie spisu lektur.

Podstawą prawną stało się podpisane 11 marca rozporządzenie, które wejdzie w życie wraz z nowym rokiem szkolnym. Przesuwa ono akcent z lektur obowiązkowych na uzupełniające. Lista tych pierwszych topnieje, druga zaś rośnie i otwiera się na reportaż czy literaturę współczesną, podczas gdy z dawnych dzieł pozostają jedynie fragmenty. Nauczyciel ma odtąd wybierać swobodniej, a zestaw książek dostrajać do gustu i możliwości poszczególnych klas. Brzmi to z pozoru rozsądnie, ale tak naprawdę jest karygodne.

Weźmy na przykład *Pana Tadeusza*. Epopeja, którą całe pokolenia czytały w całości, od Inwokacji „Litwo, Ojczyzno moja”, po koncert Jan-kiela, zostaje ograniczona do materiału czytanego na wrywyki. Z obligatoryjnych elementów utworu pozostaje wspomniany wstęp i kilka scen. Cała reszta zaś przechodzi do sekcji nieobowiązkowej.

To tylko jeden z licznych przykładów modyfikacji na liście lektur – zmian zmierzających do wyplenienia tradycji i maksymalnego uproszczenia kanonu. Zamiast pełnego poznawania dziedzictwa pisanego, uczniowie – przyzwyczajeni do mediów społecznościowych – mają otrzymać materiał łatwy i niewymagający dłuższego skupienia. W dobie TikToka odcina się więc uczniów od przeszłości i kształtuje „nowego człowieka”. To logiczny skutek metody neojakobinów zasiadających w resorcie zwanym dla niepoznaki Ministerstwem Edukacji Narodowej.

SĄD NAD ŻYWYMI I UMARŁYMI

Pokrewne zjawisko, równie bliskie rewolucyjnemu szaleństwu, widać także na Zachodzie. W 2023 roku wydawnictwo Puffin ogłosiło „poprawienie” książki Roalda Dahla – zmarłego przed trzydziestu z górą laty autora *Charliego i fabryki czekolady* czy *Matyldy*. Z ich kart zniknęły słowa „gruby”, „brzydki” i „szalony”, a opisy bohaterów przykrojono na miarę tzw. dzisiejszej wrażliwości.

Ofiarami padają także żyjący twórcy. Przykładowo autorkę cyklu o Harrym Potterze, za jej poglądy na płęć obłożono publiczną anatemią. Odcięli się od niej nawet aktorzy filmowi zawdzięczający sławę ekranizacjom jej twórczości. Doszło nawet do tego, że fani zaczęli palić książki J.K. Rowling, a samo jej nazwisko stało się w pewnych kręgach słowem zakazanym.

Z kolei Mel Gibson za swoje nieprawomyślne tyrady trafił na całą dekadę na czarną listę, bez procesu i bez prawa do obrony. Nie da się wprowadzić obronę wszystkiego, co powiedział. Chodzi o to, że ukarał go tłum, a nie sąd. Piętno pariasa miało być już dla niego niemożliwe do zdjęcia.

Przypadki Dahla, Rowling i Gibsona nie są bynajmniej odosobnione. Metoda jest zawsze ta sama: nie obala się argumentu, lecz usuwa człowieka. Nie odpowiada się na słowo, lecz odbiera prawo do jego wypowiedzenia. To sąd, w którym oskarżenie wystarcza za dowód, wyrok zapada przez aklamację, a kara polega na całkowitym wykluczeniu ze środowiska.

ARGUMENT SIŁY ZAMIAST SIŁY ARGUMENTU

Niekiedy Rewolucja ucieka się do nawet ostrzejszych działań.

I tak w 2020 roku w Kalifornii tłum obalił posąg Junipera Serry, osiemnastowiecznego franciszkanina, który zakładał tam pierwsze misje. Jego wizerunek plamiono, ciągnięto na linach, deptano i opluwano. Atakowano także pomniki Kolumba. Jedne potraktowane zostały czerwoną farbą, inne zerwano z cokołów przy użyciu lin. W Bostonie posągowi odkrywcy odcięto głowę, która o świcie leżała na bruku obok cokołu. Z kolei w Richmond inny monument wielkiego podróżnika obalono, podpalono i wrzucono do jeziora.

W Bristolu natomiast tłum strącił z cokołu pomnik Edwarda Colstona – zasłużonego kupca i filantropa, choć przy tym handlarza niewolnikami. Przeciągnął go ulicami i wrzucił do portowej wody.

Te gesty nie są bynajmniej przypadkowe.

Ścięcie.

Ogień.

Woda.

Po te same trzy żywioły sięgała Wielka Rewolucja. Pod ostrzem ginęli ludzie, w płomieniach znikwały świątynie, a pod Nantes republika topiła skazańców w rzece.

Dwa i pół wieku później rozgrywa się podobny scenariusz, tyle że tym razem obiektem ataku są symbole. Tłum, który topi Kolumba w jeziorze i ścina jego głowę z brązu, robi to samo, co konwent czynił żywym ludziom.

Historia nie powtarza się, lecz rymuje.

PYCHA, KTÓRA SĄDZI PRZESZŁOŚĆ

Za szaleństwem rewolucjonistów francuskich i metodą współczesnych neojakobinów stoi ta sama zgubna pycha człowieka, który uważa się za lepszego tylko dlatego, że żyje dziś, a wobec przeszłości uzurpuje sobie prawo do bycia sędzią i katem naraz.

Dlatego warto pamiętać o 14 lipca 1789 roku. Nie po to, by po raz kolejny świętować zdobycie Bastylji, w której przebywało wówczas tylko siedmiu więźniów. Warto pamiętać tę datę jako przestrogę, dokąd prowadzi pokusa rozpoczynania świata od nowa. Zegar bowiem łatwo jest zatrzymać. Znacznie trudniej jest go potem prawidłowo nastawić.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/wiadomosci/logika-rewolucji-rok-pierwszy-wiecznie-od-nowa,726217>



NIE UMRZEĆ. KOLEJNY CEL DOLINY KRZEMOWEJ

Transhumanizm w pierwszej kolejności nie rodzi się z marzenia o nadczłowieku, ale z osobistych dramatów, utraty wiary i odrzucenia Boga. Nic nie pokazuje tego lepiej jak historia Bryana Johnsona, człowieka, który „postanowił żyć wiecznie” i swoimi urojeniami zaraża dzisiaj cały świat.

Ludzkość od zarania dziejów poszukiwała eliksiru długowieczności. Czy to w formie kwiatu życia, fontanny młodości czy ambrozji i nektaru, niemal wszystkie starożytne kultury utrwały to najstarsze marzenie człowieka w mitach i legendach. Współcześnie podobne pragnienia odżywają za sprawą nowoczesnych technologii, oferując nadzieję, że – w odróżnieniu od naszych przodków – długowieczność jest już na wyciągnięcie ręki.

Nie chodzi tu jednak o szalenie popularną dziś modę na tzw. zdrowy tryb życia. Siłownia, dieta czy suplementacja mają oczywiście niebagatelny wpływ na nasze samopoczucie, ale mówimy tutaj dosłownie o próbach zatrzymania biologicznego licznika. Nazywany *anti-aging* lub *biohacking*, to międzynarodowy trend zorientowany na wykorzystanie najnowocześniejszych osiągnięć nauki i techniki do powstrzymania procesu starzenia się organizmu. Póki co, na podobne eksperymenty mogą sobie pozwolić najbogatsi i najbardziej wpływowi – wliczając w to nie tylko arystokrację Doliny Kremowej, ale i czołowych polityków.

Nie jest tajemnicą, że zwłaszcza Władimir Putin ma obsesję na punkcie przedłużania życia, nie szczędząc pieniędzy na wielkie państwowe projekty biomedyczne. Przykładowo, jeden z nich, kosztujący 26 mld dolarów zakłada hodowanie w świniaach ludzkich tkanek drukowanych w 3D, które następnie można przeszczepić do chorego

człowieka. Do 2030 r. Rosja chce posiadać technologię powstrzymującą proces starzenia komórek. Przedawkowywanie aspiryny przez Donalda Trumpa aby mieć „przejrzystą, błękitną krew”, wygląda przy tym jak dziecinna zabawa.

Wróćmy jednak za ocean, bo to tam *anti-aging* powoli, acz nieuchronnie wchodzi już pod strzechy. Czołowym „ewangelizatorem” nieśmiertelności jest dzisiaj Bryan Johnson, biznesmen i influencer, założyciel projektu Blueprint, którego motto życiowe brzmi „nie umieraj”. Johnson jest przekonany, że może żyć spokojnie ponad 150 lat (niekiedy mówi o 500) przy zachowaniu pełnej sprawności umysłu i ciała. Milioner sam uczynił się przedmiotem eksperymentu, przekraczając granice tego, na co pozwala konwencjonalna nauka.

Mężczyzna codziennie poddaje się rygorystycznej rutynie. Każdego dnia zażywa między 50 a 150 różnych tabletek, dba o kondycję fizyczną, stosuje nieprawdopodobną ilość kremów, maści i zastrzyków podskórnych, przestrzega ścisłej diety i snu co do minuty. Stosuje terapię tlenem hiperbarycznym i falami dźwiękowymi, poddaje się specjalnemu naświetlaniu, krioterapii czy elektrostymulacji mięśni. Od czasu do czasu przechodzi poważniejsze zabiegi jak przetaczanie osocza czy modyfikacja genetyczna komórek mięśniowych. Czasem jego decyzje wydają się absurdalne, jak unikanie światła słonecznego ze zbyt wysokim UV, a czasem wręcz zatrważające – kiedy przyjmuje leki na obniżenie odporności, przepisywane pacjentom po przeszczepach.

W efekcie 48-letni Johnson wygląda niemal jak 25 latek, a tempo starzenia spadło do 0,64-0,69, co oznacza, że na każde 12-miesięcy, jego ciało starzeje się o około 8 miesięcy. Jednak żeby dojść do takiego poziomu, całe życie miliardera musi kręcić się wokół... idei przedłużania życia. Niejednemu takie podejście może wydać się puste i pozbawione większego sensu. Ukazuje wszystko co najgorsze w dzisiejszej kulturze narcyzmu i samouwiełbienia, gdzie wygląd zewnętrzny i opinia innych stanowi najwyższe kryterium samooceny. Perspektywa zmiana się jednak, kiedy popatrzymy na cały problem oczami wiary.

ZAMIESZKAĆ Z SZATANEM

Motywacje Johnsona doskonale oddaje film dokumentalny z 2025 r. pt. „Don't die: o człowieku który postanowił żyć wiecznie”. Twórcy pokazują nam nie tylko człowieka sukcesu, maniaka czy też ekscentryka, ale przede wszystkim osobę, która w swoim życiu wiele przeszła. Od trudnego dzieciństwa, naznaczonego nieobecnością ojca-narkomana, sukcesy finansowe okupione depresją i myślami samobójczymi, aż po kryzys wiary (wychował się we wspólnocie Mormonów) oraz konflikty w małżeństwie.

Johnson w pewnym momencie postanowił sprzedać firmę, rozwieść się z żoną i oficjalnie porzucić mormonizm. Poczucie sensu w życiu zaczęła mu zapewniać troska o zdrowie. Z kolei niezgoda na przemijanie i śmierć przerodziła się w obsesję, którą mógł realizować za pomocą znacznych środków finansowych. Z czasem swoją działalność zaczął traktować w kategoriach quasi-religijnych. Dzisiaj przekonuje, że czyni to „dla dobra ludzkości”, żartobliwie mówi o sobie „Jezus zdrowia” oraz gromadzi wokół siebie społeczność o cechach kultu. Jego działalność brzmi jak wyzwanie rzucone naturze i Bogu; jest jak misja szaleńca, który poszukuje nieśmiertelności w rzeczach skończonych.

Nic dziwnego, że rodzina „wyklęła” Bryana, podobnie jak jego syna, który również porzucił wspólnotę i przeprowadził się do ojca do Kalifornii. 19-letni Talmage, zdaniem rodziny „zamieszkał z szatanem”.

Historia Johnsona, oprócz buntu wobec Boga, pokazuje również kolejną składową transhumanizmu, jaką jest nienawiść wobec własnego ciała. Choć trudno szukać kogoś bardziej zakochanego w sobie niż lider projektu Blueprint, jednocześnie ta specyficzna miłość wyraża się poprzez nieustanną walkę z własnym organizmem. Za najgroźniejszego wroga uznaje zaś mózg, który będąc podatny na skoki hormonalne i uzależnienia, okazuje się błędnym przewodnikiem. Zamiast jednak trenować ten organ poprzez ćwiczenia i ascezę, postanawia go „zhakować”, cedując najważniejsze zadania na algorytmy.

Algorytm „potrafi zadbać o mnie lepiej, niż ja sam potrafię (...) umysł jest martwy, nie możemy mu ufać...oszukuje nas...” – przyznaje w pewnym momencie Johnson, który sam mówi o sobie „okaz”, „prototyp”, tak jakby był rzeczą, tudzież przedmiotem eksperymentu. Wszechobecność algorytmu posiada również, wbrew pozorom, głębokie znaczenie religijne. Jak przekonuje Jan Maciejewski, nawet pozbawieni wiary wciąż mamy potrzebę, aby ktoś zawsze nad nami czuwał, opiekował się i trzymał rękę na pulsie. Nic nie sprawdza się w tej roli lepiej niż program komputerowy monitorujący każde nasze zachowanie, sugerujący odpowiedzi oraz możliwość dzielenia się swoją codziennością z całym światem. Przeszkadza nam Bóg, który za bardzo „ustawia” naszą rzeczywistość, ale nie mamy problemu z algorytmem, kiedy podejmuje za nas decyzje w imię wielkiego kapitału.

WSPÓŁCZESNY WAMPIR

W tym miejscu robi się naprawdę mrocznie. Otóż w pewnym momencie Bryan zachwyił się ideą przetaczania osocza, które ma zapewniać młodość i klarowność myśli. Im młodsze tym lepiej. W związku z tym namówił do współpracy syna, który ochoczo zgodził się oddać ojcu kilka litrów cennego płynu. „To będzie taki międzypokoleniowy projekt” – oznajmił z radością chłopiec. W filmie pada sugestia, że cała Dolina Krzemowa przetacza osocze, ale tylko „atencjusz Bryan” postanowił podzielić się tą wiadomością z całym światem.

Słuchając podobnych doniesień, jako żywo stają nam przed oczami historie o bladoliczych wampirach, otumaniających swoje ofiary, by następnie wyssać ich krew. Albo więdźmy zjadające dzieci zyskując w ten sposób wieczną młodość. Schemat jest stary jak świat. Spożywanie krwi – symbolu życia, ma zapewniać młodość i nieśmiertelność. Choć nauka do dzisiaj nie potwierdza korzyści płynących z kuracji osoczem, miliarderzy z całego świata wciąż upatrują w niej eliksiru wiecznej młodości.

Z kolei samo życie Bryana Johnsona wygląda niemal jak do bólu zmaterializowana wersja chrześcijaństwa. Mamy swoiste nawrócenie na

drogę zdrowia i życia, *chrzest* na zawsze żegnający „starego człowieka”, ascetyczny tryb życia, którego rytm wybija „liturgia godzin” terapii i kuracji, ścisły post w charakterze surowej diety, niemal mnisze odosobnienie od świata, nieustanne przebywanie w obecności siły wyższej – chmury algorytmów, aż w końcu suplementację i zabiegi przetwarzania krwi, niczym życiodajny dar Komunii.

Problem w tym, że te wszystkie wysiłki kosztują około 2 mln dolarów rocznie. Tymczasem w Kościele otrzymujemy łaski całkowicie za darmo.

W kwietniu br. lekarze zdiagnozowali o Bryana nieuleczalną chorobę autoimmunologiczną żołądka. *Biohacker* odrzuca możliwość, aby jej przyczyną była zabawa w długowieczność, choć lekarze nigdy wcześniej nie widzieli podobnego przypadku. Jeszcze na kilka dni przed usłyszeniem diagnozy, Johnson ogłosił się „najzdrowszym mężczyzną na świecie”. Choć influencer zapewnił o kontynuacji projektu, jednocześnie przyznał, iż... „mógł posunąć się z tym całym przedłużaniem życia za daleko”.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

[https://pch24.pl/opinie/nie-umrzec-kolejny-cel-doliny-krzemo-
wej,732284](https://pch24.pl/opinie/nie-umrzec-kolejny-cel-doliny-krzemo-
wej,732284)



ŚWIĘTY MAKSYMILIAN MARIA KOLBE. ANIOŁ W AUSCHWITZ

– Był dla mnie jak anioł, ocierał zawsze moje łzy... – wspominał Zygmunt Gorson, polski Żyd ongiś więziony w obozie KL Auschwitz. Gorson trafił do lagru wraz z najbliższymi, mając trzynaście lat. To tutaj Niemcy zabili mu rodziców, dziadków, trzy siostry. Z całej rodziny przeżył tylko on jeden, aby dać świadectwo prawdzie. Także prawdzie o pewnym polskim franciszkaninie, który w owej otchłani zła i okrucieństwa otoczył opieką żydowskie dziecko.

DWIE KORONY

Czterdzieści siedem lat wcześniej w Zduńskiej Woli, w ówczesnym Królestwie Polskim włączonym do Imperium Rosyjskiego, przyszedł na świat Rajmund Kolbe.

W młodości, wedle opinii matki, „*był chłopcem bardzo żywym, byстрым, trochę łobuzowatym*”, ale gdy trzeba także posłusznym, prawdziwą podporą rodziców we wszelkich pracach domowych. Otrzymał pobożne wychowanie, wszak ojciec i matka należeli do Trzeciego Zakonu św. Franciszka. W pamięci rodziców zachował się pewien epizod z dzieciństwa Rajmunda. Syn opowiedział im, ogromnie poruszony, przeżytą wizję spotkania z Matką Bożą, od której dobrowolnie przyjął dwie korony – białą oznaczającą, że wytrwa w czystości, oraz czerwoną zapowiadającą męczeństwo.

Rajmund szybko odnalazł swe powołanie. Jako trzynastolatek wstąpił do Małego Seminarium Ojców Franciszkanów we Lwowie. Trzy lata później, po rozpoczęciu nowicjatu, przybrał zakonne imię **Maksymilian**, potem, przy okazji ślubów wieczystych uzupełnione jeszcze o imię **Maria**. W 1912 roku rozpoczął studia w Krakowie, kontynuowane w Rzymie, zwieńczone doktoratem z filozofii, następnie z teologii.

CZARNE CHORĄGWIE Z LUCYFEREM

W Rzymie Maksymilian zderzył się z ostrym antyklerykalizmem, forsowanym przez loże masonskie Wielkiego Wschodu Włoch. W owym czasie godność wielkiego mistrza tamtejszych „farmazonów” pełnił Ernesto Nathan, naturalizowany we Włoszech angielsko-niemiecki Żyd, który walkę z Kościołem uznał za swe posłannictwo.

W październiku 1917 r. Maksymilian Maria Kolbe miał wątpliwą przyjemność oglądać w Rzymie hałaśliwe, agresywnie antykatolickie manifestacje wolnomularzy, hucznie świętujących dwustulecie założenia ich organizacji. Na czarnych chorągwiach masonów widniał wizerunek Lucyfera, depczącego Michała Archaniola.

– Jątrzące ręce ośmielały się wypisywać takie hasła jak: „Szatan panować będzie na Wzgórzu Watykańskim, a papież będzie mu służył” – wspominał święty.

Kolbe był wstrząśnięty, jednakowoż nie zamierzał poprzestać na wyrazach oburzenia. Jeszcze w tym samym miesiącu, wraz z sześcioma klerykami z Międzynarodowego Kolegium Franciszkańskiego „Seraphicum”, powołał nowy ruch maryjny – Rycerstwo Niepokalanej (Militia Immaculatae), do walki z „siłami ciemności” zagrażającymi Kościołowi. Rycerze mieli się *„starać o nawrócenie grzeszników, heretyków, schizmatyków, a najbardziej masonów, i o uświęcenie wszystkich pod opieką i za pośrednictwem Najświętszej Maryi Panny Niepokalanej”*.

Założyciel ruchu zalecał: *„Niechaj każdy z członków i każda z członkiń Milicji uważnie, a gorąco, co dzień odmawia nasz akt strzelisty: »O Maryjo bez grzechu poczęta, módl się za nami, którzy się do Ciebie uciekamy, i za wszystkimi, którzy się do Ciebie nie uciekają, a zwłaszcza za masonami«, bo masoni to nic innego, jak tylko zorganizowana klika fanatycznych Żydów, dążących nieopatrznie do zniszczenia Kościoła katolickiego, któremu nam Bóg Człowiek zapewnił, że bramy piekielne nie zwyciężą go”*.

Maksymilian był człowiekiem czynu i walki. Zadanie powołanego Rycerstwa przedstawiał jako udział w duchowej bitwie pod Bożymi

sztandarami: „*Rycerz, Milicja, walka: wojowniczo brzmią te słowa, bo i oznaczają wojnę. Nie walkę przy pomocy karabinów, kulomiotów, armat, samolotów, trujących gazów, ale – prawdziwą walkę. Jakaż jej taktyka? Przede wszystkim modlitwa*”.

WIELKIE DZIEŁA

Powrócił do wolnej już Polski w roku 1919 i od razu rzucił się w wir pracy. Z niespożytą energią realizował wciąż nowe dzieła.

Chyba najbardziej znaczące z nich to wzniesienie franciszkańskiego klasztoru w Niepokalanowie, który w roku 1939 stał się najliczniejszym konwentem katolickim na świecie. To również prowadzona z rozmachem działalność wydawnicza – na czele z pismami o charakterze religijno-społeczno-polityczno-kulturalnym, „Rycerzem Niepokalanej” oraz „Małym Dziennikiem”. Były także miesięczniki dla dzieci, był „Biuletyn Misyjny” i „Informator Rycerstwa Niepokalanej”. Łączny nakład tych pism w roku 1939 sięgnął półtora miliona egzemplarzy!

Maksymilian, choć posiadacz tytułów naukowych z zakresu teologii i filozofii, wykazywał też ogromne zainteresowanie naukami ścisłymi. Studiował matematykę, fizykę, chemię, biologię, astronomię. Postęp techniczny nie przerażał go, szukał możliwości wykorzystania jego potencjału. Jeszcze na studiach opracował projekt pojazdu kosmicznego. W Niepokalanowie uruchomił elektrownię, zamierzał ulokować tam również lotnisko, siedzibę radia i telewizji. Wybuch wojny pokrzyżował większość z tych planów, choć zdołano wyemitować kilka próbnych audycji radia SP3-RN (Stacja Polska 3 – Radio Niepokalanów), z melodią pieśni *Po górach, dolinach* jako sygnałem wywoławczym.

Niezwykłe trafnie przewidział konieczność tworzenia silnych mediów katolickich:

– Możemy wybudować wiele kościołów. Ale jeśli nie będziemy mieli własnych mediów, te kościoły będą puste.

BŁOGOSŁAWIONA GÓRA HIKOSAN

W roku 1930 zakon zatwierdził Maksymilianowi projekt powołania placówki misyjnej na Dalekim Wschodzie.

Udał się tam niezwłocznie w towarzystwie kilku współbraci. Po pierwszym niepowodzeniu w chińskim Szanghaju, został serdecznie przyjęty na Wyspach Japońskich. Rychło rozpoczął tam wydawanie miesięcznej edycji „Rycerza Niepokalanej”, o nakładzie sięgającym 60 000 egzemplarzy (z japońskimi redaktorami dogadywał się znakomicie – po łacinie). Najpoważniejszym przedsięwzięciem w Kraju Kwitnącej Wiśni było wzniesienie klasztoru franciszkańskiego – Ogrodu Niepokalanej (Mugenzai no Sono) oraz seminarium duchownego w Nagasaki.

Oczywistą lokalizacją klasztoru wydawała się zdominowana przez katolików dzielnica Urakami, chlubiąca się wspaniałą katedrą Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Marii Panny. Tymczasem Maksymilian zaskoczył wszystkich, nakazując, by konwent wzniesić na drugim końcu miasta, na stoku góry Hikosan.

Czternaście lat później, 9 sierpnia 1945 roku, dokładnie nad katolicką dzielnicą Urakami eksploduje bomba atomowa, zrzucona przez Amerykanów. Szatański „*blask tysiąca słońc*” spopieli dzielnicę wraz z mieszkańcami, zrujnuje doszczętnie katedrę (choć w jej ruinach przetrwa, w sposób po ludzku niewytłumaczalny, drewniany posąg Maryi, odtąd zwany *Postnuklearną Madonną*). Z ogniowej burzy ocaleje klasztor zbudowany przez Maksymiliana. Góra Hikosan osłoniła konwent przed falą uderzeniową i promieniowaniem cieplnym.

O NAWRÓCENIE ŻYDÓW

Po pięcioletnim pobycie w Azji Maksymilian powrócił do ojczyzny. A Polska okresu międzywojennego, budująca swą państwowość po długim okresie niewoli, gnębiona skutkami niedawnych działań wojennych oraz bieżącymi następstwami światowego kryzysu gospodarczego, borykała się z wieloma problemami.

Pełno było konfliktów społecznych, politycznych i narodowościowych. Były także spory polsko-żydowskie. Trwała zawzięta, a niekiedy brutalna walka o swoje miejsce na ziemi; o dominację – w polityce, gospodarce, handlu, oświacie. Nikt uczciwy nie może zaprzeczyć, że wzajemne kontakty Polaków i Żydów, ich codzienne sąsiedztwo miały różne, niekiedy skrajnie odmienne następstwa w rozmaitych okolicznościach. Były więc przejawy życzliwości, pomocy sąsiedzkiej, a co najmniej zaciekawienia odmiennością drugiej strony. Występowały także obojętność, nieufność i podejrzliwość. Zdarzały się wreszcie akty wrogości, a nawet przypadki przemocy z jednej i drugiej strony (choć skala takich zjawisk została potężnie zmitologizowana).

Trudno tu generalizować, bo przecież wielu Żydów okazało się lojalnymi obywatelami Rzeczypospolitej. Ale równocześnie szerokie rzesze ich ziomków nie utożsamiały się z państwem polskim (co dobitnie potwierdzi ich postawa we wrześniu 1939 roku). Kręgi ekstremalne zaangażowały się w działalność konspiracji komunistycznej, dążącej do zniszczenia naszej państwowości.

Maksymilian Maria Kolbe, pamiętając co widział w Rzymie w roku 1917, niestrudzenie prowadził swą antymasońską krucjatę modlitewną. Dostrzegał także zagrożenie ze strony Żydów:

„Żydostwo szkodziło i szkodzi nam na każdym kroku, wżera się jak rak w ciało narodu, szerzy przekupstwo i zepsucie wśród dorosłych, a rozpustę i bezbożnicstwo wśród młodzieży, wydziera nam handel, przemysł, rzemiosło, a nawet ziemię”.

Maksymilian zawsze żywo reagował na ataki wymierzone w Kościół. Nigdy nie chował głowy w piasek, także w obliczu antychrześcijańskich wystąpień Żydów. *„W Talmudzie nazywają owi rabini chrześcijan bałwochwalcami, gorszymi od Turków, mężobójcami, rozpustnikami, nieczystymi, gnojem, zwierzętami w ludzkiej postaci, gorszymi od zwierząt, synami diabła [...] księgę [...] dyszącą nienawiścią ku Chrystusowi Panu i chrześcijanom wtłacza się w głowy, że to księga święta, ważniejsza od Pisma Świętego [...]”* – pisał

z wyrazistością, która zawstydząć musi dzisiejszych, ugrzecznionych hierarchów Kościoła.

Maksymilian stwierdzał też jednak: *„Ani przeciętny żyd, ani rabin nie ma zazwyczaj pojęcia o religii Chrystusowej, karmiony jedynie nienawiścią ku swemu Odkupicielowi, zakopany w sprawach doczesnych, goniący za złotem i władzą, nie przypuszcza nawet, ile pokoju i szczęścia daje jeszcze na tej ziemi wierna, gorliwa i wspaniałomyślna miłość Ukrzyżowanego, jak ono przewyższa wszystkie „szczęścia” zmysłowe, czy umysłowe, które daje nędzny świat. [...] Pamiętajmy, że za każdego, bez względu na różnicę narodowości, umarł Pan Jezus. I że każdy, a więc i każdy Żyd, jest niewdzięcznym, ale jednak dzieckiem naszej Matki w niebie”*.

Zwalczając religijne błędy żydowskich innowierców Maksymilian kochał ich jako bliźnich, jako dzieci Boże. Chciał ratunku ich dusz, ich nawrócenia, prowadzonego „w sposób roztropny, doprawdy bardzo roztropny”. Stanowczo odżegnywał się od przemocy, ostrzegał przed nienawiścią, zalecając rozagę i umiarkowanie:

„Mówiąc o Żydach bardzo bym uważał na to, żeby czasem nie wzbudzić, albo nie pogłębić nienawiści do nich w czytelnikach i tak już nastrojonych do nich czasem nawet wrogo. Na ogół więcej bym się starał o rozwój polskiego handlu i przemysłu niż piętnował Żydów. Oczywiście zdarzają się i wypadki złej woli z ich strony, kiedy to trzeba będzie wystąpić energiczniej, nie zapominając, jednak o tym, że naszym pierwszorzędnym celem jest zawsze nawrócenie i uświęcenie dusz, czyli zdobycie ich dla Niepokalanej, miłość ku wszelkim duszom, nawet Żydów i masonów i heretyków...”

DZIEŃ WYBORU

Po napaści Niemiec na Polskę we wrześniu 1939 r., okupanci aresztowali ojca Maksymiliana. Przez blisko trzy miesiące więziono go w obozach w Łambinowicach, Gębicach i Ostrzechowie. Zwolniony, powrócił do Niepokalanowa.

Rychło siedziba konwentu stała się prężnie działającym ośrodkiem pomocowym, dając schronienie między innymi tysiącom

Wielkopolan wypędzonych przez Niemców z ojcowizny. Spiesząc tu-
łaczom na ratunek Maksymilian nie stosował żadnych kryteriów na-
rodowościowych ani religijnych – pod jego opieką znalazło się także
1500 Żydów.

Aresztowany повторно w lutym 1941 r., przetrzymywany na war-
szawskim Pawiaku, został wysłany do obozu koncentracyjnego w Au-
schwitz (Oświęcimiu), gdzie oznaczono go numerem 16670. Przy-
dzielony do komanda „Babice”, pracował przy wyrębie lasu, znosząc
codziennie katorżniczy wysiłek, głód i bestialstwo strażników.

W lipcu 1941 r. zastępca komendanta obozu, SS-Hauptsturmführer
(kapitan SS) **Karl Fritzs**, skazał dziesięciu więźniów na powolną
śmierć w bunkrze głodowym. Jeden z nieszczęśników, więzień nr
5659 **Franciszek Gajowniczek**, jęknął z żalu za żoną i dziećmi...

Wówczas dobrowolnie wystąpił więzień nr 16670. Jeden ze świadków,
Michał Micherdziński, tak zapamiętał rozmowę Maksymiliana
z niemieckim oficerem. Niemiec zapytał:

– *Czego chce ta polska świnia?*

*Zaczęli szukać tłumacza, ale okazało się, że tłumacz jest zbędny. Ojciec Maksy-
milian w postawie na baczność odpowiedział spokojnie po niemiecku:*

– *Chcę umrzeć za niego.*

I wskazał lewą ręką stojącego obok Gajowniczkę. Padło kolejne pytanie:

– *Kim jesteś?*

– *Jestem polskim księdzem katolickim.*

*Ojciec Maksymilian, mimo iż wiedział, jak Niemcy traktują polskich księży, nie
bał się przyznać do swego kapłaństwa. Panowała wtedy nieznośna cisza. Każda
sekunda wydawała się trwać wieki. Wreszcie stało się coś, czego do dzisiaj nie*

mogą zrozumieć ani Niemcy, ani więźniowie. Kapitan SS, który zawsze zwracał się do więźniów przez wulgarne „ty”, zwrócił się do o. Maksymiliana per „pan”:

– Dlaczego chce pan umrzeć za niego?

Ojciec Maksymilian odpowiedział:

– On ma żonę i dzieci.

Po chwili esesman odpowiedział:

– Dobrze.

Ocalony Gajowniczek relacjonował po latach: „Wyciągnęli mnie z tej dziesiątki. Minąłem Ojca Maksymiliana, który tam, w tym szeregu został, na moim miejscu. Nic do siebie nie powiedzieliśmy, nawet nie mogłem powiedzieć: – Dziękuję”.

DWANAŚCIE DNI GOLGOTY

Maksymiliana oraz dziewięciu innych skazańców umieszczono nagich w bunkrze głodowym (blok II).

Pracujący w okolicy więźniowie wspominali, że niektórzy skazani, ogarnięci rozpaczą, zrazu głośno bluźnili przeciw Bogu; jednakże pod wpływem ojca Kolbego zmienili swą postawę. Odtąd z bunkra dobiegały tylko wspólnie odmawiana modlitwa różańcowa i pieśni maryjne. Po dwunastu dniach żyło już tylko czterech skazanych, wśród nich Maksymilian. Niemiecki kryminalista Bock dobił ich zastrzykiem fenolu.

Maksymilian Maria Kolbe zginął męczeńską śmiercią w dniu 14 sierpnia 1941 roku, w wigilię uroczystości Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny.

Franciszek Gajowniczek przeżył obóz. Po wojnie przyjechał odwiedzić miejsce swej niedoli. Pokazano mu bunkier, w którym cierpiał

ostatnie katusze jego wybawiciel. Na ścianie Gajowniczek odkrył wydrapany paznokciami krzyż.

PRZYJACIELE I WROGOWIE

Maksymilian Maria Kolbe został beatyfikowany jako wyznawca w roku 1971, zaś jedenaście lat później kanonizowany jako męczennik.

– Światu [...] potrzeba Bożych szaleńców, którzy będą szli przez ziemię, jak Chrystus, jak Wojciech, Stanisław czy Maksymilian Maria Kolbe [...], którzy będą mieli odwagę miłować i nie cofną się przed żadną ofiarą – rzekł o nim papież św. Jan Paweł II.

Bezkompromisowość świętego do dziś pozostaje solą w oku wielu wrogów Kościoła.

– Ojciec Kolbe był nacjonalistą o wielkiej żarliwości. Jego sprzeciw wobec nazizmu był typu nacjonalistycznego, a nie moralnego – gromił „niesłuszne” poglądy więźnia nr 16670 Żyd Elie Wiesel.

– Kolbe był również w jakiejś mierze twórcą „Rycerza Niepokalanej” i „Małego Dziennika”, a więc pism, które symbolizują ciemny i obskurantcki nurt polskiego katolicyzmu, pism prymitywnych, krzewiących religijną nietolerancję i etniczną nienawiść – wybrzydzał „tolerancyjnie” inny esteta, Żyd Adam Michnik.

Nad rzekomym „antysemityzmem” męczennika biadali zgodnym chórem tak „światli” osobnicy, jak minister komunistycznego rządu PRL Żyd Jerzy Urban, czy mistrz masońskiej loży „Kopernik” Jan Józef Lipski (ten ostatni na łamach tytułarnie katolickiego „Tygodnika Powszechnego”...). Znaczące, że wśród osobników gorliwie rozliczających życiorys więźnia nr 16670 znalazła się pokaźna grupa dziennikarzy... niemieckich (!!!).

Takie i podobne enuncjacje zawodowych tropicieli „antysemityzmu” zderzały się ze świadectwami ludzi, których los postawił na drodze świętego; także Żydów.

Cytowany na wstępie **Zygmunt Gorson**, co jako bezradny dzieciak znalazł się w Auschwitz, tak wspominał polskiego duchownego:

– Był dla mnie jak anioł, i jak matka bierze swe pisklęta pod skrzydła, tak on mnie wziął w ramiona. Ocierał zawsze moje łzy. Od tego momentu wierzę o wiele bardziej w Boga, ponieważ od czasu, kiedy zmarli moi rodzice, pytałem siebie nieustannie: „Gdzie jest Bóg?”. I straciłem wiarę. Kolbe mi ją przywrócił! On wiedział, że byłem żydem, lecz to nie stanowiło różnicy. Jego serce nie czyniło rozróżnienia między osobami i nie miało dla niego znaczenia to, czy są żydami, katolikami lub z jeszcze innych religii: on kochał wszystkich i dawał miłość, nic innego jak miłość.

Profesor **Eugene Zolli**, Wielki Rabin Rzymu, który doznał łaski nawrócenia na katolicyzm, stwierdził:

– Jeśli byłbym zdolny napisać książkę o Maksymilianie Kolbe – nie jestem tego godny, inaczej Opatrzność dałaby mi zdolność uczynienia tego – zatytułował bym ją: „Ojciec Maksymilian Kolbe, zmarły w imię miłości”.

CZAS DROGI

– Co chwila bądź lepszy. Teraz czas drogi – nauczał św. Maksymilian.

Żyjemy w czasach, kiedy ogarnięci pychą „teologowie” uznają się za mądrzejszych od Pana Boga. Skwapliwie przypochlebiając się obowiązującym modom, w imię „politycznej poprawności” przystępują do „poprawiania” zapisów Ewangelii, katechizmu i nauczania Ojców Kościoła, do swoistej lustracji biogramów świętych. Miernoty, które nigdy nie podejmowały wyborów w obliczu bunkra głodowego i zastrzyku fenolu, rwą się do rozliczania męczenników. Święty Maksymilian precyzyjnie wskazał na źródła takich pogubień:

– Szatani są lepszymi teologami niż my. A jednak, chociaż w rzeczach Bożych niejedno mogą więcej wiedzieć – są szatanami. Jest to wiedza, która nic nie może.

Zaś tym wszystkim, którzy upadli na duchu, tym z nas, którzy ogarnięci przerażeniem i brakiem nadziei rozglądają się po otaczającym nas zewsząd świecie ruin, Anioł z Auschwitz zostawił słowa otuchy:

– Wszystko się skończy, więc i cierpienia się skończą. Droga chwały to droga krzyża. Matka Najświętsza z nami, Ona nam zawsze pomaga.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/wiadomosci/swiety-maksymilian-maria-kolbe-a-niol-w-auschwitz,730025>



CZY POLACY WIEDZĄ, W CO WIERZĄ?

Jestem przekonany (choć nie mam na to dowodu), że gdyby stanąć w niedzielę pod kościołami i zapytać Polaków o definicję wiary katolickiej, to 90 procent z nas nie byłoby w stanie udzielić szybkiej, krótkiej i poprawnej odpowiedzi...

Oczywiście cieszyłbym się, gdybym się mylił, ale gdy spojrzymy na kwestię wiary w całej jej komplementarności, a więc na to, czym ona jest i czego od nas wymaga, to obawiam się, że mój pesymizm znalazłby pewne oparcie w faktach.

Dlaczego jest to ważne? Nie tylko ze względu na jakość naszej religijności, ale także ze względu na spory, jakie prowadzimy. Nie jest przecież tajemnicą, że jako Polacy uwielbiamy klócić się o politykę i o religię. Tymczasem iluż z tych sporów można by uniknąć, gdybyśmy przynajmniej dysponowali wspólnym rozumieniem zagadnień, które nas różnią...

CZY WIEMY JAK WIERZĄ POLACY?

Szukając odpowiedzi na pytanie o wiarę Polaków, wypada zapytać, czy dysponujemy jakimikolwiek badaniami na ten temat? Otóż, okazuje się, że jest problem, bo dostępne badania dotyczą raczej zewnętrznych praktyk religijnych niż rozumienia zagadnień teologicznych i około-teologicznych.

Badanie CBOS „Religijność Polaków w ostatnich dziesięcioleciach” nastręcza problem metodologiczny. Pytania dotyczą deklaracji na temat własnej religijności (czy ktoś uważa się za np. „głęboko wierzącego”), a nie obiektywnych czynników wynikających z doktryny Kościoła. Poza tym jest mowa o zewnętrznych praktykach (częstotliwość chodzenia na Mszę), a nie o znajomości prawd i zasad wiary (która jest niezbędna do właściwej praktyki religijnej).

Podobnie sprawa wygląda w przypadku corocznych raportów Instytutu Statystyki Kościoła Katolickiego. Uwzględniają one liczby dotyczące szafowanych sakramentów czy powołań, ale nie sięgają do samej kwestii wyznawanej wiary, nie dają żadnych danych, na podstawie których moglibyśmy zweryfikować czy katolicy są zgodni z własną wiarą ani nawet czy ją znają.

Polska młodzież została uwzględniona w międzynarodowym badaniu prowadzonym przez amerykańskie Pew Research Center. Wykazało ono masowy odpływ od kościołów i ogromny rozdzwitek w obszarze praktyk religijnych pomiędzy grupą poniżej 40 roku życia, a osobami starszymi. Z tym, że to badanie również nie obejmowało samej treści wiary.

Łatwiej jest mówić o sytuacji w Stanach Zjednoczonych, gdzie rozmaite instytuty wręcz lubują się w mnożeniu wnikliwych badań społecznych. Jedno z takich badań przeprowadziło właśnie wspomniane Pew Research Center (*What Americans Know About Religion – Co Amerykanie wiedzą na temat religii*).

Większość pytań dotyczy Biblii i różnych elementów chrześcijaństwa, w tym nauki o Najświętszym Sakramencie. W dalszej kolejności badający pytają o judaizm i inne religie. Można by odnieść wrażenie sondaż mówi zbyt ogólnie o religiach, a nie o tym, czy wyznawcy rozumieją własną wiarę – niemniej pytania są na takim poziomie ogólności, że posiadający przeciętną znajomość katechizmu katolik powinien rozumieć na tym poziomie nie tylko własną religię, ale i błędy religii fałszywych, takie jak protestancka zasada *sola fide*, dlatego uznając badanie za w jakiejś mierze miarodajne.

I co się okazuje? Ano, okazuje się, że w ilości poprawnych odpowiedzi (na 32 dwa pytania) katolicy bynajmniej nie przodują w zestawieniu, a wyprzedzają ich żydzi (20,5), mormoni (20,3) i protestanci ewangeliccy (17,6). Katolicy uzyskali wynik 16 poprawnych odpowiedzi, wyprzedzając o zaledwie dwie dziesiąte punktu procentowego niejednorodną masę protestantów różnych denominacji. Co ciekawe,

najlepszy wynik ze wszystkich uzyskała kategoria respondentów określających się jako... ateści/agnostycy (20,9).

CO TO ZNACZY WIERZYĆ?

Ale nie o cyfry przecież nam chodzi. I nie o wiedzę stricte podręcznikową, ale o rozumienie. Dlatego najpierw musimy określić, czym w ogóle jest wiara i co to znaczy, że wierzymy. Tu wracamy do momentu abstrakcyjnego (może ktoś by to zrobił?) zaczepienia przeciętnego Polaka pod kościołem...

Na pytanie o to, czym jest wiara i co to znaczy wierzyć, odpowiedź, której udzieliliby nasi przodkowie, mogłaby brzmieć różnie (wyrażona z pamięci albo własnymi słowami), jednak zawsze sprowadzałaby się do następującej treści: wiara to cnota nadprzyrodzona (włana, a więc nie pochodząca z wnętrza człowieka), dzięki której przyjmujemy rozumem to, co Pan Bóg objawił i przez Kościół Święty do wierzenia podał.

Definicja niby prosta i oczywista, ale czy na pewno? Rozbijmy ją na części pierwsze. Wiara jest *cnotą*. Cnota jest terminem zaczerpniętym z samej obserwacji ludzkiej natury i oznacza sprawność moralną (zdolność do dobrych uczynków, która dzięki nawykowi weszła nam w krew). Zawdzięczamy go greckim filozofom, od których przejęło go chrześcijaństwo. Kto dziś ma pojęcie czym jest cnota i że jest to kluczowy termin dla naszego życia religijnego, moralnego, politycznego, społecznego i wychowawczego? Kto rozumie znaczenie poszczególnych cnót? I kto rozumie – różnicę pomiędzy cnotą naturalną a nadnaturalną...

...czyli, cnotą *nadprzyrodzoną*. Żyjemy w świecie, w którym nadprzyrodzoność została już dawno wyparta przez masoński naturalizm (w praktyce zrealizowane hasło zredukowania religijności do kościelnej kruchty, a usunięcie jej z życia publicznego, ze szkolnictwa itd.), więc nawet jeżeli rozumiemy, że nadprzyrodzone jest to, co pochodzi od Boga, to i tak nasze głębsze rozumienie różnic oraz zależności pomiędzy łaską a naturą, będzie pozostawiało wiele do życzenia. W aspekcie eklezjologicznym zwrócił na to uwagę kard. Ratzinger w swoim *Raportie o stanie wiary*. Wskazał mianowicie, że poważnym

źródłem kryzysu jest to, że przeciętny katolik nie zauważa już, że rzeczywistość kościelna faktycznie zaczyna się od Chrystusa, postrzega Kościół jako dzieło ludzkie – w kategoriach bardziej socjologicznych niż nadprzyrodzonych.

Kolejny punkt: *akt rozumu*. Czy wiara jest aktem rozumu czy aktem woli? Jak jedna władza duszy zależy od drugiej? I w ogóle jaka władza duszy?! Przecież jako dzieci na lekcjach biologii uczymy się, że to mózg (a nie rozum jako władza niematerialnej części naszej natury) odpowiada za myślenie. Czy wiara nie jest zatem jakiegoś rodzaju *przeżyciem* albo *uczuciem*? Ileż nieporozumień praktycznych stąd płynie, gdy zaczynamy twierdzić, że przeżywanie wiary polega na jakiegoś rodzaju wewnętrznych czy wspólnotowych doświadczeniach, a nie na *posłuszeństwie* rozumu i woli wobec objawiającego się Boga...

I kolejno dalej: kim jest *Bóg* i czym jest *Kościół*. Mamy więc pytania teologiczne i eklezjologiczne, których nawet nie będę zadawał, bo jest ich zbyt dużo.

DRZEWO WIARY...

Przejdźmy do konkretnych, bo ważna jest nie tylko definicja, ale przede wszystkim obraz świata, jaki za nią stoi, bo od niego zależą nasze wybory moralne i relacje z bliźnimi.

Gdybyśmy chcieli rozrysować to w formie rozrastającego się drzewa, to od pnia (jakim jest samo rozumienie wiary) musielibyśmy wyprowadzić szereg korzeni, a potem gałęzi, gdzie te pierwsze odpowiadałyby naszym pojęciom bazowym, a te drugie – wnioskom, jakie wyciągamy z wyznawanej wiary i katolickiej wizji świata, postrzegając przez ich pryzmat konkretne sprawy. O pniu pisałem już wyżej, teraz korzenie i gałęzie.

KORZENIE

Chociaż wiara jest cnotą wlaną, a więc w swojej istocie całkowicie niezależną od nas (my mamy ją jedynie przyjąć w całości i niewybiórczo), to jednak w rozumieniu poszczególnych prawd siłą rzeczy kierujemy

się tym, co nas ukształtowało. Człowiekowi, który miał dobrego ojca, łatwiej będzie odnaleźć się w prawdzie, że Bóg jest naszym ojcem, zaś człowiek, który miał toksycznego i emocjonalnie nieobecnego (albo niestabilnego) ojca, będzie miał kłopot.

Ostatnio popularny w sporach jest problem posłuszeństwa i autorytetu papieża. Również w tym punkcie nasze poglądy czysto naturalne rzutują na rozumienie spraw kościelnych. Nie rozumiejąc, czym są prawo (temu zagadnieniu poświęcony był mój poprzedni tekst, komplementarny wobec niniejszego – [Cywilizacja trwa tam, gdzie ludzie przechodzą na czerwonym świetle](#)), sprawiedliwość i władza, nie sposób wykształcić właściwych pojęć również na gruncie religijnym. Jesteśmy wszyscy skażeni przez błędy *etatyzmu* i *pozytywizmu prawnego*, skąd biorą się fałszywe wyobrażenia – rzutujące na nasze pojęcia religijne.

Ma to swoje konkretne konsekwencje. Papież nie jest władcą absolutnym w tym znaczeniu, że ma nieograniczoną władzę nad depozytem wiary i może go zmieniać. Dlatego posłuszeństwo wobec papieża jest zawsze warunkowe (czyli: o ile jego wola jest zgodna z nauką Pana Jezusa i Kościoła), podobnie jak posłuszeństwo wobec prawa (prawo państwowe o tyle jest legalne, o ile jest sprawiedliwe i zgodne z prawem naturalnym). Musimy znać naukę Kościoła, tak jak musimy znać prawo, żeby ocenić, czy w danej sprawie sumienie zobowiązuje nas do podążania za wolą papieża czy rządu.

Spieramy się na wiele innych kwestii: kiedy papież jest nieomylny; co to znaczy, że przez biskupów działa Duch Święty; co to znaczy, że wszelka władza pochodzi od Boga; jaki ma być chrześcijanin – czy ma być frajerem, który „nadstawia drugi policzek” (jeden z najbardziej zmanipulowanych cytatów z Nowego Testamentu), czy też żołnierzem Chrystusa, który walczy ze złem, używając również środków ludzkich itd. itp. We wszystkich tych kwestiach włączają się nasze przekonania bazowe i możemy nawet nie mieć pojęcia, że istota sporu nie jest nawet religijna, teologiczna – ale rozbija się właśnie o te błędy w przekonaniach czysto naturalnych.

GAŁĘZIE

Jeżeli mówimy o rozumieniu świata, to jako katolicy przyjmujemy za Arystotelesem podstawowy fakt: rozum ludzki jest zdolny do obiektywnego poznania. Skoro jesteśmy dziećmi Boga, który stworzył świat i przyjaciółmi Chrystusa, który go odkupił, to nie możemy błędzić w kwestiach poznawczych czy antropologicznych. Naszą rozumną duszę stworzył ten sam Bóg, który dał nam objawienie. Dlatego kwestia naszych poglądów na naturę ludzką i związane z nią kwestie moralne, a nawet społeczne i polityczne, nie jest całkowicie dowolna.

Chociaż w sensie ścisłym mamy przyjmować tylko prawdy wiary i moralności zawarte w Tradycji, Piśmie Świętym i uroczystym Magisterium, to jednak z objawienia i z samego faktu istnienia porządku i prawa naturalnego płyną określone *wnioski*.

Szereg kwestii, o które się spieramy, w ogóle nie podlega dyskusji. Nikt, nigdy i na żadnych warunkach nie ma prawa zabić dziecka nie-narodzonego. To jest prawo naturalne i to jest prawo Boże pozytywne, wyrażone w Dekalogu. To nie jest kwestia, która może być materia demokratycznego głosowania i dlatego każdy polityk, który w jakikolwiek sposób przykładą rękę do stanu prawnego, w którym dzieciobójstwo jest legalne czy tolerowane, nie może nazywać się katolikiem i z automatu popada w karę ekskomuniki.

Z prawa naturalnego wynika również prawo własności, a stąd z kolei wyprowadzamy wnioski dotyczące moralnej oceny stosunków własności, a dalej również zasiłków, programów socjalnych itd. Drzewo, którego używam jako obrazu, rozgałęzia się praktycznie w nieskończoność, tak że żadna nasza idea i żaden nasz pogląd na sprawy zasadnicze (pomijając kwestie tego, czy ktoś lubi kawę jasno czy ciemno paloną albo wino białe lub czerwone) nie są wyabstrahowane od uniwersalnego wzorca i oderwane od obiektywnego porządku rzeczy. Słowem, jako katolicy nie mamy nieograniczonej dowolności światopoglądowej, lecz ogranicza nas porządek, jaki Stwórca dał stworzeniu.

W każdym razie, skoro na poziomie bazowym (intelektualnym) przyjmujemy właściwą definicję rozumu, to na poziomie wniosków musimy przyjąć realizm poznawczy, a co za tym idzie – odrzucić relatywizm i subiektywizm. To samo dotyczy innych pojęć i wniosków, jakie z nich wyprowadzamy.

CO SŁYCHAĆ NA POLSKIEJ PARAFII?

Powstaje zasadnicze pytanie (dla niektórych być może obrazoburcze): Czy przeciętna polska parafia przekazuje w ogóle tego rodzaju wiedzę?

Ogólna katechizacja oraz społeczne nauczanie Kościoła były próbą przełożenia prawd objawionych i prawideł zawartych w prawach Bożym, wiecznym i naturalnym na coraz bardziej pogmatwane pojęcia współczesności – od wieków zaciemniane przez intelektualne i propagandowe manipulacje zbuntowanych heretyków, masonów, antyfilozofów, liberałów, socjalistów, komunistów, neomarksistów, relatywistów i subiektywistów. Aż do lat 60. ubiegłego wieku następcy św. Piotra z odwagą i świadomością roli Kościoła stawali do walki przeciwko błędom wymienionych wrogów prawdy, którzy nie uznają obiektywnej rzeczywistości.

W dobie *aggiornamento* to się zasadniczo zmieniło. W seminariach od-
rzucono wykład filozofii wieczystej (realistycznej) i zaczęto z fascynacją przyjmować różne, szemrane nurty pseudofilozoficzne. W taki sposób do myślenia katolików wdarły się błędy robiące zamęt w sferze omawianych wyżej pojęć bazowych. Powstanie na tym gruncie błędów teologicznych było tylko kwestią czasu.

Obecnie na polskich parafiach (jak i wszędzie indziej) posługują już głównie kapłani ukształtowani po reformie liturgii i formacji seminaryjnej. W jaki więc sposób mieliby oni przekazać wiernym, że istnieje obiektywna rzeczywistość, a nauczanie Kościoła (jako jedynej arki zbawienia, która jest tożsama z Mistycznym Ciałem Chrystusa, a nie w której to Ciało „trwa”) się nie zmienia, skoro sami nie są już tak uczeni? W jaki sposób księża mieliby wpajać pojęcia filozofii klasycznej, na których zbudowana jest cała teologia katolicka (pomijając

nowe nurty posoborowe), kiedy nawet autorytet św. Tomasza z Akwi-
nu (nie mówiąc już o Arystotelesie) został de facto podważony?

Dlatego – skoro już pozwoliłem sobie na śmiałą hipotezę, iż więk-
szość Polaków nie wie, w co wierzy – to nie cofnę się przed próbą
zdiagnozowania przyczyny. Otóż, uważam, że na parafii, gdzie po-
sługuje ksiądz niemający często pojęcia o prawdziwej katolickiej teo-
logii i niezakorzeniony w zdrowym filozoficznym rozumieniu świata,
nie może być mowy o powszechnym i konsekwentnym kształtowaniu
wiernych (spójnej formacji), zgodnym z rozsądną wiarą.

Mogą zdarzyć się wyjątki i nawet wśród skażonych duchem złej fi-
lozofii i błędnej teologii możemy znaleźć mnóstwo kapłanów dobrej
woli, ale to już kwestia subiektywna, którą zna tylko Pan Bóg.

My zaś – jako prości wierni – mamy prawo domagać się pożywnego
chleba, a nie lukrowanego słodkimi frazesami wyrobu chlebpodob-
nego. Nie jest to jakiś szczególny przywilej, ale istota działalności Ko-
ścioła. Takiemu Kościołowi mamy być wierni, bo tylko taki otrzymał
obietnicę, iż bramy piekielne nie przemogą go.

Co do naszych polskich sporów, proponuję następujące wnioski. Za-
nim zaczniemy się kłócić, ustalmy najpierw o co się kłócimy. Upewnij-
my się, że nasza wiedza jest ugruntowana w dobrych źródłach, a nie
czerpana z płytkich, stereotypowych wyobrażeń niczym z nagłówków
medialnych. I odważmy się zbadać sferę naszych przekonań, by upew-
nić się czy czasem w naszym przypadku nie sprawdza się powiedzenie
króla antyfilozofów: *Jeśli fakty przeczą mojej teorii, tym gorzej dla faktów.*

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

[https://pch24.pl/opinie/flip-obara-czy-polacy-wiedza-w-co-wie-
rza,727402](https://pch24.pl/opinie/flip-obara-czy-polacy-wiedza-w-co-wie-
rza,727402)

AI, GODNOŚĆ LUDZKA I PRAWDA KOŚCIOŁA PRZECIWKO GNOZIE

Co jest faktycznym źródłem poczucia ludzkiej godności? Co jest źródłem społecznego uznania, jakby to powiedział Hegel – co jest źródłem *Anerkennung*, uznania, które człowiek zdobywa w ciągu swojego życia w oczach innych, a poprzez nie – również w oczach własnych?

PIERWOTNA GODNOŚĆ, CZYLI SIŁA I PIĘKNO

W czasach Homera była to przede wszystkim: dobre urodzenie i znakomite ciało. W przypadku mężczyzn, ideałem był silny wojownik pochodzący z arystokratycznej rodziny. Miał społeczny prestiż, który udowadniał w starciu z przeciwnikiem. Epika homerycka – zwłaszcza „Iliada” – jest apologią mocy na polu bitwy. Mężczyzna był coś wart, kiedy sprawnie zabijał; a zatem jego wartość wynikała nade wszystko ze sprawności ciała. Kobieta była coś warta, jeżeli była piękna i zdrowa. Mężczyźni mordowali się pod Troją, żeby zdobyć Helenę – ze względu na piękno jej ciała, połączone oczywiście z dobrym urodzeniem.

Innymi słowy, człowiek był wart tyle, ile warte było jego ciało – dobre urodzenie również miało aspekt biologiczny. Oczywiście, epika homerycka nie negowała znaczenia intelektu: „Iliada” wychwala przemysłność Odyseusza, a Odyseja jest poświęcona tej przemysłności niemal całkowicie. Niemniej, ostatecznym potwierdzeniem wartości Odyseusza są zawsze jego triumfy bitewne. Kiedy powraca do domu, zabija zalotników i wchodzi w posiadanie pięknej kobiety. Finis coronat opus; bez tego czysto cielesnego zwieńczenia cała przebiegłość i spryt Odyseusza nie miałyby celu. Siła i piękno – oto wartości człowieka homeryckiego; jeżeli na ich służbie stał intelekt, tym lepiej – ale to one były nadrzędną wartością.

Rozwój materialny zmieniał ten stan rzeczy, coraz bardziej przechylając szalę na rzecz sprawności intelektualnej. Dziś siła fizyczna i piękno

nadal uchodzą za rzeczy ważne, zwłaszcza w przypadku kobiet, gdzie piękno bywa głównym źródłem poczucia własnej godności. Niemniej jednak, w perspektywie ogólnospołecznej, żyjemy w czasach absolutnego triumfu intelektu. To już nie wojownik jest społecznym ideałem, ale milioner kierujący spółką technologiczną. Władcy są potężni nie dzięki swojej sile fizycznej, ale dzięki rozumowi. Nawet wojska potwierdzają swoje przewagi dzięki rozumowi: na froncie ukraińskim siła odgrywa swoją rolę, ale kluczowe stały się rakiety i drony, które wystrzeliwuje się celnie dzięki przemyślności, a nie sile. Można powiedzieć, że po trzech tysiącach lat doszło do niemal całkowitego odwrócenia porządku hierarchicznego źródeł godności: najważniejsza jest przemyślność, a siła i piękno stają się pomocnicze. Nie stało się to nagle, dziś jednak obserwujemy, można rzec, cywilizację intelektu.

ANGELA MERKEL KONTRA HELENA TROJAŃSKA

Postawmy Stephena Hawkinga obok homeryckiego Ajasa. Gdyby Hawking przyszedł na świat w czasach Homera, po prostu by umarł – można powiedzieć, że jego Anerkennung wynosiłoby w efekcie całkowite o. W naszych czasach Hawking, pomimo braku siły, dysponował olbrzymim Anerkennung, zdobytym dzięki rozumowi. To odwrócenie źródeł uznania jest nieco słabsze w przypadku kobiet, ale ostatecznie również one dzięki przemyślności mogą niwelować ewentualne niedostatki piękna: porównajmy, by tak rzec, sprawczość i autorytet Heleny Trojańskiej i kanclerz Angeli Merkel. Można zaryzykować tezę, że o Merkel nie toczyłaby się wojna trojańska; a przecież pani kanclerz była podziwiana i uwielbiana (sic) przez miliony – wyłącznie za sprawą zdolności swojego rozumu.

Możliwość uzyskiwania Anerkennung dzięki użyciu samego rozumu pojawiła się historycznie już wcześniej, kiedy tylko pozwoliła na to technika i rozwój sztuk intelektualnych. Niemniej jednak, dopiero w naszych czasach dyktatura rozumu stała się tak powszechna. Myślę, że tezy nie trzeba udowadniać: rodzice chcą wprawdzie, żeby ich syn był silny, ale przede wszystkim pragną, żeby był wykształcony. Chcą, żeby córka była piękna, ale nade wszystko marzą o jej świetnej edukacji. Wszystko, byleby tylko zdobyć kompetencje intelektualne.

Rozum i jego użycie – oto dominujące źródło zdobywania uznania społecznego, a zatem źródło, w którym upatrujemy własnej godności.

CIAŁO NA SŁUŻBIE UMYŚŁU

Kult intelektu wyobcowanego z ciała ma swoją konsekwencję także w postaci niebywałego rozpowszechnienia gnozy. Otóż zasadniczą ideą gnozy jest przekonanie o uwięzieniu ludzkiego ducha w ciele. Gnostycy na przestrzeni dziejów walczyli z ciałem albo to ciało ignorowali, na różne sposoby – tak czy inaczej, upatrywali wyłącznej godności człowieka i całej celowości jego istnienia w rozwoju umysłowym. Zbawienie gnostyka przychodziło poprzez wiedzę – a zatem było czysto intelektualne. W naszych czasach postawa gnostycka stała się niebywale popularna.

Ekstremalnym tego przejawem jest ideologia transgender: człowiek został sprowadzony do umysłu, który może być uwięziony w niewłaściwym ciele. Umysł przekształca zatem ciało tak, by lepiej dopasować je do własnych oczekiwań i wymagań. Cieleśność była i pozostaje ważna, ale tylko jako nośnik zadowolenia, które przynosi umysłowi. Ludzie w skali masowej czerpią to zadowolenie z gier komputerowych, filmów, pornografii, muzyki – rozmaitych wynalazków nowoczesnej technologii, które tylko wykorzystują ciało do tego, by służyć umysłowi. Dotknęło to nawet jedzenia: dzięki jego obfitości sytość, jaką daje jedzenie, przestała być istotna; w mediach społecznościowych ludzie chwala się wykwinnością jedzenia, czyniąc z kulinariów element budowania własnej tożsamości, nader często czysto cyfrowej. Jem nie po to, aby żyć; nawet nie po to, żeby mi to smakowało – ale po to, by zdobyć Anerkennung dzięki przemysłowości jedzenia, które spożywam.

Można podsumować, że w naszych czasach doszło do maksymalnego rozdzielenia źródeł zdobywania Anerkennung od cielesności. Historycznie było to możliwe niemal zawsze, ale nigdy tak łatwe i tak powszechne.

Otóż stawiam tezę, że to się teraz zmienia – a wszystko za sprawą tzw. Sztucznej Inteligencji. Proces ten jest dopiero u swoich początków, ale proszę sobie wyobrazić, jak będzie to wyglądało za kilkanaście lat?

LEKARZ I OJCIEC BEZ AUTORYTETU

Czym jest tzw. sztuczna inteligencja? To naśladownictwo inteligencji ludzkiej. Jako naśladownictwo, nie jest prawdziwa i może tylko odzwierciedlać. Jednak my, ludzie, w pewnym sensie robimy przez większość życia to samo. Lekarz, który ogłasza trafną diagnozę, rzadko wymyśla coś naprawdę nowego: zwykle w sposób sprawny dostosowuje posiadaną wiedzę do obserwowanej rzeczywistości. Można rzec, że wydobywa z zasobów swojego mózgu informacje, które pozwalają trafnie nazwać to, z czym się styka. Wiemy, że tzw. sztuczna inteligencja stawia często tak samo trafne diagnozy – albo nawet trafniejsze. Lekarz, którzy czerpałby Anerkennung dzięki trafności swoich diagnoz, traci rację bytu – traci swoją tożsamość, która dawała mu poczucie godności. Jeżeli był podziwiany i sam się podziwiał ze względu na erudycję w dziedzinie medycyny – cóż, będzie teraz podobny do człowieka, który szedłby na brzeg Wisły, by zaczerpnąć wodę, zamiast odkręcić kran. Można, tylko po co?

To samo dotyczy wielu innych dziedzin życia. Wyobraźmy sobie najbardziej trywialną sytuację: ojca, który jest pytany przez dziecko o to, jak się nazywa drzewo, które napotkali w lesie. Ojciec coś wie o drzewach, ale nie jest specjalistą sensu stricto. Mówi, że to buk, bo tak mu się wydaje – ale w istocie jest to grab. Dziecko oczywiście o tym nie wie, więc przyjmuje tę informację i uznaje autorytet ojca.

Tak mogło to dotąd wyglądać. A dziś? Cóż, nawet jeśli ojciec byłby bardziej kompetentny i sądziłby, że to drzewo jest faktycznie grabem – to przecież będzie wiedzieć, że teoretycznie może się pomylić. Czy nie lepiej będzie zapytać AI, które stwierdzi to w sposób... pewniejszy? Oczywiście, że tak – wtedy udzieli dziecku na pewno trafnej informacji. Dlatego ojciec wyciągnie telefon, zrobi zdjęcie i zapyta AI, co to za drzewo.

Albo robi to dziecko, jeżeli ma już telefon. Albo też w ogóle nie zapyta, bo wie, że nie ma sensu pytać: w końcu jeżeli pyta, bo chce wiedzieć, to znaczy, że uznaje, że ta wiedza może być mu potrzebna, tymczasem wiedząc, że ta wiedza jest już w jego telefonie, nie będzie chciał wiedzieć, więc nawet nie zapyta.

Zwykła scena, która w świecie przed AI umocniłaby intelektualne Anerkennung ojca, staje się sceną nieprawdopodobną. Źródło czerpania autorytetu wyczerpało się.

KS. MALESA KONTRA KS. BAŃKA

Podam jeszcze jeden przykład, z życia internetowego wzięty. Odbyla się niedawno debata pomiędzy księżmi Orfeuszem Malesą a Szymonem Bańką. Rozmawiali długo i kompetentnie, erudycyjnie i z odwołaniem się do źródeł. Robiło to wrażenie: obaj naprawdę wiedzą, co mówią. Nie zgadzają się, ale mają argumenty. Jednak następnego dnia po emisji nagrania ktoś wrzucił całą rozmowę do programu AI i przygotował wyciąg błędów. Okazało się, że każdy z dyskutantów pomylił się szereg razy: błędny cytat, zła data, pomylenie argumentu i tak dalej.

Rozmowa, która wydawała się naturalnym sposobem zdobywania Anerkennung w świecie, w którym rządzi kompetencja intelektualna, została obrócona w rozmowę, która staje się potencjalnym źródłem utraty (sic) Anerkennung. Co za niesamowite odwrócenie sytuacji! A wszystko dzięki temu, że fakty można tak łatwo zweryfikować – i może to zrobić każdy, nawet kompletny nieuk.

ZMIERZCH LUDZKIEGO ROZUMU W PRAKTYCE

Jaki z tego płynie wniosek? Otóż następujący: rewolucja AI sprawia, że ludzkie kompetencje intelektualne tracą na praktycznym znaczeniu. Kompetencje intelektualne nadal są potrzebne, ale już nie w tym samym stopniu, co dawniej. Ten, kto czerpał uznanie z faktu bycia erudytą okazuje się być jak ów idiota, który nosi wodę z Wisły, choć może odkręcić kran: nie ma takiej erudycji, która mogłaby przewyższyć erudycję sztucznej inteligencji. Czerpanie wody z Wisły może być hobby, tak samo erudycja – ale nikt nie będzie podziwiał drugiego za to, że robi tak skrajnie nieprzydatne rzeczy, jak noszenie wody we wiadrze albo gromadzenie wiedzy...

Nie ma takiej pamięci, która mogłaby zastąpić pamięć AI. Dalej możliwy jest ludzki geniusz, unikalne kojarzenie faktów – to prawda; ale w skali masowej zwykle używanie własnego intelektu przestaje być

powszechnym źródłem zdobywania Anerkennung, bo AI przecież i tak zrobiłaby to lepiej.

POWRÓT CIAŁA

Co zostaje człowiekowi w tej sytuacji? Co z tymi, którzy utracą własną tożsamość, budowaną na godności wynikającej z kompetencji intelektualnych? Będą cierpieć, to niewątpliwe. Interesuje mnie jednak nie los pojedynczych ludzi, ale zjawisko kulturowe: otóż sądzę, że w sposób nieunikniony współczesna kultura dowartościuje ciało.

Siła, piękno, sprawność – to wszystko stanie się ważniejsze, niż było w ostatnich dekadach, bo siły, piękna i sprawności sztuczna inteligencja nie może zastąpić. Może je udoskonalić w pewnych aspektach – zwłaszcza połączona z zasobami majątkowymi (dobre urodzenie broni się zawsze). Niemniej jednak: nie może tego zastąpić.

Dlaczego mielibyśmy podziwiać lekarza, który zna wszystkie odmiany chorób skóry, skoro to samo i jeszcze lepiej zrobi AI?

Dlaczego mielibyśmy podziwiać katolickiego dziennikarza, który przywoła na zawołanie siedemdziesiąt przykładów herezji, skoro to samo i jeszcze lepiej zrobi AI? Będziemy jednak podziwiać tego, kto użyje cielesnej siły i sprawności w sposób, w jakiej inni, pozbawieni tych przymiotów, nie mogą tego zrobić; będziemy podziwiać tych, którzy są piękni (te, które są piękne) w stopniu, w jakim inni są tego piękna pozbawieni. Oczywiście będziemy też podziwiać bogatych, bo bogatych podziwiał się zawsze; ale nie o tym tu piszę.

Kompetencja intelektualna, zwłaszcza w aspekcie erudycyjno-pamięciowym, nie zniknie, ale siłą rzeczy stanie się bardziej „powszechna”, a poprzez to – mniej cenna.

CIAŁO, DAR PANA BOGA

Czy to złe? Tego nie wiem. Być może okaże się w jakichś aspektach nawet dobre. Ostatecznie gnostycka idea wyrwania umysłu z ciała jest potępioną przez Kościół herezją. Kościół uczy, że człowiek nie jest

czystym umysłem – nie jest tylko duszą. Jest złożeniem duszy i ciała. Cieleśność, mówi Kościół, jest nieusuwalnym i dobrym (sic) komponentem człowieczeństwa. Sam Bóg stał się człowiekiem, a to oznacza, że stał się również ludzkim ciałem.

Rewolucja AI, zmieniając hierarchię źródeł czerpania Anerkennung, może być ważnym sprzymierzeńcem Kościoła w wojnie z pokusą gnostycką – bo pokazuje, że ciało nie jest tylko instrumentem służącym umysłowi; ale jest też źródłem naszej godności jako stworzeń Bożych. Mówiąc krótko, AI przypomina, że ciało też jest darem od Boga. Praca fizyczna również jest wartością: społeczeństwo już to odkrywa (jak rosną stawki robotników fizycznych!), a wkrótce odkryjemy to jeszcze bardziej. Lekarz w swoich diagnozach będzie gorszy od AI, ale jeżeli przyjdzie do zatamowania upływu krwi w trudnych warunkach i nagłej sytuacji – będzie miał kompetencję, której nie zastąpi AI (chyba, że zrobi to robot, ale powszechna robotyzacja – z wielu przyczyn – wydaje się być mityczna). Ojciec pomyli buk z grabem, ale jeżeli zza drzewa wyjdzie groźne zwierzę, to tylko ojciec, nie AI, ochroni dziecko przed zranieniem.

Ta rzeczywistość jest naprawdę dobrym wzmocnieniem prawdy, którą głosi Kościół przeciwko gnozie: nie zbawia wiedza. Zbawia Chrystus, Bóg, który stał się cielesnym człowiekiem.

↩
WRÓĆ
DO SPISU
TREŚCI

Powyższy artykuł znajdziesz również tu:

<https://pch24.pl/opinie/pawel-chmielewski-ai-godnosc-ludzka-i-prawda-kosciola-przeciwko-gnozie,726760>

Pobierz bezpłatny ebook Pawła Chmielewskiego
pt. *Katolik kontra cyfrowi „bogowie”. Obrona Kościoła w obliczu AI*
i dowiedz się więcej!



Skorzystaj z kodu QR

ADAM BIAŁOUS – pisarz, publicysta PCh24.pl

AGNIESZKA STELMACH – redaktor i publicysta PCh24.pl

ALEKSANDER PISAREK – prawnik, specjalizuje się w prawie i postępowaniu cywilnym, a z zamiłowania interesuje teorią i filozofią prawa, nauką Kościoła Katolickiego i Bałkanami

ANDRZEJ GUDALEWSKI – myśliwy puszczy knyszyńskiej

FILIP ADAMUS – redaktor i publicysta PCh24.pl

GRZEGORZ SZTOK – projektant wizualny, brand stylist

JAN KRZYSZTOF ARDANOWSKI – polityk, poseł, przewodniczący Rady do spraw Rolnictwa i Obszarów Wiejskich przy Prezydencie RP, właściciel gospodarstwa rolnego

KRYSTIAN KRATIUK – redaktor naczelny PCh24.pl, pisarz, watykanista

ŁUKASZ KARPIEL – zastępca redaktora naczelnego PCh24.pl, redaktor naczelny Kwartalnika PCh24.pl

ŁUKASZ WARZECHA – dziennikarz, publicysta, komentator. Konserwatysta i wolnościowiec

MARCIN AUSTYN – redaktor i publicysta PCh24.pl, sekretarz redakcji PCh24.pl

MARCIN JENDRZEJCZAK – doktor nauk ekonomicznych, doktor nauk humanistycznych, dziennikarz i publicysta

MARCIN MOŹDŻONEK – prezes Naczelnej Rady Łowieckiej, były kapitan reprezentacji Polski w piłce siatkowej, działacz społeczny i samorządowy

MICHAŁ CHABEREK OP – duchowny rzymskokatolicki, dominikanin, doktor habilitowany nauk teologicznych, zajmuje się m. in. relacją wiary i nauki, teologią stworzenia, metafizyką i nauką św. Tomasza z Akwinu, teologią ciała oraz historią teologii, zwłaszcza od XIX wieku

PAWEŁ CHMIELEWSKI – autor książek, publicysta, watykanista, redaktor PCh24.pl

PIOTR RELICH – redaktor i publicysta PCh24.pl, reżyser

ROBERT SKRZYPCZAK – duchowny rzymskokatolicki, doktor habilitowany nauk teologicznych (w zakresie teologii dogmatycznej), profesor i wykładowca akademicki



PCh24.pl
POLONIA CHRISTIANA